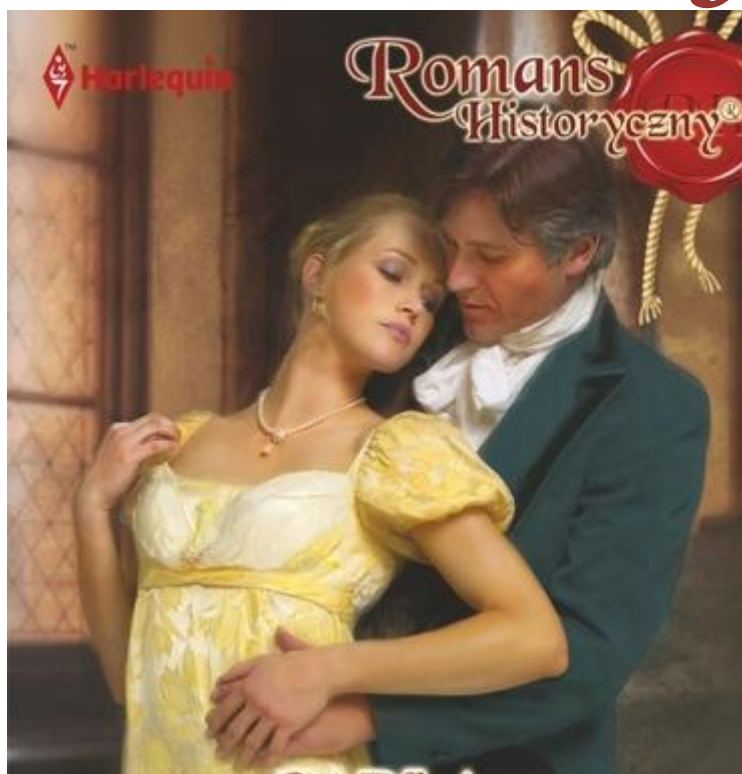




***Carla Kelly***



***Brzemie hańby***

# Prolog

1816

Przez ostatnie pięć lat Sally przeszła twardą szkołę życia. Kiedy wyszła z urzędu pracy w Bath ze skierowaniem do Plymouth, gdzie miała objąć posadę damy do towarzystwa, wiedziała, że stacza się po równi pochyłej. Miała jedynie tyle pieniędzy, aby opłacić miejsce w dyliżansie pocztowym i groziło jej, że zostanie bez pensa przy duszy.

Dyliżans wjechał na terytorium hrabstwa Devon. W miarę zbliżania się do wybrzeża Sally czuła się coraz mniej pewnie. Przysięgła sobie więcej nie spojrzeć na wody Oceanu Atlantyckiego w chwili, gdy jej mąż Andrew popełnił samobójstwo. Zdusiła jednak lęk, bo czasy były ciężkie i o pracę niełatwo. Przyszli chlebodawcy, państwo Cole, mogli się okazać niezbyt zamożnymi ludźmi, mimo to po sześciu tygodniach bezskutecznego poszukiwania zajęcia podjęła ryzyko podróży.

W ciągu ostatnich dwóch lat dwa razy zdarzyło się jej zostać na lodzie. Zatrudnianie się jako dama do towarzystwa dla starszych pań było swoistą loterią. Nie tylko z tego powodu, jak ją traktowały, dobrze czy z okrucieństwem lub pogardą. A bywało różnie. Niestety, umierały, a wówczas jej usługi przestawały być potrzebne.

Nie przyznałaby się do tego głośno, ale śmierć ostatniej chlebodawczyni jej nie zmartwiła. Była zgorzkniałą starą wiedźmą, poniewierającą Sally przy każdej okazji. Własna rodzina trzymała się od niej z daleka. Gdy zgromadzili się przy jej łożu w chwili ostatecznego zagrożenia, wycharczała triumfalnie „No i macie! Teraz wierzycie, że byłam chora”, zanim zamknęła oczy. Przez pięć lat służby Sally nauczyła się trzymać nerwy na wodzy i panować nad własnymi reakcjami, mimo to wtedy z trudem powstrzymała się od śmiechu.

Nowa praca mogła wprowadzić w jej życie trochę spokoju, nawet jeśli okaże się nie najlepszą inwestycją w przyszłość, bo przecież nie znała Cole'ów i nie miała pojęcia, co ją czeka w ich domu. Nie przeszkadzało jej, że musi pieszo pokonać dystans od zajazdu Drake, przy którym zatrzymał się dyliżans, do wschodniego Plymouth, gdzie mieściły się eleganckie, otoczone ogrodami domy. Po wielogodzinnej podróży z Bath, którą spę-

dziła ściśnięta na siedzeniu wraz z pryszczatą dorastającą dziewczyną i jej bladą guwer-  
nantką, z przyjemnością myślała o spacerze, pozwalającym rozprostować nogi. Gdyby  
tylko nie była tak głodna, że aż kręciło jej się w głowie!

Wszelka radość zgasła, gdy Sally zbliżyła się do kolistego podjazdu i dostrzegła  
czarny wieniec na drzwiach oraz zasłony żałobne w oknach. Jawne oznaki sygnalizujące  
śmierć członka rodziny. Zdała sobie sprawę z absurdalności własnych myśli. Niemal  
pragnęła, aby okazało się, że to najmłodszy syn Cole'ów umarł, z pewnością niewiele  
wart hulaka i utracjusz.

Kiedy kamerdyner otworzył drzwi, Sally przedstawiła się i wyjaśniła, że ma zostać  
damą do towarzystwa pani Maude Cole. Lokaj nie wpuścił jej do środka i kazał po-  
czekać. Po chwili wrócił z kobietą w czerni, ściskającą w dłoni chusteczkę.

- Moja teściowa odeszła wczoraj rano - oznajmiła, osuszając chusteczką łzy, które  
nie płynęły. - Nie potrzebujemy pani usług.

Na co ona liczyła, na cud? - zadała sobie w duchu pytanie Sally. Idiotka ze mnie,  
przecież wiedziałam, co się wydarzyło, od momentu gdy zobaczyłam czarny wieniec.

- Współczuję państwu - odezwała się spokojnym tonem, lecz nie ruszyła się z miej-  
sca.

Kobieta w czerni nasrożyła się. Pewnie nie podoba się jej, że nie rozpląwam się w  
powietrzu, pomyślała Sally. Pięć lat temu, gdy zaczynała się najmować do pracy, po-  
zwoliłaby zatrzaskać sobie drzwi przed nosem, teraz nie zamierzała się od razu poddać.  
Nie po tym, co przeszła. Nie może odejść z niczym.

- Pani Cole, czy byłaby pani łaskawa opłacić moją podróż powrotną do Bath, gdzie  
mnie pani wynajęła? - spytała.

- Nie dawałam żadnej gwarancji zatrudnienia dopóty, dopóki pani nie zobaczę i nie  
zaakceptuję - oświadczyła kobieta przez na wpół zamknięte drzwi. - Moja teściowa nie  
żyje. Nie ma dla pani pracy.

Drzwi zamknęły się z kliknięciem zamka. Sally stała jak wrośnięta w ziemię, nie  
mając pojęcia, co dalej począć. Kamerdyner otworzył ponownie drzwi i machnął dwu-  
krotnie ręką, jakby opędzał się od nieznośnego insekta.

Nie rozpłacz się. Jedyne, co może zrobić w tej sytuacji, to odwrócić się i pójść z powrotem z nadzieją, że coś wydarzy się po drodze. Nie podniosło jej to na duchu. Nie miała ani pieniędzy, ani pomysłów na przyszłość. Co takiego mówił Andrew, zanim jego kariera legła w gruzach? „Każdy problem, nawet najpoważniejszy, da się rozwiązać przy filiżance herbaty”.

Mylił się. Wiedziała to najlepiej, i to od lat. Idąc, zajrzała do portmonetki. Miała jeszcze tyle, aby wystarczyć na herbatę w zajezdzie.

TLR

# Rozdział pierwszy

Mysza spóźniała się. Sir Charles Bright, admirał w stanie spoczynku, uważał się za tolerancyjnego człowieka, z jednym wyjątkiem - nie znosił niepunktualności. Przez ponad trzydzieści lat wydawał rozkazy, które były wykonywane szybko i bez szemrania. Lad i dyscyplina były dla niego czymś naturalnym jak powietrze, niepunktualność nie wchodziła w rachubę. Nie dla Myszy. Przysięgłby, że rzeczona dama z ulgą przyjęła możliwość poślubienia dojrzałego, doświadczonego mężczyzny i zmiany statusu ze starej panny na mężatkę. Mysza, czyli panna Prunella Batchthorpe była bardziej niż chętna do zawarcia małżeństwa z dość prozaicznych powodów.

Bright zapatrzył się w stygnącą herbatę i podsumował w myślach swoje atuty i defekty. Czterdzieści pięć lat to nie aż tak zaawansowany wiek, zwłaszcza że zachował włosy, chociaż nosił je krótko przystrzyżone. Miał też wszystkie zęby, z wyjątkiem tego straconego u wybrzeży północno-zachodniej Afryki. Brak lewej ręki kompensował zgrabny hak i był pewien, że nie wymachiwał nim zbyt często podczas ostatniej rozmowy z panną Batchthorpe. Założył na tę okazję srebrny, a Starkey wypolerował go aż za bardzo przed podróżą admirała do Kentu. Nie mówił za dużo, nie odchrząkał głośno w niewłaściwych momentach, stwarzając niezręczną sytuację, nie miał odstręczającego brzucha ani, jak sądził, przykrego oddechu. Starszy brat Prunelli, kapitan na jego okręcie flagowym i ulubiony kompan, zapewniał admirała, że siostra w wieku trzydziestu siedmiu lat nie pragnie niczego bardziej niż własnego domu. Wniosek nasuwał się sam: albo rzeczywiście nie grzeszyła punktualnością, albo się rozmyśliła.

Mógł przymknąć oko na jej brak urody. Wyjaśnił jej zresztą, że to małżeństwo z rozsądku, rodzaj układu między nimi, co uwalniało go od konieczności patrzenia o poranku na jej zaspaną twarz. Mógł przymknąć oko na jej nieśmiały sposób bycia, z którego powodu nazywał ją w myślach Myszą. Ale niepunktualność?

Rzeczywistość dopadła go nieprzyjemnie, jak wiele razy w życiu. Niemal trzy dekady spędzone w wojsku, głównie na wojnie, i mozolne wspinanie się po szczeblach kariery nie pozostawiły mu wielu złudzeń. Mogła zwyczajnie zdecydować, że go nie chce, nawet jeśli równało się to staropanieństwu. Miał świadomość, że nawet ostatni rok spę-

dzony we względnym spokoju nie złagodził przenikliwego spojrzenia jego oczu ani nie wygładził zmarszczek wokół ust czy zniszczonej morską bryzą skóry. Jakikolwiek był powód nieobecności Myszy, on wciąż rozpaczliwie potrzebował się ożenić.

Fan i Dora, starsze od niego o dobrych kilka lat siostry, nie wtrącały się w jego życie dopóty, dopóki służył na morzu. Pisywały do niego regularnie, donosząc mu o ślubach, narodzinach dzieci, śmierci krewnych i oczywiście także o awanturach o głupstwa. Bright wiedział, że najstarszy syn Fan, jego ewentualny spadkobierca, jest nieokrzesanym prostakiem, a córka Dory wyszła korzystnie za mąż za jakiegoś bajecznie bogatego głupka.

Obecne rozterki zawdzięczał wtrącającym się w jego życie krewnym, a ich dobre chęci potwierdzały tylko prawdziwość przysłowia. Obie siostry po owdowieniu odziedziczyły spore fortuny, a wraz z nimi przekleństwo nadmiernego bogactwa: zbyt wiele wolnego czasu. Fan pierwsza wytoczyła przeciw niemu ciężkie działa, ledwie zdążył się z nią przywitać, gdy odwiedził ją w Londynie po przegranej przez Napoleona bitwie pod Waterloo.

- Dora i ja życzyłybyśmy sobie, abyś się ożenił - wygłosiła. - Przecież możesz być szczęśliwy.

Niemal wodzowskie spojrzenie, jakie mu rzuciła, uświadomiło mu, że nie ma co jej zapewniać o swoim dobrym samopoczuciu. Niewiele wiedział o życiu, jakie Fan wiodła w małżeństwie, zanim jej mąż, adwokat, zmarł, ale to jedno zdanie powiedziało mu sporo o tym, jak czuje się nieszczęśliwa.

Dora, jak zawsze podporządkowana Fan, wtrąciła się do rozmowy, dowodząc, że admirał musi mieć żonę, „aby prowadziła go po krętych ścieżkach życia”. Akcentowała każde słowo i w rodzinie żartowano, że mówi wielkimi literami. Argumenty były pokrętne i dość niejasne, jak większość jej wystąpień, ale admirał był tak zdumiony bezceremonialnym atakiem Fan, że nie skomentował tego.

Żoneczka dla ich małego braciszka. Przez cały czas, który z nimi spędził, zaskakiwały go, prezentując niezliczone kandydatki na żonę, młode, tak że mogłyby być jego córkami, i starsze, gotowe za wszelką cenę wyjść za mąż. Niektóre urocze, ale z żadną nie udało mu się poprowadzić interesującej konwersacji. Ktoś, z kim mógłby porozma-

wiać - o to wszystko się rozbijało. Czyżby londyńskie damy onieśmielał jego tytuł i mundur? Wzdrażały się z powodu haka? Nie podzielały żadnych jego zainteresowań? Niedobrze mu się robiło od wysłuchiwania uwag o pogodzie i o tym, kto się pojawił w Almacku.

Nie miało to dla jego sióstr znaczenia, były zdecydowane wprowadzić swój plan w życie. Wydawało mu się, że znały wszystkie dobrze urodzone kobiety w całej Brytanii.

Myślał, że się od nich uwolnił, gdy zamieszkał w wynajętym apartamencie w Plymouth i zaczął spędzać czas w biurach agentów nieruchomości, szukając domu w mieście lub okolicach. Ledwie na drzwiach zawisła kołatka, parada uroczych kandydatek holowanych przez siostry zaczęła się znowu.

Z początku skonsternowany, szybko popadł niemal w rozpacz. Doszedł do wniosku, że siostry niewiele o nim wiedzą i właściwie go nie znają. Przysłowiową kroplą, która przelała czarę goryczy, było oświadczenie Fan, że nie tylko znajdzie mu narzeczoną, ale urządzi jego nową posiadłość w egipskim stylu. Nawet on wiedział, że dawno wyszło to z mody, a gdy dostarczono mu krzesło w kształcie szakala, zrozumiał, że czas zacząć działać.

Właśnie dlatego oczekiwał teraz na pannę Prunellę Batchthorpe. Jej brat, Dick Batchthorpe, kapitan na jego flagowym okręcie, często o niej opowiadał podczas rejsów. Jednym słowem, admirał zamierzał dać się zakuć w małżeńskie kajdany po to, aby zostawiono go w spokoju. Zżymał się w duchu, że musi pójść za radą dwóch najmniej rozsądnych kobiet, jakie znał, z drugiej strony, miał to być całkiem miły gest wobec Dicka, którego nie cieszyła perspektywa utrzymywania starej panny, no i wobec rzeczonyj panny marzącej o własnym domu.

Siedział więc teraz w jadalni zajazdu Drake, której okna wychodziły na ulicę, i odczuwał lekką ulgę z powodu nieobecności Myszy, nawet jeśli go to zawstydzalo. Panna Batchthorpe była jednak bardzo nieatrakcyjna.

Z podjazdu dobiegł go dźwięk podjeżdżającej bryczki, co go zaniepokoiło, teraz kiedy przyznał sam przed sobą, że panna Batchthorpe niespecjalnie mu odpowiada. Wstał, starając się nie wyglądać na nadmiernie zainteresowanego tym, co dzieje się na ulicy. Zaraz jednak usiadł, okazało się bowiem, że to tylko bryczka z piwem.

Poklepał kieszeń surduta, do której wsunął specjalne zezwolenie na ślub. Nie wiadomo, jak długo to diabelstwo jest ważne. Na szczęście jego siostry nie miały powiązań z sądem biskupim, żeby go nękać. Gdyby wiedziały o zezwoleniu, pastwiłyby się nad nim jeszcze bezlitośniej. Umknął przed śmiercią na morzu, aby wpaść w szpony dwóch dominujących kobiet.

Czekał ponad godzinę. Czy istniał kodeks określający, ile zdecydowany, choć niezbyt chętny do ożenku przyszły pan młody powinien czekać na kobietę, której właściwie nie chciał poślubić i o której nic tak naprawdę nie wiedział? W każdym razie minęło południe i zbliżała się pora lunchu. W domu kucharz zastrajkował, nie było więc po co wracać.

Zresztą, nie uważał nowo nabytej posiadłości za dom. W obecnym stanie ducha było to dla niego tylko miejsce, w którym przebywał. Jego domem było i pozostanie morze. Westchnął i rozejrzał się za kelnerem. Jego wzrok padł na nieznaną siedzącą przy sąsiednim stoliku. Ciekawe, jak długo ta kobieta tu się znajduje. Pograżony w zadumie, nie zauważył, kiedy przyszła. Siedziała bokiem do niego w niewymuszonej pozie, z dłońmi opartymi na kolanach. Mógł ją spokojnie obserwować i zaspokoić ciekawość, nie zwracając niczyjej uwagi.

Stał przed nią imbryk i praktyczna filiżanka do herbaty, jedna z tych, jakie pani Fillion kupowała od lat, mocno przypominające porcelanową zastawę w oficerskich mesach angielskiej floty. Od czasu do czasu upijała łyżeczek i Bright odniósł wrażenie, że stara się przedłużyć picie herbaty. Nie przypominał sobie, aby widział samotną kobietę w zajezdzie Drake, ale może czekała na kogoś? Chyba nie, bo nie zwracała uwagi na wchodzących do jadalni.

Najwyraźniej była damą, ale nosiła niemodną suknię o bardzo prostym kroju, w neutralnym szarym kolorze. Na głowie miała kapelusik nijaki i stary. Poruszyła się na krześle i Bright zwrócił uwagę na figurę nieznaną. Spozrzegł, że materiał sukni został zebrany na plecach w fałdę. Ubranie nie pasowało na właścicielkę, było za duże. Czyżby chorowała?

Nie widział dobrze twarzy kobiety, osłoniętej budką kapelusza. Włosy w zwykłym brązowym kolorze zebrała z tyłu głowy w gruby węzeł. W pewnym momencie skierowa-



ła spojrzenie na siedzącego przy sąsiednim stoliku dżentelmena, który właśnie złożył gazetę i wytarł serwetką usta. Pochyliła się nieco, aby go lepiej widzieć, a gdy wstał, odwróciła głowę, śledząc go wzrokiem, i Bright dostrzegł prosty kształtny nos, usta o lekko opadających kącikach i ciemnobrązowe, jak jego własne, oczy.

Ledwie mężczyzna wyszedł z jadalni, podeszła do jego stolika, zabrała gazetę, a potem wróciła na miejsce. Admirał nigdy nie widział, aby kobieta czytała gazetę. Patrzył zafascynowany, jak rzuciła okiem na pierwszą stronę, a potem przeszła do ostatnich, gdzie, jak wiedział, zamieszczano reklamy i ogłoszenia. Szukała toniku mającego uśmierzć kobiece dolegliwości? Czy raczej ciekawiły ją odbywające się procesy sądowe albo pożyczki pieniężne?

Przesuwała szybko wzrokiem po ogłoszeniach, w końcu potrząsnęła głową, złożyła starannie gazetę i upiła kolejny łyk herbaty. Otworzyła torebkę i zajrzała do niej, jakby sprawdzała, czy nie ma w niej pieniędzy.

Zaciekawiony Bright rozłożył swój egzemplarz gazety na przedostatniej stronie, chcąc się przekonać, co wywołało takie rozczarowanie nieznajomej. Ogłoszenia „Pracownik poszukiwany” zajmowały dwie wąskie kolumny. Przebiegł je pobieżnie wzrokiem. Nic dla kobiety. Ponownie spojrzał na nieznajomą i zobaczył, że znów zajrzała do torebki. Przyłapał się na tym, że tak jak ona chciałby, aby zmaterializowały się w niej pieniądze. Jakieś szczegóły czasem mu umykały, ale na ogół trafnie osądzał innych.

Nie było wątpliwości: kobieta nie miała środków do życia i szukała posady.

Kelner podeszedł do jej stolika. Obdarzyła go przemiłym uśmiechem i potrząsnęła głową. Nie odszedł natychmiast, wymienił z nią cichym głosem kilka zdań, po których jej twarz pobladła. Chce ją wyrzucić, pomyślał Bright i poczuł oburzenie. Jak on śmiał! Zwłaszcza że jadalnia była prawie pusta.

Zżymał się przez chwilę, a potem zdusił złość i zastanowił się, w czym problem. Może w nadmiernej trosce o ludzi. Pamiętaj, nie jesteś już odpowiedzialny za los całego narodu, powiedział sobie. Zostaw to swojemu biegowi.

Nie potrafił. Przez zbyt wiele lat służył ludziom mieszkającym na tych wyspach i w rezultacie nie umiał pozostać obojętnym, widząc kogoś w potrzebie. Zanim kelner

podszedł do niego, wiedział już, co zrobi. Posłuży się kłamstwem, czego na ogół unikał, ale nic innego nie mógł wymyślić na poczekaniu.

Kelner skłonił się z uśmiechem i zarekomendował mu potrawy na lunch. Zapisał zamówienie, a wtedy Bright pokazał mu gestem, aby się przybliżył.

- Czy może mi pan oddać przysługę?

- Oczywiście, proszę pana.

- Widzi pan tę damę? To moja kuzynka, jesteśmy skłóceni.

- Ach, te panie... - Kelner potrząsnął głową.

Bright postarał się, aby w następnych słowach zabrzmiała stosowna doza ubolewania.

- Muszę ją ułagodzić. To stara historia, ale jak pan widzi, siedzimy przy oddzielnych stolikach, a obiecałem jej matce... - Zawiesił głos i miał nadzieję, że zabrzmiało to wystarczająco bezradnie.

- Czego pan oczekuje ode mnie?

- Proszę jej podać to samo, co mnie. Usiądę obok niej i zobaczymy, co się wydarzy. Będzie zaskoczona. Może nawet wstanie i odejdzie, ale muszę spróbować. Mam nadzieję, że pan rozumie.

- Oczywiście, proszę pana. - Kelner dopisał kolejne zamówienie i z ukłonem odszedł.

Kłamię lepiej, niż przypuszczałem, pomyślał admirał i uśmiechnął się do siebie. Do diaska, mógłbym się dochrapać tytułu pierwszego lorda admiralicji, gdybym wcześniej odkrył w sobie ten talent. Liczył na to, że posiłek zostanie podany szybko, zanim nieznajoma wysączy ostatni łyk herbaty i wyjdzie z restauracji. Wykluczone, żeby za nią poszedł, byłoby to ekstremalnie niewłaściwe. Diabelnie blisko lądu po zawietrznej, uznał, co oznacza możliwość katastrofy. Spostrzegł, że kobieta po raz kolejny zagłąda do torebki. Bliżej ci do katastrofy niż mnie, pomyślał. Ja przynajmniej mam gdzie mieszkać, ty pewnie nie.

W początkach kariery w marynarce, kiedy jeszcze był nic nieznaczącym młodszym oficerem, dowodził desantem na ląd u wybrzeży północno-zachodniej Afryki. Nie poszło tak, jak było zaplanowane, mimo to zdołali wykonać zadanie, a on i większość ludzi

przeżyła. Nigdy nie zapomniał uczucia, jakie go ogarnęło, gdy dziób szalupy wśliznął się na wybrzeże - ściskanie w dołku, suchość w gardle, irytujące lekkie drżenie lewej powieki. Teraz poczuł mniej więcej to samo, gdy wstawał z zamiarem podejścia do sąsiedniego stolika, tyle że tym razem miał pewność, że się uda. Ciężko okupiony sukces u wybrzeży Afryki sprawił, że potem każde działanie wydawało mu się możliwe, bo po prostu wiedział, że da radę.

- Proszę pani - zaczął spokojnym głosem.

Popatrzyła na niego. Niemożliwe, żeby brąz tęczywek był aż tak nasycony. On też miał brązowe oczy, ale zupełnie nie takie jak ona.

- Tak? - padło niepewnie.

Sporo mu to powiedziało. Była damą i nie przywykła, aby zwracano się do niej tak bezceremonialnie. Najlepiej posłużyć się tytułem. Zbić ją z tropu głupotami, jak zwykły mawiać kapitan jednej z fregat, kiedy schodził na ląd, licząc na miłosny podbój.

- Admirał sir Charles Bright, świeżo emerytowany po służbie w Królewskiej Marynarce Wojennej... - Urwał, bo chyba jej to nie uspokoiło, wyraźnie pobladła. - Bardzo panią proszę, czy mógłbym się przysiąść?

Skinęła głową, nie spuszczając z niego wzroku, jakby spodziewała się po nim najgorszego. Uśmiechnął się najbardziej przyjacielsko, jak tylko potrafił.

- Prawdę mówiąc, zastanawiałem się, jak mogę pani pomóc - powiedział i zaryzykował: - Sprawia pani wrażenie, jakby dryfowała po zawietrznej prosto na mieliznę.

W oczach miała niepewność, ale była zbyt dobrze wychowana, aby go po prostu odprawić.

- Nie sędzę, aby mógł mi pan w jakikolwiek sposób pomóc, panie admirale.

Nachylił się lekko, przysuwając do niej głowę, na co ona cofnęła nieznacznie swoją.

- Czy kelner powiedział, aby zwolniła pani stolik po wypiciu herbaty?

Rumieniec wpelzający z jej szyi na policzki powiedział mu wszystko. Skinęła głową, zbyt zawstydzona, aby na niego spojrzeć. Przez dłuższą chwilę milczała, jakby zastanawiała się, czy wypada dalej prowadzić konwersację.

- Wspomniał pan o dryfowaniu po zawietrznej, sir Charlesie - odważyła się w końcu, ale zaraz zamilkła i niezdolna wypowiedzieć ani słowa więcej, potrząsnęła tylko smutno głową.

Zna żeglarskie określenia, pomyślał i rzucił się na głęboką wodę:

- Nic nie poradzę na to, że zauważyłem, jak często zaglądała pani do torebki. Znam to z czasów, gdy byłem młody. Zaklinanie rzeczywistości, prawda? Oczekiwanie, że monety jednak się pojawią.

Nieznajoma zdobyła się na uśmiech.

- Jednak nigdy się nie pojawiają.

- Nie. Chyba że jest się alchemikiem albo wyjątkowo skutecznym świętym.

Uśmiechnęła się szerzej, lekko odprężona.

- Poznała pani moje nazwisko. Czy mógłbym poznać pani?

- Paul. Pani Paul.

Poczuł się rozczarowany, co go zdziwiło.

- Czeka pani na męża?

- Nie, panie admirale. Zmarł pięć lat temu.

- Ach, tak... - Zobaczył podchodzącego z wazą kelnera, a za nim pikolaka z resztą jedzenia.

- Pomyślałem, że może zechciałyby pani coś zjeść.

Zaczęła się podnosić z krzesła, ale powstrzymał ją kelner, stawiając przed nią talerz z zupą. Usiadła z powrotem, wyraźnie zdenerwowana.

- Nie powinnam na to pozwolić.

Kelner spojrzał wymownie na admirała, jakby wypowiadał nieśmiertelne „a nie mówiłem?”

- Nalegam - powiedział Bright.

Kelner uwijał się i na odchodnym rzucił pani Paul dobrotliwe spojrzenie, wyraźnie zadowolony z roli, jaką odegrał w rzekomym pojednaniu kuzynów.

Siedziała nieruchomo, z dłońmi splecionymi na kolanach, i unikając wzroku admirała, wpatrywała się w jedzenie. Nawet on, choć spędził całe życie na morzu, niewiele mając do czynienia z towarzyską etykietą, zdawał sobie sprawę z tego, że jego zachowa-

nie było wysoce niestosowne. Nie mógł jej oczywiście do niczego zmusić, poza tym nie chciał dolewać oliwy do ognia, wiedział przecież, że ma przed sobą zdesperowaną kobietę.

- Pani Paul, powstała pewna niezręczność. - Starał się mówić spokojnym, rzeczowym tonem. - Zamierzam zacząć jeść, ponieważ jestem głodny. Proszę wierzyć, że nie kieruję się żadnymi innymi pobudkami jak tylko taką, iż chciałbym spożyć lunch w pani towarzystwie.

Milczała. Uniósł łyżkę z zupą do ust. Gęsta, na treściwym bulionie, tak jak lubił. Kiedy znów spojrzął na panią Paul, zobaczył, jak łza spływa jej po policzku i skapuje do zupy. Wstrzymał oddech, kiedy sięgnęła po łyżkę i zaczęła jeść. Pierwszy łyk spłynął do gardła i nie zdołała powstrzymać cichutkiego pomruku zadowolenia, co dało mu pojęcie o tym, kiedy ostatni raz jadła. Poczuł, jak ogarnia go gniew na myśl, jakiego upokorzenia doznaje ta dumna kobieta w zwycięskiej Anglii. Dlaczego go to zaskakiwało? Przecież widział żebrzących na ulicach marynarzy, których odprawiono z niczym, gdy tylko skończyła się wojna.

- Pani Fillion przygotowuje tę zupę osobiście - wyjaśnił. - W czasie wojny miałem okazję kilka razy jeść tutaj.

Pani Paul popatrzyła na niego przenikliwie prześlicznymi oczami, ogromnymi w wychudzonej twarzy.

- Jest doskonale doprawiona bazylią, ani za dużo, ani za mało, nie sądzi pan?

Poruszył go ten komentarz dumnej kobiety, która znalazła się nad krawędzią. Jadła powoli, rozkoszując się każdym łykiem, jakby miał to być jej ostatni posiłek. Bright zaczął opowiadać o życiu na morzu i na emeryturze, starając się, aby nieprzerwany strumień konwersacji nadał tej niezręcznej dla nich obojga sytuacji pozór normalności.

Pieczoną wołowinę podano z młodymi ziemniakami tak smacznymi, że miał ochotę zgarnąć porcję także z jej talerza. Bardzo chciał usłyszeć jej historię i w końcu został nagrodzony, gdy nasyciła się i skończyła jeść. Odłożyła sztućce i powiedziała:

- Sir Charlesie, ja...

- Gdyby zechciała pani zwracać się do mnie per admirał Bright - przerwał jej, również odkładając sztućce i dał znak pikolakowi, aby sprzątnął talerze. - W czasie woj-

ny Korona rozdawała tytuły szlacheckie na prawo i lewo. Co innego z admirałem. Zasłużyłem sobie na to.

Uśmiechnęła się i osuszyła serwetką kąciki ust.

- Dobrze, panie admirale. Dziękuję za lunch. Powinnam chyba wyjaśnić panu, w jakiej znalazłam się sytuacji.

- Tylko wtedy, jeśli pani sama tego chce.

- Tak. Nie chciałabym, aby pan myślał, że zawsze tak jest. Zazwyczaj pracuję.

Bright pomyślał o żonach swoich podwładnych i kolegów, bezpiecznych w swoich domach, dbających o rodzinę, i o kobietach odwiedzających doki, aby świadczyć usługi marynarzom. Nigdy dotąd nie spotkał kobiety trudniącej się uczciwą pracą.

- Proszę mówić dalej, pani Paul.

- Odkąd mój mąż... umarł, jestem damą do towarzystwa. - Poczekała, aż kelner oddali się na tyle, żeby nie słyszeć jej słów. - Jak się pan zapewne zorientował po akcencie, pochodzę ze Szkocji.

- Ależ skądże! - drażnił się z nią Bright, zadowolony, że łyzy już nie napływają jej do oczu.

- Dotrzymuję towarzystwa starszym damom, ale one, niestety, umierają. - W oczach pani Paul błysnęło rozbawienie. - Nie z mojej winy, oczywiście, zapewniam pana.

- Nie podejrzewałem, że mam do czynienia z morderczynią uroczych staruszek.

- Rzeczywiście nią nie jestem. Byłam bezrobotna przez sześć tygodni, zanim znalazłam posadę tu, w Plymouth.

- Gdzie przedtem pani mieszkała?

- W Bath. Urocze staruszki, jak to pan określił, lubią odwiedzać pijalnie wód w uzdrowisku. - Zrobiła minę, która wiele mu powiedziała, ale szybko spoważniała. - Kiedy wreszcie dostałam pracę, miałam akurat tyle pieniędzy, aby opłacić miejsce w dyliżansie pocztowym.

Zamilkła, a on wyczuł, że panią Paul znów ogarnął strach. Mógł tylko próbować rozproszyć go żartem, chociaż miał ochotę ująć jej dłoń i uścisnąć.

- Proszę pozwolić mi zgadnąć. Trafiła pani na ponuraków, którzy nie widzieli nic zabawnego w pani uroczym akcencie.

Potrząsnęła głową.

- Pani Cole zmarła w przeddzień mojego przyjazdu.

- I co pani zrobiła? - spytał cicho.

- Poprosiłam o opłacenie z powrotem przewozu do Bath, ale nie chciano o tym słyszeć. - Twarz jej spochmurniała. - Pani domu poleciła kamerdynerowi odpędzić mnie od drzwi jak psa.

A ja denerwuję się dwiema niemądrymi siostrami, pomyślał admirał.

- Czy w Bath czeka na panią posada?

Milczała przez dłuższą chwilę.

- Nic nigdzie na mnie nie czeka, panie admirale - odparła w końcu. - Siedziałam tutaj i zbierałam się na odwagę, aby zapytać właściciela, czy potrzebuje pomocy kuchennej.

Zamilkli oboje.

Bright wiedział niewiele o pani Paul, poza tym, że pochodziła ze Szkocji, co zdradzał jej akcent, nie była pierwszej młodości i owdowiała. No i to, że nie paplała głupkowato o pogodzie ani o tym, kto się pojawił w Almacku. Poza tym nie rozdzierała szat z powodu swojej sytuacji.

Wyciągnął zegarek. Myszka spóźniła się trzy godziny.

Wziął najgłębszy oddech w swoim życiu - głębszy niż wtedy, gdy przeprowadzał fregatę u wybrzeży Egiptu pod nosem francuskiej floty w czasie bitwy o Nil.

- Pani Paul, mam pomysł. Ciekawe, co pani na to.

## Rozdział drugi

- Chce mnie pan poślubić?!

Trzeba jej było przyznać, że go wysłuchała. Nie zerwała się na równe nogi, nie spoliczkowała go ani nie zemdląła. Uważa mnie za obłąkanego, uznał w duchu admirał, próbując wyobrazić sobie, co czuła pani Paul, gdy przedstawiał jej swoją propozycję. Przypomniawszy mu się jeden z kapitanów, którego wyjątkowo nie lubił. Miał zwyczaj mówić coraz szybciej, w miarę jak więcej kłamał. Tam, do licha, w końcu on nie kłamie!

- Ma pani przed sobą zdesperowanego mężczyznę. - Skrzywił się, tak idiotycznie to zabrzmiało. - Potrzebuję żony, i to na gwałt... to znaczy jak najszybciej - poprawił się, zakłopotany.

Znowu pomyślał z uznaniem o pani Paul. Niestety, było jasne, że nie zamierza brać go poważnie. Uśmiezek ledwo dostrzegalnie uniósł kąciki jej warg, ale zdradził mu, co myśli o jego propozycji. Jak mógłby ją przekonać? Raczej niemożliwe, doszedł do niewesołej konkluzji.

- Nie powzięła pani, mam nadzieję, przekonania, że w godzinie niebezpieczeństwa Królewską Marynarką Wojenną dowodzili idioci.

- Nigdy tak nie sądziłam, admirał - odparła Sally, powstrzymując śmiech. - Ale... na litość boską, dlaczego chce pan się żenić natychmiast? Teraz, kiedy jest pan na emeryturze, czy nie ma pan dość czasu, aby załatwić tę sprawę bez pośpiechu?

- Mam dwie siostry. Od jesieni, czyli od czasu, gdy przeszedłem na emeryturę, nękają mnie wizytami w towarzystwie wybranych przez siebie kobiet. Czuję się zapędzony w kozi róg i znękany. Poza tym wcale nie jestem przekonany, czy chcę się ożenić.

Spojrzała na niego z niedowierzaniem, jakby zastanawiała się - ale była zbyt grzeczna, żeby o to zapytać - jak to możliwe, aby dorosły mężczyzna, przez lata stawiający czoło francuskiej armii, dał się zastraszyć siostrom.

- Z pewnością mają jak najlepsze intencje - powiedziała. - Może... trzeba pana trochę ponaglać.



- Nie o to chodzi - zaprotestował, ale w duchu przyznał jej rację. - Czy nie byłaby pani zdenerwowana, gdyby ktoś na siłę usiłował pani pomóc, bez względu na to, czy pani tego oczekuje?

Sally milczała przez chwilę, jakby odpowiedź wymagała namysłu.

- Mogę być szczerą, admirale?

- Ależ oczywiście.

- Chwilami wręcz pragnę, aby ktoś chciał mi na siłę pomagać.

Dostało mu się.

- Musi pani uważać mnie za użalającego się nad sobą mazgaja.

- Nie, proszę pana - zaprzeczyła z prostotą. - Sądzę, że ma pan teraz zbyt dużo wolnego czasu.

- Aha! - Uderzył hakiem w stół, aż filiżanki podskoczyły. - To moje niedorzeczne siostrunie mają za dużo czasu! Zamieniły moje życie w koszmar - dokończył spokojnie.

- Uważa pan, że oświadczając się mi, rozwiąże problem? - spytała z ciekawością.

- Jest pani dla mnie ostatnią deską ratunku. Rezerwowym kołem ratunkowym.

Kompletny ze mnie idiota, doszedł do wniosku, gdy spojrzała na niego z niedowierzaniem i zdziwieniem. Na szczęście nie zerwała się na równe nogi i nie uciekła. Może uznała, że powinna się odpłacić za posiłek, ocenił z wisielczym humorem. Spacyfikować obłąkańca.

- Rezerwowym? Czy to znaczy, że mam zastąpić kogoś, kto nie przyszedł? - Kąciki jej ust drgnęły. - Powinnam być zazdrosna? Zmusić ją do konfrontacji?

Punkt dla niej, trudno było się nie uśmiechnąć.

- Och, pani Paul, okropnie to zagmatwałem. Proszę mi pozwolić poprawić się.

Opowiedział jej, jak kompletnie zdesperowany, ponieważ siostry nie dawały mu spokoju, skontaktował się z kapitanem dowodzonego przez siebie okrętu flagowego, który miał siostrę tęskniącą za ślubną obrączką.

- Oświadczyłem się jej, a właściwie złożyłem propozycję małżeństwa dla konwensu. Chciała mieć męża, bo tak się składa, że panie... hm... to znaczy... wolą nie iść przez życie samotnie. Wyjaśniłem jej to dokładnie - pospieszył z zapewnieniem - i zgodziła się. - Popatrzył na panią Paul, prawdę mówiąc zdziwiony, że wciąż z nim siedzi.

Nagle spojrzął na całą sytuację z jej punktu widzenia. - To czysta głupota, prawda? Sterczałem tu jak kolek, a dama się nie pojawiła. I wcale się jej nie dziwię. - Spojrzął na protezę. - Nic pociągającego w tym haku.

Pani Paul przycisnęła palce do ust, jakby starała się powstrzymać kolejny wybuch śmiechu.

- Admirale, gdyby zależało jej na panu, nie zważałaby na hak. Ma pan wciąż kompletne uzębienie i bujną czuprynę, a w Plymouth z pewnością znalazłby się dobry krawiec, który... - Urwała. - Przepraszam, musi pan uważać mnie za wyjątkowo nietaktowną osobę.

- Nie, uważam panią za prostolinijną, otwartą osobę i... tak, do diaska, nie jestem łysy, a ząb straciłem tylko jeden podczas lądowania u wybrzeży Afryki Północnej.

- Jakaż niedbałość z pańskiej strony - powiedziała zduszonym głosem i nie mogąc się dłużej powstrzymać, roześmiała się na całe gardło.

Dobrze, że w jadalni było pustawo, uznał admirał, bo śmiał się razem z panią Paul.

- Co jest nie tak z moim ubraniem? - spytał, kiedy znowu mógł mówić.

- Nic takiego, admirale. - Osuszyła serwetką łzy wesołości w kącikach oczu. - Poza tym, że noszono się tak jeszcze za panowania nieszczęsnego Jerzego Trzeciego, u nie za regencji jego syna. Jak sądzę, przez całe lata nie wkładał pan nic innego poza mundurem. Zapewne wielu mężczyzn zapewne zazdrości panu odwagi hołdowania modzie przełomu wieku, admirale, ale czas pożegnać się ze starymi ubraniami, nawet jeśli wciąż doskonale na panu leżą.

- Nigdy nie miałem skłonności do przybierania na wadze. Krawiec coś pomoże?

- Owszem, lecz nie rozwiąże problemu z siostrami - zauważyła roztropnie. - Przypuśćmy, że zgodziłabym się na pańską... hm... niecodzienną propozycję, a pan zakochałby się w jakiejś kobiecie. Co wtedy?

- Albo założmy, że pani by się zakochała - odbił piłeczkę, zadowolony, że ona rozważa jego ofertę.

- Nieprawdopodobne. Nie posiadam majątku ani koneksji. Miałam dobrego męża i myślę, że to wystarczy - powiedziała rzeczowym tonem Sally.

Bright chętnie wypytałby ją o więcej, ale nie śmiał.

- Czy drażniła się z nim pani tak bezlitośnie jak ze mną? Niedbalstwo z mojej strony, że straciłem ząb? Doprawdy, pani Paul.

- O wiele bezlitośniej - odparła z ożywieniem. - Znałam go lepiej, a wszyscy wiedzą, że zażyłość rodzi porozumienie.

Jest inteligentna i dowcipna, stwierdził w duchu Bright.

- Nie zdążyłem nabrać wprawy w szukaniu sobie żony. Zresztą, nie myślałem, że będę żył tak długo. Mogę za to winić tylko Napoleona.

- W zasadzie czemu nie. Jednak on też miał kłopoty z żonami. - Nachyliła się ku niemu. - Admirale, nic nie wiem o pańskiej sytuacji finansowej ani nie chcę wiedzieć, ale z pewnością pojawienie się w Almacku podczas sezonu towarzyskiego stworzyłoby matrymonialne perspektywy, satysfakcjonujące nawet pańskie siostry. - Zauważyła wyraz niesmaku malujący się na jego twarzy, ale mówiła dalej: - Jeśli Almack nie wchodzi w rachubę, zawsze pozostaje kościół. Można tam znaleźć nieskazitelne damy.

- Chciałaby pani, żebym wysłuchiwał kazań, a przy okazji robił maślane oczy do kobiety siedzącej w sąsiedniej ławce?

Spojrzała na niego tak, że ciarki go przeszły.

- Próbuję tylko wymienić miejsca, w których może pan spotkać dobrze urodzone, odpowiednie dla pana niezamężne kobiety. Nie bywał pan w większych opalach, prowadząc flotę?

- Bywałem - zapewnił ją, rozgrzany konwersacją. Rozmowa z tobą jest interesująca i dowcipna, dodał w myślach. - Pani Paul, czy pani lubi dyskutować o pogodzie?

- Co ma pogoda do tego i wszystkiego innego?

- A o dobrych książkach?

- Czasem. A wie pan, że odkąd korzystałam z rodzinnej biblioteki w domu w Bath, gdzie ostatnio byłam damą do towarzystwa, mam rozległą wiedzę na temat pierwszych świętych Kościoła? Proszę mi zadać dowolne pytanie na ten temat. Rzucam panu wyzwanie.

Bright roześmiał się głośno.

- To chwalebne, że przestrzega się żałoby, ale nie rozumiem, dlaczego dotąd nie oświadczył się pani żaden dżentelmen. Jest pani przyjemną, dowcipną osobą.

- Z kobietami jest inaczej, panie admirale. Znakomita większość mężczyzn oczekuje majątku, wiążąc się z kobietą. - Zajrzała do torebki, a on zrozumiał, że zamierza obrócić tę niezręczną dla niej sytuację w żart. - Mam tutaj notes, ogryzek ołówka i bandaż.

Nie chcesz niczyjego współczucia, pomyślał.

- Oboje jesteśmy w kropce? - spytał.

- Mogę się z tym zgodzić - odparła, w oczach znów błysnęło rozbawienie.

- Będę zmuszony powrócić do swojej posiadłości jako kawaler bez widoków na ożenek, a na dodatek mój kucharz strajkuje.

- Co takiego mu pan zrobił?

- Nic. Uprzedziłem tylko, że siostry przyjeżdżają na dwa dni. Rozkazują mu, stawiają wymagania. Jest Francuzem, był moim kucharzem przez jedenaście lat, przeżył niejedną ostrzał okrętu, ewakuował się z tonącego statku, a mimo to on również nie potrafi stawić czoła moim siostrom.

- Dlaczego pan myśli, że małżeństwo cokolwiek by zmieniło? - spytała przytomnie. - Przecież siostry będą panu składać wizyty.

- Trzeba pani wiedzieć, że one są najszcześliwsze, gdy mają do wypełnienia jakąś misję - wyjaśnił. - Jeśli pani zacznie zarządzać moim domem i kucharzem oraz mieć pieczę nad przebudową, szybko się znudzą.

- Przebudową? - spytała.

- Znalazłem doskonały dla mnie dom. Okna wychodzą na zatokę, jest kompletnie umeblowany i wyposażony, mimo to wymaga pewnych, a raczej licznych przeróbek.

Obawiam się, że poprzedni właściciel miał wiele złych nawyków.

Sally roześmiała się.

- Czyli zamierzał pan poślubić tę nieszczęsną kobietę, która nie przyszła, aby sprowadzić ją w ruiny?

Bright nie mógł się powstrzymać. Sam nie wiedział, co go napadło, ale wsunął koniec haka w zawiązane pod jej brodą wstążki kapelusika. Siedziała jak sparaliżowana, kiedy delikatnie pociągnął za węzeł, a potem zsunął budkę na tył głowy, odsłaniając jej twarz.

- Czy na pewno nie chce pani tego rozważyć? Nie będzie się pani nudzić w moim domu. Urządzi go pani według swojego gustu, zmiękczy pani mojego kucharza, tego jestem pewien, i znajdzie mi krawca.

- Nic pan o mnie nie wie - powiedziała spokojnie, na twarz wrócił rumieniec. - Nawet tego, ile mam lat.

- Trzydzieści? - zaryzykował.

- Trzydzieści dwa.

- Ja czterdzieści pięć. - Przyłożył palec do ust i uniósł górną wargę. - Tu brakuje mi zęba. Włosy strzygę krótko, bo mam swoje nawyki. - Poczł, że i na jego twarz wypływa rumieniec. - Odłączam hak na noc, bo nie chcę sam siebie uszkodzić, gdy nękają mnie senne koszmary.

Popatrzyła na niego zafascynowana.

- Nigdy nie spotkałam nikogo takiego jak pan, admirale.

- To źle czy dobrze?

- Chyba dobrze.

Wstrzymał oddech, bo wydało mu się, że ona się namyśla. Po prostu powiedz „tak”, zaklinał ją w duchu.

Ku jego rozczarowaniu, potrząsnęła głową, nasunęła kapelusik na miejsce i wstała.

- Dziękuję za lunch, admirale Bright - powiedziała, unikając jego wzroku. - To było niezwykle przyjemne popołudnie, ale teraz muszę pójść do biura pośrednictwa pracy i spytać, czy czegoś dla mnie nie mają.

- A jeśli nie będą mieli? - Zabrzmiało to chłodno i rzeczowo, ale nie była kobietą szukającą współczucia.

- To mój problem - uświadomiła mu.

Wstał również, gdy odeszła od stołu, i czuł się znacznie gorzej niż wtedy, gdy oczekiwał na Myszę. Zaskoczyła go, odwracając się już w drzwiach, aby mu posłać pożegnalne spojrzenie i ciepły uśmiech mówiący, że to popołudnie pozostanie dla niej przyjemnym wspomnieniem.

- No i koniec - rzekł cicho do siebie, czując się tak, jakby jakaś niedobra siła wysała z niego całą energię.

Dziwaczne uczucie, wcale mu się to nie podobało.

Z krokiem, który oddalał ją od zajazdu Drake, Sally traciła animusz. Zobaczyła kamienną ławkę przy Cattewater i usiadła na niej, próbując zebrać się w sobie. Czerwone słońce przyjemnie grzało. Wystawiła twarz na jego promienie, ciesząc się z lata, zwłaszcza że zimę spędziła, zajmując się kłótniawą, wiecznie utyskującą starą kobietą, opuszczoną przez rodzinę, ponieważ w przeszłości nie traktowała jej dobrze.

Niech to będzie dla mnie przestroga, pomyślała Sally. Tyle że nie było przy niej nikogo, komu mogłaby okazać uczucie, nikt już jej nie został, kto mógłby odpłacić się jej na starość czułością, gdy stanie u kresu drogi. Mąż zmarł pięć lat temu. Popełnił samobójstwo, niezdolny bronić się przed oskarżeniami wysuniętymi wobec niego przez admiralicję. Królewska Marynarka Wojenna w ramach odwetu pozbawiła ją środków do życia, a jej synka Petera wykończył pobyt w zimnym przytułku dla nędzarzy.

Wyrwał się jej głośny szloch, rozejrzała się, żeby sprawdzić, czy nikt nie był tego świadkiem. Mąż sam zadał sobie śmierć. Powiesił się poza domem i znalazł go ktoś inny.

Jeszcze ciężiej niż jego śmierć przeżyła odejście synka, który umarł z głodu i zimna, a ona nie mogła nic zrobić, tylko cierpieć w samotności. Nikt poza nią nie odprowadzał go do bezimiennej mogiły w zbiorowym grobie dla ubogich, ale opłakiwała go mocniej i szczerzej, niż cały orszak krewnych.

Nie miała do kogo zwrócić się w Dundrennan, gdzie jej zmarły ojciec był niezbyt wziętym radcą prawnym. Nazwisko Paul nie wywoływało pozytywnych skojarzeń w Szkocji, odkąd młodszy brat ojca, John, stanął po stronie amerykańskich secesjonistów. Przemianował się na Jonesa i był powszechnie znienawidzony. Tu, na południu, stanowczo lepiej było używać panińskiego nazwiska, niż przedstawiać się jako pani Daviess, wdowa po człowieku, który pełnił funkcję inspektora marynarki wojennej w Portsmouth i został oskarżony o czerpanie korzyści z handlowania zepsutym mięsem, na skutek czego zmarła spora liczba żołnierzy.

Nie miała się do kogo zwrócić. Mogłabym rzucić się do wody, rozmyślała, ale pewnie znalazłby się ktoś, kto by mnie uratował. A zresztą, umiem pływać i nie bardzo chcę kończyć życie w ten sposób. Zawsze mogę pójść do przytułku dla ubogich albo od-

wiedzieć wszystkie garkuchnie w Plymouth i spytać, czy nie potrzebują pomywaczki. Aha, i jeszcze poślubić admirała Brighta.

Najpierw jednak poszła do biura pośrednictwa pracy. W drzwiach zobaczyła wychodzącą bladą guwernantkę, z którą odbyła podróż w dyliżansie pocztowym. Pusty wyraz jej oczu powiedział Sally, czym skończy się jej wizyta. Uprzejmy urzędnik poinformował ją, że Stonehouse, szpital marynarki wojennej, zgłaszał zapotrzebowanie na pracownice do pralni. Nie było jednak innego sposobu, aby przekonać się, czy posada jest aktualna, jak tylko pójść osobiście do oddalonego o cztery mile Devenport.

- Ciężkie czasy, odkąd zapanował pokój, wielu ludzi szuka pracy. Powinna pani spróbować w zakładach przemysłowych na północy.

Kiedy go zapytała, jak ma się tam dostać, wzruszył ramionami.

Po zakończeniu wojny zapanowała stagnacja w interesach i w hotelach nie potrzebowano nikogo do pomocy w kuchni, co Sally odkryła, stukając do kolejnych wejść dla służby. Właściciel jednego z pubów był gotowy zatrudnić ją na miejsce dotychczasowej pomywaczki, ale ledwie spojrzała na przestraszoną twarz dziewczynki, zrozumiała, że nie potrafi zachować się tak bezdusznie.

- Nie mogę skazać dziecka na głodowanie - powiedziała.

- Jak się pani podoba - odparł i okręcił się na pięcie.

Wieczorne nabożeństwo dawno się skończyło, kościół opustoszał. Znużona Sally usiadła w tylnej ławce. Dwa dni temu, gdy pieniądze definitywnie się jej skończyły, spała w katedrze w Bath. Łatwo było ukryć się w mroku, leżąc na ławce. Kościół pod wezwaniem Świętego Andrzeja był mniejszy, ale i tu dało się znaleźć pogrążone w mroku zakątki, w których mogłaby się skutecznie ukryć. A potem co? Rankiem, gdyby wciąż tu nikogo nie było, zmoczy ostatnią czystą chusteczkę w święconej wodzie, wytrze twarz i zapyta kogoś, jak dojść do przytułku dla ubogich. Jej małemu synkowi nie groził już pobyt w takim miejscu...

Modlitewniki stały schludnie powkładane w przegródki i Sally wzięła kilka, ułożyła je w piramidkę i z westchnieniem ulgi położyła głowę na tej zaimprovizowanej poduszce. Nie musiała poluzniać sukni, bo i tak wisiała na niej luźno. Bała się zdjąć buty, bo

wiedziała, że ma spuchnięte nogi i może nie włożyć ich z powrotem. Poprawiła się na ławce, układając jak najwygodniej, i zamknęła oczy.

Kilka minut później otworzyła je z uczuciem, że coś dziwnego się dzieje. Na drugim końcu ławki siedział mężczyzna. Przestraszyła się, ale gdy przyjrzała mu się lepiej w panującym półmroku i zauważyła krótko ostrzyżone włosy, uśmiechnęła się i usiadła. Nie patrząc w jej kierunku, potarł hakiem grzbiet dłoni drugiej ręki.

- Myszka wciąż się nie pojawiła.

- Czekał pan dostatecznie długo. - Poprawiła spódnicę, zadowolona, że nie ściągnęła butów. - Nie mam pojęcia, jakie w takich sytuacjach obowiązują zasady, ale sądzę, że wyczerpał pan limit.

- Prawdę mówiąc, przez ten czas szukałem pani. Kelner powiedział mi, że zostawiła pani walizkę na krześle.

- Rzeczywiście. Nie ma w niej nic wartościowego. Dlaczego uznał, że jest pan za mnie odpowiedzialny? - spytała, wpatrując się w niego bacznie w panującym półmroku.

- Ponieważ powiedziałem mu, że jest pani moją kuzynką, z którą się skłóciłem i mam nadzieję wkupić się w pani łaski, zapraszając panią na obiad.

- Doprawdy, nadzwyczaj pomysłowo, panie admirale.

- Do diaska, a niby jak inaczej mógłbym dosiąść się do kobiety, której nie znam? - Nie potrafił ukryć rozdrażnienia w głosie. - Pani Paul, mam z panią kłopot, łatwiej poszłoby mi z armią kadetów.

- Och, niemożliwe - powiedziała jakby do siebie, rozbawiona mimo całej niezręczności sytuacji.

Spojrzała na admirała, po czym tak jak i on zapatrzyła się przed siebie.

Oboje milczeli. Bright odezwał się pierwszy.

- Ponieważ długo pani nie wychodziła z kościoła, pomyślałem, że może nie miała by pani nic przeciwko czyjemuś towarzystwu. - Głos mu złagodniał. - Często sypia pani w kościołach?

- To... bezpieczne miejsce.

Nie przysunął się do niej ani nie zmienił pozycji.



- Siostry są przerażająco wścibskie, kucharz strajkuje. Nie mogę znaleźć solidnych ludzi do przebudowy, którzy wykonaliby to, czego się podejmą. Dom jest, powiedzmy, dziwny i przysięgam, że na strychu żyją nietoperze, może nawet i gryfy.

- Cóż za przerażająca perspektywa.

- Wyznam, że wolałbym brać udział w bitwie morskiej, niż radzić sobie z tym wszystkim razem i z osobna.

- Zwłaszcza z gryfami.

Czy jestem aż tak zdesperowana? - zadała sobie w duchu pytanie Sally. A on? Ten człowiek jest... był admirałem. Doszła do wniosku, że albo jest pomyłony, albo wyjątkowo szlachetny.

- Co pani mi odpowie? - Nie patrzył na nią, jakby obawiał się, że gdy spojrzy, ona rzuci się do ucieczki niczym przestraszona sarna. - Będzie pani miała dom, przewrażliwionego kucharza, dwóch dragonów w spódnicach jako szwagierki i jednorękiego męża, który czasem poprosi o pomoc przy zapinaniu guzików albo o zapieczętowanie woskiem listu. Takie drobiazgi. Jeśli uda się pani trzymać dragonów z daleka i pomoże pani admirałowi unikać raf na lądzie, obiecuję ze swej strony dać pani swobodę. To nie jest zła oferta.

- Nie jest - odparła po dłuższej chwili i przysięgłaby, że przez ten cały czas admirał wstrzymywał oddech.

Nic więcej nie zdołała powiedzieć. Mogła tylko patrzeć na admirała. Nie uciekł spojrzeniem. Kiedy znów się odezwał, mówił tak rzeczowym tonem, że nie pozostało jej nic innego, jak słuchać.

- Pani Paul. Chcę panią poślubić.

- Dlaczego, panie admirale? Proszę mi powiedzieć dlaczego? - Wreszcie o to zapytała.

Oczywiście nie zrobił tego od razu, niemożliwy człowiek.

- Nawet jeśli Myszka pojawiłaby się w tej minucie, wycofałbym się. Jest starą panną, tak się niefortunnie złożyło, ale ma brata, który się nią zaopiekuje, niezależnie od tego, jak bardzo będzie z tego powodu utyskiwał. Pani nie ma nikogo. - Uniósł dłoń, powstrzymując Sally przed odezwaniem się. - Spędziłem większość życia, przejmując się

Anglią. Człowiek nie może się tak po prostu zmienić, jeśli spoczywała na nim ogromna odpowiedzialność. Nie kończy tego ani zesłanie Napoleona na Elbę, ani przejście na emeryturę. Nie potrafię odwrócić się do pani plecami, tak jak nie zignorowałbym okrętu spychanego na wybrzeże. Pani potrzebuje pomocy, ja żony. Nie wiem, czy mógłbym to wyłożyć jeszcze uczciwiej i prościej.

- Chyba nie - przyznała spokojnie Sally i podjęła ostatni wysiłek, aby przemówić mu do rozumu. - Admirale, nic pan o mnie nie wie. Nic a nic. - Powinna mu to wyjawić, a jednak nie potrafiła się na to zdobyć.

Ty mały tchórze, pomyślała.

Popatrzył na nią z dobrotliwą miną.

- Wiem jedno: ani razu nie głądziła pani o pogodzie. Sądę, że małżeństwa bywają zawierane na dziwniejszych zasadach. Nie podam przykładów, bo rzadko bywałem na łądzie w ciągu ostatnich dwudziestu lat.

- Cóż, myślę, że ma pan rację. Zatem dobrze, panie admirale.

## Rozdział trzeci

Sally nie zaprotestowała, gdy admirał wynajął dla niej pokój w zajezdzie, argumentując, że pastora mogłoby zdenerwować żądanie udzielenia ślubu o tak późnej porze, nawet na podstawie specjalnego zezwolenia. Uważała, że istnieje poważniejsza przeszkoda.

- Chciałabym zauważyć, że jestem kimś innym niż poprzednia kandydatka na żonę. Nie mogę zawłaszczyć jej nazwiska - powiedziała, czując lekkie zażenowanie, że mówi o czymś tak oczywistym, ale wzgląd praktyczny przeważał.

- Żaden problem. - Admirał roześmiał się. - Mysza nazywa się Prunella Batchthorpe. Może trudno będzie pani w to uwierzyć, ale nie miałem problemu z nazwiskiem, tylko z imieniem. Prunella czy Primilla? Kilka monet i urzędnik z przyjemnością poszedł mi na rękę, zostawiając puste miejsce, aby to uzupełnić później.

- To dobrze.

Sally czekała na kolację, a gdy wreszcie przyszła na nią pora, z trudem przelykała jedzenie. W końcu odłożyła widelec.

- Admirale, powinien pan czegoś się o mnie dowiedzieć.

On również odłożył widelec.

- Ja także powinienem pani o sobie więcej opowiedzieć.

Ile mam wyznać? - zastanawiała się przez chwilę Sally, po czym rzuciła się na głęboką wodę.

- Pięć lat temu mój mąż popełnił samobójstwo na skutek fatalnego obrotu spraw. Wylądowałam w jednym pokoju z naszym pięcioletnim synem Peterem. - Spojrzała na admirała, obawiając się, że zobaczy niesmak na jego twarzy, lecz wyczytała z niej tylko współczucie. Dodało jej to odwagi, aby mówić dalej: - Biedny Peter. Nie miałam za co kupić węgla, żeby ogrzać pokój. Przeziębił się, padło mu na płuca i zmarł.

- Zabrakło pani pieniędzy na lekarza? - spytał łagodnie Bright.

- Niestety. Próbowałam zastosować wszystkie środki, jakie znałam, ale żadne nie pomogły. - Szloch wzbierał w jej piersiach. - Przez cały czas biedny Peter wierzył, że go wyleczę!

Nie wiedziała, jak to się stało, że ręka admirała dotknęła jej karku, głaszcząc go dopóty, dopóki Sally nie odzyskała nad sobą kontroli.

- Jego ciało złożono w zbiorowym grobie dla ubogich i posypano niegaszonym wapnem. Tego samego popołudnia znalazłam posadę damy do towarzystwa i nie wróciłam do tego okropnego pokoju.

- Przykro mi - powiedział ze współczuciem admirał. - Czy nie miała się pani do kogo zwrócić?

- Nie - odparła i wydmuchała nos w chusteczkę, którą jej podał. - Po tym, jak mojego męża oskarżono, straciliśmy przyjaciół. - Patrzyła na niego, zastanawiając się, jakich użyć słów. - To wszystko było kłamstwem, przykrywką, niesłusznie musieliśmy przez to przechodzić.

Admirał Bright odchylił się na krześle.

- Pani Paul, ludzie pytają mnie, jak mogłem wytrzymać tyle czasu na morzu. W przeciwieństwie do moich kapitanów, którzy okazjonalnie schodzili na ląd, ja niemal cały czas spędzałem na okrętach. Mieliśmy jednego wroga, Francję, a nie licznych wrogów, jakich spotyka się na lądzie w codziennym życiu i interesach. Moje siostry nigdy tego nie rozumiały.

- Z pewnością na morzu też spotyka się łajdaków...

- Oczywiście. Świat jest ich pełen. Z satysfakcją powiesiłem kilku z nich.

Sally mimowolnie zadrżała.

- Zasługiwali na to. Te egzekucje nie kosztowały mnie bezsennych nocy, bo zawsze byłem głęboko przekonany o ich winie. Pani Paul, nie przeczę, że władza to przyjemna rzecz, ale nigdy nie wykorzystałem jej, aby świadomie kogoś skrzywdzić.

W takim razie szkoda, że nie uczestniczyłeś w posiedzeniu sądu admiralicji, kiedy skazywano mojego męża, pomyślała. A może uczestniczyłeś i też orzekłeś o winie? Wiedziała, że nie dowie się tego. Nie pozwolono jej obserwować rozprawy.

- Potrafię poprowadzić dom - zmieniła temat. - Jestem dość oszczędna.

- Biorąc pod uwagę pani czarującą wymowę, zdradzającą, skąd pani pochodzi, jakże mogłoby być inaczej.

- Cóż, admirale, wie pan, co to stereotyp? - spytała nieco złośliwie. - Mój ojciec nie miał pojęcia, jak się obchodzić z pieniędzmi. - Uśmiechnęła się na widok admirała podnoszącego hakiem serwetkę i przykładającego ją do ust. - Ja to potrafię.

- Ja również - odparł admirał, odkładając serwetkę. - Napoleon uczynił mnie bogatym, nie ma więc potrzeby, aby obracała pani w nieskończoność każdego szylinga. Postaram się też zapewnić pani odpowiednie fundusze na osobisty użytek.

- To nie będzie potrzebne - wtrąciła szybko. - Od tak dawna poprzestaję na małym, że pewnie nie wiedziałabym, co zrobić z pieniędzmi.

Bright wyjął zegarek.

- Dawno minęła pora, o której chodzę spać. Wracając do tematu, niech pani to potraktuje jako łapówkę, droga pani Paul. Poczekajmy, aż zobaczy pani posiadłość, o której troskę zrzucam na panią. - Nagle spoważniał. - W każdym razie mam wystarczająco dużo pieniędzy na całą masę węgla. - Nawinał na hak luźno zwisający kosmyk jej włosów. - Koło fortuny odwróciło się dla pani, moja droga.

Zabawne. Hak był niebezpiecznie blisko twarzy Sally, a ona wcale nie czuła potrzeby, aby się uchylić. Dotknęła go dłonią i nawinęła na niego kolejne pasmo.

- Nie czuje pani obrzydzenia do mojego haka? - spytał zaskoczony.

- Ależ nie! - zapewniła go. - Jak to się stało, że stracił pan rękę? Będę bezczelna i zasugeruję, że przez niedbałość.

Przesunął hak i poklepał ją lekko po policzku.

- Ma pani tupet, pani Paul - powiedział, uśmiechając się do niej. - Większość ludzi mój stopień admirała tak onieśmiela, że rozmowa z nimi staje się nudna.

- Obawiam się, że nie należę do tej większości. Choćby z tego powodu, że po pańskim kłamstewku o rzekomym kuzynostwie, widzę w panu człowieka równie słabego i ułomnego jak reszta ludzi.

Odchyliła się na oparcie krzesła, zdumiona własną bezpośredniością. Nigdy nie rozmawiała w ten sposób z mężem, ale było coś takiego w Charlesie Brightcie, co czyniło z niego prowokującego i zarazem zabawnego partnera konwersacji.

- Touché! - Spojrzał na hak. - Byłem matem, kiedy to się wydarzyło, czyli już od dość dawna nie muszę się trudzić przycinaniem dziesięciu paznokci.

- Duża oszczędność czasu - przyznała ze śmiechem.

- Oto i mamy - powiedział, wznosząc oczy ku niebu - istna Szkotka.

- Trafiony, zatopiony, panie admirale.

- Żałuję, że nie mogę pani opowiedzieć o bitwie, podczas której ważył się los Anglii, ale był to zwykły wypadek. Ćwiczyliśmy strzelanie do celu u wybrzeży Brazylii. Jedno z moich dział wystrzeliło, a ponieważ byłem odpowiedzialny za jego obsługę, musiałem przyłożyć do tego ręki. - Zrobił minę. - Kiepski dobór słów. Liny, które hamowały działo cofające się po oddaniu strzału, były splątane. Zacząłem je odplątywać i w tym samym momencie poluzowały się. Odjęło mi lewą rękę tak szybko, że z początku nie zorientowałem się, co się stało. Dopiero saper powiedział mi, że mocno krwawię. Pani Paul, niepotrzebnie pani zbladła. Mieliśmy doskonałego chirurga na pokładzie, niemal dorównującego zręcznością kowalowi, który wykuł dla mnie pierwszy hak.

- Nie myślał pan o zrezygnowaniu ze służby w marynarce?

- Z powodu ręki? Doprawdy, pani Paul!

- Jak jest przytwierdzona?

Sally wydawało się, że zobaczyła przeblysk wdzięczności w jego oczach, jakby był zadowolony, iż obchodziło ją to na tyle, aby zadać pytanie.

- Poza ośmioletnim chłopcem, jest pani jedyną osobą, która o to zapytała.

- Jestem po prostu ciekawa.

- Pokażę pani później. Mam coś w rodzaju skórzanej upręży, krzyżującej się na piersi i przechodzącej na kark. - Pochylił głowę i odsunął kołnierzyk, odsłaniając cienki skórzany pasek. - Widzi pani? Gdyby mojego osobistego pokojowego nie było w pobliżu, pani mogłaby mi pomóc ją zdjąć. Czy potrafi pani wiązać fular?

- Kilka razy to robiłam.

- Dobrze. Wobec tego będzie pani miała okazję robić to częściej. Poza tym nie jestem bezradny.

- Bezradny to nie jest słowo, które do pana pasuje, admirale.

- To dla mnie duża ulga. Na czym stanęliśmy?

- Miał pan opowiedzieć coś o sobie.

- Rzeczywiście. Urodziłem się czterdzieści pięć lat temu w Bristolu. Mój ojciec był wziętym adwokatem i nie mógł zrozumieć, dlaczego chcę pływać. Mimo to poczynił stosowne przygotowania i w wieku dziesięciu lat zostałem zaokrętowany. Moja starsza siostra ma na imię Frances, zwracam się do niej Fan lub Fannie. Młodsza siostra Dora jest jej podporządkowana. Obie dobrze wyszły za mąż i przeżyły swoich mężów, co oznacza, że mają dużo czasu na wtrącanie się w moje życie. - Wzruszył wymownie ramionami.

- Jakież nowe interesujące zajęcia po przejściu na emeryturę?

- Na razie nic. Pani Paul, oczy się pani zamykają. - Wstał. - Czas udać się na spoczynek, odprowadzę panią do pokoju. Czy uważa pani, że dziewiąta rano to zbyt wcześnie, aby odwiedzić pastora?

- Myślę, że nie. - Spojrzała na niego z zatroskaną miną. - Nie musi pan tego robić, zdaje pan sobie z tego sprawę?

- Muszę.

Nachylił się i przez chwilę myślała, że ją pocałuje, ale potarł tylko policzkiem o jej policzek. Sally uśmiechnęła się, czując łaskotanie baczków na skórze. Od tak dawna nie zaznała tego uczucia...

- Pani potrzebuje wsparcia, a ja żony. Proszę się nie obawiać, obiecuję, że w żaden sposób nie będę się narzucał dopóty, dopóki pani tego nie zaakceptuje. To znaczy póki pani i ja nie nabierzemy ochoty, aby to małżeństwo zostało... hm... skonsumowane. Czy uczciwie i jasno to wyłożyłem?

Skinęła głową, a on pocałował ją w policzek.

- Zatem dobrze, panie admirale. Postaram się być nie do uwierzenia wspianą żoną.

- W to nie wątpię - zapewnił ją i podszedł do wyjścia.

Skłonił się lekko, a kiedy się roześmiała, ucałował koniec haka, przesłał jej całusa i zamknął za sobą drzwi.

- Niesamowity z ciebie oryginał - powiedziała cicho Sally.

Nie wstała. Zjadła śliwkę, a potem po prostu patrzyła na zastawiony stół. Kolacja przypominała obfite śniadanie, ule Sally nie widziała tyle jedzenia naraz od kilku lat.

- Jaki to był dziwny dzień, admirale - wyszeptała.

Prawie nie zmrzyła oka tej nocy, zastanawiając się, czy powiedzieć przyszlęmu mężowi, że jej nazwisko po mężu brzmi Daviess. O świcie zdecydowała, że nie. Czy zrobiłoby to różnicę? Zna ją jako panią Paul, a ona przecież już kilka lat temu postanowiła, że nie będzie rozpamiętywać przeszłości.

Posługaczka, niemal jeszcze dziecko, rozpałiła ogień w kominku i przyniosła dzban z gorącą wodą. Sally poprosiła o przygotowanie kąpieli, licząc na to, że admirał nie będzie miał nic przeciwko dodatkowemu wydatkowi. Kiedy ustawiono wannę i napełniono ją wodą, zanurzyła się w niej z wielką przyjemnością.

Wyszła z kąpieli dopiero wtedy, gdy woda ostygła. Owinęła się ręcznikiem, wyciągnęła z walizki teczkę z kartonu i wyjęła z niej kopię aktu małżeństwa z Andrew Daviessem i aktu zgonu męża. Przebiegła oczami suche zdanie: „Śmierć na skutek popełnienia samobójstwa”. Kochany Andrew.

Dlaczego poszedłeś za impulsem? - spytała w myślach, jakby trzymany w ręku dokument mógł jej odpowiedzieć. Dlaczego się nie zastanowiłeś? Mogliśmy wyemigrować do Kanady albo nawet do Stanów Zjednoczonych.

Westchnęła ciężko, wytarła się i stanęła przed kominkiem. Ręcznik opadł na ziemię i stała nago, póki nie poczuła, że jest gotowa. Spojrzała w lustro i przesunęła palcem po zwiotczających od zbyt szybkiego schudnięcia fałdkach skóry. Uniosła ramiona i z niesmakiem spojrzała na wystające żebra, a potem powiedziała sobie w duchu: wyglądasz jak pusty worek pełen kości, ale to się zmieni, bo będziesz mogła się najadać do woli.

Nie uśmiechało się jej małżeństwo z kimś kompletnie nieznanym, ale nie widziała przed sobą innej drogi. Ubrała się szybko, żałując, że nie ma przyzwoitszego stroju. Potem wyciągnęła z torby znoszoną suknię z muślinu, wzięła teczkę z kartonu i zeszła po schodach. Zostawiła suknię pokojówce, prosząc o wyprasowanie jej i wyszła z hotelu.

Było stosunkowo wcześnie, na ulicach pusto. Zauważyła jedynie handlarzy ryb i dostawców żywności, popychających wózki z towarem. W Portsmouth mieszkała jako żona Andrew Daviessa, skrupulatnego i uczciwego inspektora zaopatrzenia zatrudnionego w marynarce wojennej. Była zaskoczona i wstrząśnięta, gdy został oskarżony przez admiralicję o celowe spowodowanie zagrożenia życia i śmierci poprzez dostarczenie na pokład nieświeżej żywności. W czasie miesięcy przymusowej bezczynności, które nastą-



piły po tym oskarżeniu, wielokrotnie była świadkiem, jak zżymał się z powodu nieuczciwości swojego przełożonego, którego podejrzewał o fałszowanie lukratywnych kontraktów. Jednak niczego nie był w stanie udowodnić, jego przełożony działał szybko, a on zorientował się w sytuacji po fakcie.

Nie wytrzymał tego, powiesił się na haku w stajni, w której już nie trzymali koni, ponieważ nie było ich stać na ich utrzymanie. Podobnie jak na wynajęcie adwokata. Nie zostawił dla niej wiadomości, napisał tylko list pożegnalny do lorda admirała z zapewnieniem o swojej niewinności, nawet jeśli jego samobójstwo miałoby pozornie temu przeczyć.

Cała ta sprawa to już przeszłość, powiedziała sobie w duchu Sally. Poślubi admirała, który, przy odrobinie szczęścia, nigdy się o niczym nie dowie. Życie z Andrew Daviessem było zamkniętą kartą.

Dotarła do kościoła Świętego Andrzeja, akurat w momencie gdy pastor zakończył poprzednią posługę. Podeszła do niego i wyjaśniła, że jest osobą, która za godzinę ma wziąć ślub na podstawie specjalnego zezwolenia.

- Jestem wdową - wyjaśniła, wręczając pastorowi teczkę z kartonu. - Tu jest kopia aktu małżeńskiego i aktu zgonu mojego poprzedniego męża. Czy czegoś jeszcze pastor potrzebuje?

Stary człowiek wziął teczkę i zajrzał do środka.

- „Sophie Paul Daviess, wdowa, Dundrennan, Kirkcudbrightshire, Szkocja, lat dwadzieścia dwa, rok 1806”. - Spojrzał na świadectwo zgonu i potrząsnął głową, gdy przeczytał „Śmierć na skutek popełnienia samobójstwa”. Oddał jej dokumenty. - Smutna sprawa, pani Daviess.

- Tak.

- Teraz wychodzi pani za mąż ponownie. Szczerze życzę pani szczęścia.

- Dziękuję. - Zawahała się. - Z powodów, które pastor zapewne rozumie, używam raczej panieńskiego niż mężowskiego nazwiska.

- Jak się domyślam, chodzi pani o pewne odium, jakie otacza samobójców - powiedział, prowadząc ją do drzwi.

- Tak, rzeczywiście. - Tylko na tyle się zdobyła.

- Dla pani te złe dni już się kończą. Spodziewam się panią zobaczyć ponownie za godzinę. - Pastor wyciągnął dłoń do uścisku. - Jeśli pani sobie życzy, wprowadzę te informacje do ksiąg teraz, tak by nie podawać ich podczas ślubu.

- Dziękuję, proszę pastora.

Wróciła do hotelu i gdy spojrzała na okna pierwszego piętra, zobaczyła wyglądającego na zewnątrz admirała. Pomachał jej, a ona jemu. Zastanawiała się, jak długo tam stał i czy widział, jak wychodziła. Kiedy weszła po schodach na pierwsze piętro, otworzył drzwi swojego pokoju.

- Obleciał mnie strach, pani Paul, kiedy zapukałem do pani pokoju i zobaczyłem, że nikogo nie ma. Podejrzewałem, że poszła pani w ślady Myszy, a tego przy moim nadwątłym poczuciu wartości doprawdy już bym nie wytrzymał.

- Och nie, panie admirale! Nie cofnęłabym raz danego słowa - zapewniła go.

- Upewniłem się w tym, kiedy pokojówka powiedziała mi, że zostawiła pani suknię do odprasowania na dolnym pokładzie. - Stuknął się hakiem w tors i Sally musiała się uśmiechnąć. - Co za ulga!

- Poszłam do kościoła ze świadectwem zawarcia związku małżeńskiego i aktem zgonu Andrew. Pomyślałam, że pastor może chcieć je zobaczyć i być może wprowadzić do ksiąg. Okazało się, że miałam rację.

- Bardzo skuteczne działanie, pani Paul - pochwalił admirał. - Widzę, że będę rozpieszczany.

Nie tyle myślałam o skuteczności, ile o wstydzie, pomyślała. Opanuj się Sally, nadaj rozmowie lżejszy ton.

- Dobrze, panie admirale, rozpieszczę pana jak te starsze panie, którymi się opiekowałam. Nie zapomnę o suszonych śliwkach w dużych ilościach, solidnie namoczonych, żeby łatwiej było je żuć, i co najmniej jeden rozdział codziennie jakiejś umoralniającej literatury, na przykład...

- Na przykład O zapobieganiu samookaleczeniom podczas dłuższych rejsów - powiedział i uniósł rękę, jakby w odpowiedzi na jej przesadnie zdumioną minę. - Nie żartuję, pani Paul. Dopiero byłaby pani zdziwiona, co naiwni reformatorzy uważają za istotne dla marynarzy.

Roześmiała się, ale szybko podniosła rękę do ust, zażenowana.

- Byłem wtedy kapitanem fregaty. Zachowałem kopię tego niezwykłego dzieła i poprosiłem wszystkich oficerów, aby je podpisali. Główny steward dodał kilka spróśnych ilustracji, tak że nie pokażę pani tego wcześniej, nim skończy pani czterdzieści, a może nawet pięćdziesiąt lat.

Nie znalazła na to odpowiedzi.

- Jak to? Żadnego dowcipnego komentarza? - spytał z błyskiem triumfu w oczach.

- Nie, panie admirale - przyznała. - Chyba zrezygnuję z czytania panu umoralniających rozdziałów z czegokolwiek.

Wybawiła ją posługaczka z ich piętra, która przyniosła odprasowaną suknię. Onieśmielona, podała ją Sally, a admirał wręczył dziewczynce kilka monet, zanim odeszła.

Sally poszła do swojego pokoju i włożyła suknię, żałując, że czarodziejskim sposobem nie może się perfekcyjnie dopasować do jej figury. Może i dobrze, że nie, szydziła z samej siebie w myślach, usiłując zapiąć guziczki na plecach. Nie miałybyś jej czym wypełnić w okolicach biustu. Przypomniła sobie, dlaczego nie nosiła tej sukni przez lata. Wyginając się, mogła zapiąć dolne i górne guziczki, ale kilka środkowych pozostawało poza zasięgiem jej palców. Stała przez chwilę nieruchomo, zanim dotarło do niej, że musi wezwać na pomoc admirała. Zapukała do jego drzwi i poczuła, jak rumieniec wypływa na jej twarz. Zezłościło ją to pensjonarskie zachowanie, przecież za godzinę zostanie jego żoną.

- Admirale, czy mógłby pan zapiąć resztę guziczków w tej nieszczęsnej sukni? Albo wezwać pokojówkę. - Spojrzała na hak i nachmurzyła się. - O mój Boże, zapomniałam...

Bright był ulepiony z twardej gliny. Wszedł za nią do jej pokoju i zamknął za sobą drzwi.

- Myśli pani, że nie dam sobie rady z tak łatwym zadaniem? Kto według pani zapi-  
na mi codziennie guziki przy spodniach? Proszę się odwrócić i przygotować na to, że pa-  
nią zadziwię.

Zrobiła, co jej kazał. Przycisnął płasko hak do jej pleców, aby przytrzymać mate-  
riał, a potem wsuwał guziki w dziurki. Czuła lekki nacisk kostek jego palców na skórze.

- Obejdzie się bez wyrazów wdzięczności - powiedział. - Proszę się odwrócić i przestać wstydić.

- Jeszcze chwila, a zacnie pan żałować, że panna Batchthorpe się nie pojawiła.

- Coś podobnego! Mam tu drobiazg dla pani i sadzę, że poradzi sobie pani sama. - Wyciągnął z kieszeni surduta mały woreczek i podał go Sally. - Przywiozłem to z Indii. Powinno doskonale wyglądać na tym bladoniebieskim materiale.

Sally wyciągnęła złoty łańcuch z pojedynczym rubinem i wstrzymała oddech.

- Może pani zacząć oddychać, pani Paul - oznajmił Bright, wyraźnie zadowolony z jej reakcji.

- Przykro mi, że ja nic dla pana nie mam - powiedziała cicho, obracając naszyjnik w palcach.

- Zważywszy, że wczoraj o tej samej porze zamierzała pani się opiekować starą damą, mającą skąpych krewnych, nie jestem zdziwiony. Proszę wreszcie założyć naszyjnik. Nie pomogę pani zapiąć zameczka.

Zrobiła, co jej kazał, łańcuszek opasał jej szyję, płomienny klejnot zawisł na kościstym dekolcie. Nagle stara suknia nie wydawała się już tak pospolita. Sally zapomniała nawet o dziurze w pantoflach.

- Nie jest szczególnie imponujący, ale zawsze podziwiałem, jakie ogniste błyski rzuca niewielki kamień - powiedział na poły tonem usprawiedliwienia, na poły dumy.

Wyczuła, że admirał ocenia jej wygląd i uniosła lekko podbródek, przekonana, że wytrzymałaby każdy krytyczny osąd, może z wyłączeniem prezentacji u dworu. Ile mógł sprawić mały naszyjnik z rubinem! Dotknęła kamienia i spojrzała na Brighta.

- Admirale, zasługuje pan na kogoś bardziej fascynującego ode mnie.

Zdumiał ją, nie odpowiadając dowcipem, ponieważ wiedziała, że przychodzi mu to bez trudu.

- Jest pani wystarczająco fascynująca, Sally Paul - zapewnił serio. Podał jej ramię.

- Chodźmy. Rubin to pestka w porównaniu z przysługą, jaką mi pani robi, obiecując chronić mnie po wsze czasy przed siostrami.

## Rozdział czwarty

Zostali sobie poślubieni o wpół do dziesiątej w kościele pod wezwaniem Świętego Andrzeja, tym samym, w którym trzy wieki wcześniej, jeszcze nieanglikańskim, Katarzyna Aragońska\* uklękła do dziękczynnej modlitwy za szczęśliwie przebytą morską podróż. Sally w pełni doceniła nastrój tego miejsca i szczególne chwile, które stały się jej udziałem. Kiedy pastor ogłosił ich mężem i żoną, poczuła się jak otulona bezpiecznym kokonem, a z jej barków spłynął ciężar, który przytłaczał ją przez ostatnie lata. Nie potrafiłaby się z nikim podzielić tym uczuciem, powątpiewała też, by admirał ją rozumiał. Zresztą, była zbyt niepewna siebie, żeby podzielić się tym odczuciem.

\* Katarzyna Aragońska - 1485-1536, królowa ang., córka i Izabeli I oraz Ferdynanda II, od 1509 żona Henryka VIII, który w 1533 przeforsował unieważnienie małżeństwa, matka Marii I Tudor (przyp. red.).

Prawdę mówiąc, miała nadzieję, że ułoży się jej lepiej niż Katarzynie Aragońskiej. Po krótkiej ceremonii, kiedy młody pastor zaczął z nimi gawędzić, wyraźnie roztargniony - prawdopodobnie nigdy dotąd nie udzielał ślubu z mniejszą pompą - Sally nie mogła się pozbyć natrętnych myśli o katolickiej królowej, która przybyła do Anglii, aby poślubić jednego mężczyznę, a kilka lat później została żoną innego - jego brata Henryka.

Wspomniała o tym admirałowi podczas śniadania w zajeździe Drake.

- Czy nie widzisz w tym analogii? Przyjechałeś poślubić pannę Batchthorpe, a skończyłeś z damą do towarzystwa. Może Katarzyna Aragońska zapoczątkowała taką modę.

- Jeśli tak - odparł z rozbawieniem admirał - to nadzwyczaj wolno się przyjmuje. - Pochylił się ku niej ponad talerzem z posmarowanym masłem tostem. - Jak właściwie mam cię nazywać? Nie miałem pojęcia, że nosisz imię Sophie, a brzmi przyjemnie. Może więc: Sophie Bright. Jak sądzisz?

Nagle poczuła się onieśmielona, tak jakby wszyscy w restauracji patrzyli na obrączkę na jej palcu. Odniosła wrażenie, że ją uciska coraz mocniej, aż nabrała ochoty, aby ją zsunąć.

- Nikt nigdy nie nazywał mnie Sophie, ale podoba mi się to.

- Wobec tego Sophie. A co ze mną? Mam nadzieję, że nie uprzesz się przy „admirale”. Brzmi sztywno, a ty nie przypominasz marynarza. Charles? Charlie?

Namyślała się przez chwilę.

- Nie wydaje mi się, żebym zdobyła się na Charles, nie poznaliśmy się jeszcze dostatecznie. Czy na razie mogę mówić panie Bright?

- Dobrze. - Przyjrzał się obrączce, którą włożył jej na palec w kościele. - Bardzo prosta - przesunął ją na jej palcu - i za duża. Hm... Co było dobre dla Myszy, zupełnie nie pasuje do ciebie. - Poklepał ją po ręce. - Zastanów się nad moim imieniem, a ja pomyślę o obrączce dla ciebie, Sophie.

Jeszcze wczoraj byłam Sally Paul, dzisiaj jestem Sophie Bright, uprzytomniła sobie, kończąc jeść. Dobrze, zacznę się przyzwyczajać do nowego imienia. Ważne, że nikt mnie nie zna.

Podczas gdy admirał ustalał coś z kelnerem, nagle zobaczyła go w innym świetle. Bez wątpienia roztaczał wokół siebie aurę władczości, jego zachowanie cechowała pewność siebie. Nie był adonidem, zresztą, upływające lata zrobiły swoje. Nos miał prosty, spiczasty, ale usta miękko zarysowane i chętnie układające się do uśmiechu. Przypominał jej dawno zmarłego wuja, który samym swoim pojawieniem się wzbudzał szacunek. Poczowała dumę, że została, choć w dość nieoczekiwany sposób, towarzyszką takiego mężczyzny. Ledwie rozpoznała to uczucie po pięciu latach wstydu i upokorzeń.

To dobrze, że admirał nie miał oporów przed gestykulowaniem hakiem, uznała. Stracił rękę dość wcześnie i żył z tym od tylu lat, że posługiwał się hakiem zupełnie naturalnie, nie uważając za stosowne go ukrywać. Rozejrzała się dyskretnie po restauracji. Nikt na niego nie patrzył, ale to było Plymouth. Tutaj widok okaleczonych ludzi morza nie był czymś niezwykłym tak jak w Bath. To mój mąż, chciała ogłosić światu, ona, która właściwie go nie znała. Należy do mnie. Ta myśl była prawie upajająca i Sophie poczuła, że się czerwieni.

Bright wynajął dyliżans pocztowy, aby zawiózł ich do domu.

- Ja... my - poprawił się - mieszkamy ledwie trzy mile od Plymouth. Powinienem mieć własny powóz, ale to oznacza trzymanie koni, a nie jestem z tymi stworzeniami ob-

znajomiony. Raczej trudno przyszedłoby mi nie wyglądać komicznie na końskim grzbiecie.

- Wzruszył ramionami. - Nie chciałbym, żeby koń mnie ugryzł, a dobry rumak prawdopodobnie by to zrobił.

Sophie podniosła dłoń do ust, próbując się nie roześmiać.

- To byłby naprawdę śmieszny widok. Wyobrażam sobie, jaką wzbudziłoby to wesołość w setkach podległych mi marynarzy i pewnie u większości moich kapitanów.

Jakiś czas jechali w milczeniu drogą prowadzącą w głąb lądu, tą samą, którą Sophie przebyła wczoraj na piechotę. Jakie to dziwne, pomyślała. Wydaje mi się, jakby to było wieki temu. Admirał wpatrywał się w okno i dopiero, gdy zobaczyli ocean, z westchnieniem ulgi oparł się wygodnie o kanapę. Zrozumiała, że tęskni za morzem, nawet jeśli jest oddalone o kilka mil.

- Brakuje ci oceanu, prawda?

Potwierdził jej domysły skinieniem głowy.

- Przypuszczałem, że tak nie będzie. Po przejściu na emeryturę spędziłem kilka tygodni w Yorkshire z wizytą u kolegi. Prawdę mówiąc, ukrywałem się przed Fan i Dorą. Cóż to był za koszmar! Tęsknię za oceanem, jeśli nie mogę na niego patrzeć. Spotkałaś większego ode mnie wariata?

- Obawiam się, że nie - przyznała serdecznym tonem. - Proszę, jakie to rewelacje wychodzą na wierzch, ledwie człowiek włoży na palec ślubną obrączkę.

- Zapewne też skrywasz jakieś mroczne sekrety - odciął się ze śmiechem, jakby nie wyobrażał sobie, że mogłoby to być prawdą.

W tym momencie Sophie pożałowała, że nie podała mu nazwiska nieżyjącego męża. Teraz było na to za późno. Pozostaje tylko mieć nadzieję, że nie wyjdzie na jaw. Powinna szybko wymyślić jakąś nonsensowną odpowiedź, kompletnie bez znaczenia, ale satysfakcjonującą admirała, który znów zapatrzył się w okno. Dylizans skręcił na prywatną drogę, dość wyboistą, która kiedyś musiała być elegancką aleją.

- Owszem, mam coś do wyznania. - Nic gorszego niż to, czego nie wyznałam, pomyślała. - Cała się trzęsę.

Admirał roześmiał się i dotknął hakiem jej kolan.

- Sophie, przysięgam ci, że nie mam haremu w Bagdadzie, bo to za daleko od wybrzeża, ani też nie trzymam bachantek pod kluczem na strychu. Zaraz sama się przekonasz. - W każdym razie, nie kupiłem tej posiadłości ze względu na budynek.

Wybrał znakomity moment na to wyznanie. Woźnica zwolnił bieg pojazdu przed ostatnim zakrętem i Sophie zobaczyła swój nowy dom. Kiedyś od niego aż do skraju klifu, z którego roztaczał się wspaniały widok na zatokę, ciągnął się wypielegnowany trawnik, teraz poprzerastany chwastami i samosiejkami krzewów. Admirał śledził bacznie wyraz jej twarzy, starała się więc zachować obojętną minę.

- Przydałoby się stado owiec - mruknął - albo armia kosiarzy.

Sophie przyjrzała się frontowym drzwiom. Zdumiona przycisnęła dłoń do ust. Spośród płataniny zarośli, obfitych niczym w amazońskim lesie deszczowym, wynurzał się posąg nagiej kobiety.

- Wielkie nieba! Czy to ma być Wenus?

- Trudno zgadnąć. Stąd tego nie widzisz, ale stoi na czymś w rodzaju wielkiej muszli.

Stała, zakrywając skromnie dłonią przyrodzenie, mimo to doskonale widoczne, realistycznie oddane, choć wyolbrzymione. Sophie przypatrzyła się dokładniej i poczerwieniała. Dłoń spoczywała owszem na łonie, ale palce zagłębiały się wewnątrz intymnych miejsc.

- To chyba Penelopa, zbyt długo czekająca na męża - powiedziała w końcu. Nie odważyła się spojrzeć na admirała, nie miała też ochoty patrzeć dłużej na posąg przedstawiający kobietę oddającą się intymnej rozrywce.

- Bez wątpienia - zgodził się z nią admirał. Śmiech wzbierał niepowstrzymanie i w końcu Sophie serdecznie się roześmiała. Kiedy wreszcie mogła złapać oddech, zerknęła na admirała i zobaczyła, że ociera łzy w kącikach oczu.

- Droga pani Bright, byłabyś dopiero zszokowana, widząc towarzyszącą tej damie rzeźbę, ustawioną po drugiej stronie drzwi. Powiem tylko, że był to mężczyzna.

Kiedy Sophie się uspokoiła, zdała sobie sprawę z tego, że od lat nie śmiała się tak szczerze. A właściwie w ogóle się nie śmiała.

- Co się stało z Romeo? - spytała.



- Mój steward, możesz go uznać za mojego kamerdynera, zwałił go, uderzając młotem w okolice kostek. Podejrzewam, że nie zdążył z usunięciem damy - wyjaśnił admirał, wysiadł z dylizansu i podał jej dłoń.

- Nie potrafię sobie wyobrazić, jakie rozkoszne widoki czekają mnie w środku - stwierdziła Sophie, stając na ziemi.

- Och, myślę, że potrafisz. - Ujął ją za łokieć, żeby pomóc jej wejść po schodach. - Ostrożnie - przestrzegł. - Powinienem przenieść cię przez próg, pani admirałowo Charlsowo Bright, ale jak widzisz, stopnie są nieco niepewne.

- Będę na to nalegać, kiedy zostaną naprawione.

- Tak? - Pocałował ją w policzek. - Pod warunkiem, że nasz związek przetrwa twoje pierwsze wejście do holu. - Otworzył drzwi z przesadnym rozmachem. - Naciesz oczy, droga żono.

Hol wyglądał niemal obskurnie, farba na ścianach wyblakła, dając świadectwo wieloletnim zaniedbaniom, ale sufit natychmiast przyciągnął jej wzrok. Otworzyła ze zdumienia usta. Cofnęła się mimowolnie o krok a ramię męża opasało jej talię, chroniąc przed potknięciem.

- Zaryzykuję utratę twojego zaufania, Sophie, i wyznam, że widziałem kiedyś podobny do tego sufit w Neapolu w przybytku rozpusty.

- Nie wątpię - zadeklarowała, przyglądając się licznym kupidynom. - A tam... No nie, coś takiego! - Przycisnęła dłonie do płonących policzków, a potem odwróciła się i złapała męża za klapy surduta. - Panie Bright, kto, u licha, był właścicielem tej nieruchomości?

- Według słów agenta, hrabia. Ostatni z rodu o długiej tradycji, który miał w głowie tylko jedno. Podobno na początku w tym domu stary łajdak organizował niesamowite przyjęcia. Potem zamykał go na cztery spusty i wycofywał się do londyńskiej posiadłości.

To było silniejsze od niej. Oparła czoło o tors męża. Objął ją ramieniem i poczuła nacisk haka w talii.

- Wolałabym, aby istniał jakiś poważny powód, dla którego człowiek o zdrowym umyśle, a za takiego cię mam, admirał Bright, zdecydował się na kupno takiego domu.

- Masz ci los - powiedział stłumionym głosem, z ustami tuż przy jej włosach. - Ledwie dwie minuty w naszym nowym domu i wróciliśmy do „admirale”. - Wziął ją za rękę. - Owszem, istnieje taki powód. Okaż mi jeszcze trochę pobłażliwości.

Poszła więc tam, dokąd ją prowadził przez hol pełen dziwacznych malowideł na sufitach, a potem przez przeszklone drzwi prowadzące do ogrodu, równie zaniedbanego jak trawnik przed frontem. Ponad brzydką altaną ogrodową rozciągał się rozległy widok na spokojny dzisiaj ocean. Ciemnobłękitne wody zlewały się z horyzontem, opromienione letnim słońcem. Do jej uszu dobiegał szum fal, rozbijających się o klifowe wybrzeże. W oddali sunął po wodzie statek z pełnym ożaglowaniem, zmierzający do Plymouth.

- Jedno spojrzenie - odezwał się admirał, puszczając rękę Sophie - i wiedziałem, że nie znajdę drugiego takiego wspaniałego miejsca. Co o tym myślisz, Sophie? Powiniennem zburzyć ten dom i wybudować nowy?

Odwróciła się i spojrzała na solidny budynek z kamienia, kiedyś chyba pomalowany na pastelowy kolor, na eleganckie przeszklone drzwi prowadzące na rozległy taras, na duże, sięgające podłogi okna, za którymi cudownie będzie stać podczas burzliwej pogody i patrzeć na ocean.

- Nie, to dobry dom. Trzeba go trochę... trzeba go tylko porządnie odmalować.

- Odniosłem takie samo wrażenie. Kupiłem go za pół ceny.

Musiała się uśmiechnąć.

- Dziwię się, że agent tobie nie zapłacił za wybawienie go z kłopotu. Czy twoje siostry już tu były?

- Raz. Fan musiała podsuwać Dorze sole trzeźwiące pod nos, a następnego dnia wyjechały o świcie. Wyznam, że od tamtej pory nie zrobiłem nic z domem, ponieważ zapowiedziały, że nie pokażą się ponownie, jeśli nie przeprowadzę remontu. - Westchnął i pociągnął ją na kamienne obrzeże tarasu, gdzie oboje usiedli. - Przez kilka miesięcy to działało, ale nawet te diabelskie malunki nie miały wystarczającej mocy, aby ochronić mnie przed zmorą kobiet mających zbyt wiele wolnego czasu. Fan planuje urządzenie tego domu w stylu egipskim, a Dora jej sekunduje.

- Kiedy to ma nastąpić?

- W najbliższych dniach. Dlatego mój kucharz strajkuje i... - Przyłożył hak do ucha i Sophie uśmiechnęła się. - Słyszę dudnienie kroków mojego stewarda. Oto i on we własnej osobie, mój steward pośród wielu bitew, John Starkey. Moja żona, pani Bright.

Jeszcze wczoraj jego widok mógłby ją zdziwić, dziś już nie. Z drewnianą protezą nogi i opaską na oku był zaprzeczeniem wyobrażenia kamerdynera. Brakowało mu do kompletu papugi na ramieniu. Nie zaskoczyłoby jej, gdyby otworzył usta i okazałoby się, że został mu jeden ząb. Miał wszystkie, co zobaczyła, gdy uśmiechnął się uprzejmie, niemal nieśmiało. Przeniosła spojrzenie na admirała i po raz kolejny uderzyło ją, że są to mężczyźni nieprzyzwyczajeni do towarzystwa kobiet. Skinęła głową w odpowiedzi na jego szczery uśmiech.

- Panie Starkey, miło mi pana poznać. Czy nie jest to najdziwniejsze miejsce, w jakim pan mieszkał?

- Zgadza się, proszę pani.

- Pójdzie pan za admirałem nawet w ogień, jak sądzę?

- Jak zawsze, proszę pani.

Spojrzał na nią lekko zdziwiony, że w ogóle o to pyta. Powiedziało to wiele o obcym jej świecie mężczyzn parających się wojennym rzemiosłem. Wzruszyło ją to proste stwierdzenie bardziej niż wyszukane słowa.

- Starkey otwiera frontowe drzwi, poleruje mój najlepszy hak, dekantuje wino z doskonałym skutkiem i nigdy nie kwestionuje moich nawet najdziwniejszych rozkazów - oznajmił admirał. - Starkey, dama przed drzwiami frontowych musi zniknąć. Natychmiast.

- Tak jest, panie admirale! - Postukał się w głowę. - Zabrakło mi czasu. - Skłonił się i zszedł z tarasu.

Po kilku minutach dobiegł ich odgłos ciosania kamienia.

- Brakuje tutaj służby. - Admirał wstał z kamiennego obrzeżenia tarasu i skierował się do drzwi balkonowych. Sophie poszła za nim. - To twoje zadanie. Wróć do Plymouth i najmij kogo uważasz za stosowne.

Przeszli oboje przez hol, nie podnosząc wzroku na sufit. Bright przystanął przed jednymi z zamkniętych drzwi.

- To jest moja... nasza biblioteka.

- Cudownie! Liczyłam na to, że w domu jest biblioteka.

Chciała do niej wejść, ale admirał wsunął delikatnie hak za szarfę z tyłu jej sukni i zatrzymał ją.

- Po moim trupie, Sophie. Jeśli uważasz, że cherubiny w holu są... hm... interesujące, zszokowałyby cię to, co tam zobaczyłabyś na ścianach. Nie mówiąc o książkach. - Skrzywił się. - Nigdy nie widziałem tylu sprośności naraz.

- Już się czerwienię.

- Ja też. Zacząłem przeglądać jedną z tych książek i przyłapałem się na tym, że zerkam przez ramię, czy nie pojawi się duch mojej zmarłej przed czterdziestu laty matki i nie wytarga mnie za uszy, zanim odeśle do łóżka bez kolacji. - Wyciągnął hak zza szarfy. - Nie jestem zwolennikiem palenia książek, ale tutaj uczyniłbym wyjątek.

Poszedł dalej przez hol, a Sophie za nim, potrząsając głową. Zatrzymali się przed kolejnymi drzwiami.

- Przejdźmy do meritum. Te prowadzą na dolny pokład do kambuza. - Obciągnął swój stary, niemodny surdut. - Zbieram się na odwagę. Mój kucharz jest na dole i nie zapomnij, że strajkuje.

Sophie spojrzała na drzwi, a potem na męża.

- Jest aż tak przerażający?

- Tak się składa, że jest Francuzem. - Przysunął się do niej bliżej. - Rozumiem, że pytasz teraz samą siebie, jakim cudem dałaś się wmanewrować w małżeństwo z pomyłencem, mieszkającym w domu jeśli nie owianym złą sławą, to na pewno pełnym wytworów sztuki nie najwyższych lotów.

Już miała mu odpowiedzieć, gdy od frontowych drzwi rozległ się łoskot padającego w krzaki posągu.

- Boję się, że Penelopa ma teraz większe zmartwienie niż przedłużająca się nieobecność Odyseusza. Postanowiłem okazać się raczej dyskretny niż odważny, więc nie zapytam cię, co o tym wszystkim sądzisz.

Byłbyś zdumiony, pomyślała. Nigdy w życiu nie bawiłam się tak dobrze.

- Czas poznać twojego kucharza - powiedziała, biorąc go pod ramię i otwierając drzwi.

## Rozdział piąty

- Nazywa się Etienne Dupuis i wygrałem go w karty po bitwie o Trafalgar - wyjaśnił cicho admirał, gdy schodzili po schodach. - Najlepszy kucharz w całej flocie, ale bywa humorzasty.

- Rozumiem, że właśnie trafiłam na taki moment - odparła równie cicho Sophie. - Dlaczego szepczemy?

- Zagroził, że jeśli kiedykolwiek jeszcze wpuszczę tutaj moje siostry, wróci do Francji, a ja będę musiał się zdać na kucharzowanie Starkeya.

- Zrobiłby to rzeczywiście?

- Nie zamierzam sprawdzać. Przekonajmy się, jak bardzo potrafisz być czarująca, pani Bright - wyszeptał jej do ucha.

Weszli do sporego holu w pomieszczeniach dla służby. Przynajmniej tutaj nie wymalowano na ścianach kupidynów. Panował półmrok, pieca kuchennego najwyraźniej nie używano od kilku dni.

- Obawiam się, że przychodzimy za późno - orzekła Sophie, nie protestując, gdy admirał przyciągnął ją do siebie bliżej. - Czyżbyś obawiał się bardziej niż ja, panie Bright?

- Oczywiście - potwierdził. - Nawet nie wiesz, jakiego tchórza poślubiłaś. Trzymaj się mnie, Sophie. Kiedyś rzucił we mnie tasakiem.

- W takim razie powinnam raczej się od ciebie odsunąć.

Wziął ją za rękę i poprowadził do kuchni.

- Etienne? Chciałbym ci przedstawić moją żonę. To najuprzejmiejsza osoba pod słońcem.

- Wcale mnie nie znasz - powiedziała z uśmiechem Sophie.

- Myślę, że jednak znam. - Ucałował jej dłoń. - Jesteś tu od pół godziny, a jeszcze nie uciekłaś z krzykiem z tego przybytku nieprawości, który kupiłem. Uważam, że to uprzejme. Etienne? Ona w niczym nie przypomina moich sióstr. Zawrzemy rozejm?

Admirał pokazał ruchem głowy na kominek i stojące przed nim krzesło z wysokim oparciem, nad którym rozwiewał się obłoczek dymu. Sophie widziała tylko stopy męż-

czynny siedzącego na krześle. Nie poruszył się. Odchrząknął i wypuścił kolejny obłoczek dymu.

- Jest dzisiaj wyjątkowo uparty - wyszeptał Bright.

- Przypomina stare damy, którymi się zajmowałam - stwierdziła cicho Sophie. - Zobaczą, co da się zrobić. - Nie byłaby sobą, gdyby się powstrzymała od zaczepki. - Ile to dla ciebie warte?

Zanim odpowiedział, spojrział na nią tak, że zrobiło się jej gorąco.

- Na przykład bardziej odpowiednią ślubną obrączkę? - zapytał w końcu z błyskiem rozbawienia w oczach, co miało taki skutek, że Sophie postanowiła mu się odplącić.

- Z czystego złota, wysadzana brylantami, ze szmaragdem, a może dwoma.

Wzięła jedno z krzeseł stojących przy stole dla służby i postawiła je obok kominka. Usiadła na nim i, nie patrząc na drobnego mężczyznę, przedstawiła się.

- Sophie Bright.

W odpowiedzi usłyszała tylko niewyraźne mruknięcie.

- Doprawdy, jak mój mąż mógł sobie wyobrażać, że zdołasz pracować w takim miejscu bez pomywaczki i pomocnika? I te jego siostry! Święty by nie wytrzymał. Wcale bym się nie zdziwiła, gdybyś już się spakował.

- Bardzo na serio myślałem o wyjeździe.

- Nie mogłabym cię winić - oświadczyła i wstrząsnęła się demonstracyjnie. - Czy masz tu wystarczająco ciepłe poślanie? Pewnie też znajdzie się odpowiedni podnózek do tego krzesła. Zajmę się tym natychmiast.

To wystarczyło. Drobnny człowieczek zerwał się na równe nogi i skłonił przed Sophie.

- Etienne Dupuis, na pani usługi, lady Bright. Co ja bym robił z podnóżkiem?

- Byłoby ci wygodniej. Martwię się o ciebie, drżącego tu z zimna w ciemnościach.

Natychmiast ściągnął lampę wiszącą nad stołem, zapalił ją i podniósł z powrotem na miejsce. Przegarnął węgle w kominku i rozpalił ogień, a potem spytał:

- Czy miałyby pani ochotę napić się herbaty?

- Z przyjemnością, Etienne, ale wiem, że jesteś zajęty, a jeszcze nie nadeszła pora herbaty. Poza tym... czy nie chcesz się spakować?

- Założę się, że jest odpowiednia pora - odrzekł kucharz, ignorując drugie pytanie i znów skłonił się przed nią z wdziękiem. - Powiem Starkeyowi, aby podał herbatę na tarasie.

- Bardzo uprzejmie z twojej strony - powiedziała, nie śmiąc spojrzeć mężowi w oczy. Stał tam, gdzie przedtem. - Proponowałabym także herbatę dla admirała. - Nachyliła się konspiracyjnie do Etienne. - Biedny człowiek, to nie jego wina, że ma takie siostry.

- Pewnie nie - zgodził się. - Rozkazywały mi i pouczały mnie, co mam robić w kuchni! - podkreślił oburzony.

Sophie cmoknęła z niedowierzaniem.

- Nigdy więcej, Etienne - obiecała. - Teraz ja tu jestem.

- Sądzi pani, że uda się pani je powstrzymać? - spytał, rozkładając ręce.

- Tak - odparła, dusząc rodzące się wątpliwości. - Nie cofnę się przed niczym, żeby ochronić twoje królestwo.

Francuz skłonił się raz jeszcze i ucałował końce swoich palców, przesyłając jej całusa. Potem spojrział na admirała.

- Gdzie pan znalazł taki skarb?

- W jadalni zajazdu, Etienne.

Kucharz roześmiał się i rzucił Sophie porozumiewawcze spojrzenie.

- Admirał jest bardzo dowcipny. - Machnął dłońmi, jakby ich odpędzał. - A kysz! Proszę na górę. - Wyprostował się. - Etienne Dupuis zabiera się do dzieła.

Sophie klasnęła dłońmi.

- Jesteś dokładnie taki, jak mój drogi mąż to opisał: istny skarb. Czy nie miałbyś nic przeciwko temu, aby w przyszłości przedstawiać mi, powiedzmy na początku tygodnia, jak planujesz posiłki? Chętnie bym zerknęła.

Tym razem jego ukłon był bardziej wypracowany.

- Przyniosę menu każdego poniedziałku do pani saloniku. Może będzie pani chciała wprowadzić swoje ulubione dania.

Ostatnio smakowało mi wszystko, pomyślała Sophie, byle tylko coś było. Teraz znów zacznę rozkoszować się jedzeniem.

- Doskonale - powiedziała. - Widzę, że to twój żywioł. - Skinęła mu głową i dołączyła do lekko zdezorientowanego admirała. - Chodźmy, mój drogi, wracajmy na taras. Chyba widziałam tam krzesła z kutego żelaza.

Bright uśmiechnął się i podał jej ramię.

- Coś niezwykłego - powiedział cicho. - Mój drogi?

- Jest Francuzem, a my nowożeńcami. Masz jakiś inny pomysł?

Admirał spojrział na kucharza i zobaczył, że ich obserwuje. Objął żonę w talii.

- Podoba mi się to, Sophie. Stan pokoju nagle zaczyna mieć dla mnie urok. A już myślałem, że nie potrafię go docenić.

To, co powiedział, poruszyło jej serce. Impulsywnie położyła mu dłonie na ramionach.

- Wreszcie cię zrozumiałam - wyjawiała cicho, tak by Etienne nie usłyszał. - Zwyczajnie dokucza ci bezczynność.

- Mówisz jak moje siostry, Sophie.

- Pewnie tak - zgodziła się z nim. - One twierdziły, że potrzebna ci żona. Ja uważam, że powinienes mieć jakiś cel. Wojna się skończyła. - Sophie pomyślała, że mąż zbędzie ją jakimś dowcipem. Tymczasem dostrzegła łzy w jego oczach. - O mój Boże - powiedziała łagodnie. - Nie jestem przekonana, czy ty to wiesz.

Milczał, wyraźnie niezdolny wypowiedzieć ani słowa. Wyjęła chusteczkę z rękawa i pospiesznie osuszyła mu oczy.

- Chodźmy. Musimy oczyścić te krzesła z liści, ptasich kup i nie wiadomo czego jeszcze.

Admirał nie puścił ręki żony nawet wtedy, gdy Etienne już nie mógł ich widzieć. Na tarasie jednym rzutem oka ocenił sytuację, znalazł kawałek tektury i omiótł nim krzesła. Wskazał na jedno i Sophie usiadła. Właśnie tak jest, pomyślała, obserwując męża, jak taszczy kuty żelazny stół. Musi wyznaczać sobie cele. Oby nie pożałował, że się zbyt pospiesznie ożenił, bo ja wciąż potrzebuję domu.



- Nie znam nikogo, kto tak szybko poradził sobie z Etienne'em - odezwał się, siadając obok niej. - Skąd wiedziałaś, jak go podejść?

- Myślę, że zyskałam pewną wiedzę, pracując jako dama do towarzystwa ze zręcznymi, i wierz mi, że to łagodne określenie, starszankami. Potrzebowały kogoś, kto by je wysłuchał. - Położyła dłoń na ramieniu męża. - Czy ty tego nie widzisz? Kuchnia była dla Etienne'a schronieniem przez wszystkie lata wojny, niepewności i upokorzeń... Jak może się czuć ktoś, kogo wygrano w karty? Rozkleja się, gdy wydaje mu się, że jest zagrożony w swoim królestwie.

Admirał popatrzył na nią, ale nie zrobił żadnego ruchu, aby uchylić się przed jej dotykiem.

- Mam go podnosić na duchu?

- Nic na tym nie stracisz. Wątpię, aby wysuwał jakieś szczególne żądania.

- Nie - przyznał po chwili namysłu. - Nigdy tego nie robił. - Nachylił się ku żonie. - Jak zamierzasz trzymać moje siostry z daleka od kuchni?

- Zarygluję drzwi, jeśli będzie trzeba. - Podjęła wyzwanie i pochyliła się ku niemu, tak że ich nosy omal się nie zetknęły. - To również mój dom przynajmniej do czasu, aż się nie rozmyślisz.

Nagle ogarnęła ją nieśmiałość i cofnęła się na oparcie krzesła. On zrobił to samo.

- Rozmyślę się? Teraz, kiedy zadeklarowałaś, że będziesz buforem dla mojego kucharza, a prawdopodobnie i dla mnie? Tylko idiota zmieniłby zdanie. - Zamknął oczy i wystawił twarz do słońca. - Pokój - powiedział po chwili.

- Sophie, przez Napoleona ominęło mnie w życiu wszystko: żona, rodzina, dzieci, dom, łóżko, które się nie kołysze, czysta woda, świeże posiłki, bielizna prana w słodkiej wodzie, a nie w solance, sąsiedzi, nowości książkowe, niedzielny chór w kościele... Dodaj, co chcesz. Nie mam pojęcia, jak zalecać się do kobiety i sama wiesz, co zrobiłem. - Otworzył oczy, spojrzał na nią i dodał pospiesznie: - Tylko nie uznaj, że tego żałuję. W końcu nie zostaje się admirałem królewskiej floty bez sporej dozy szczęścia.

Sophie patrzyła w milczeniu na morze, zastanawiając się nad wydarzeniami ostatnich dwóch dni, które całkowicie zmieniły jej życie.

- Może i mnie zaczyna się szczęście?

- Masz pełne prawo na to liczyć, żono.

Nie potrafiła wziąć zapewnienia admirała za pewnik. Ostatnie pięć lat nauczyło ją, że wszystko może się zmienić. Co prawda, nie istniał żaden powód, aby nie mogło się zmienić na lepsze. Może admirał miał rację?

Spędzili przyjemne popołudnie na tarasie, popijając aromatyczną herbatę zaparzoną przez Etienne'a i jedząc biskwity, które przyniósł później, jeszcze ciepłe, prosto z pieca, który przywróconego do życia, ledwie wyszli z kuchni. Sophie cieszył pobyt na tarasie, mimo jego żalospnego wyglądu, rekompensował to w pełni wspaniały widok, jaki się z niego roztaczał. Poza tym nie spieszyło się jej z powrotem do środka. W pewnym momencie zaczęła rozmyślać o ciągnącym się przed ich oczami ogrodzie.

- Dobrze byłoby mieć zioła - zauważyła.

- Zioła? Jakie?

- Uprzykrzałeś życie siostrom, kiedy byłeś młodszy?

- Pewnie tak. - Popatrzył w tym samym kierunku, co żona. - Zabawne. Ja widzę tylko ocean, ty ład.

- Zioła tutaj, na tym zarośniętym chwastami poletku. Lawenda, tymianek, rozmaryn. Etienne mi podziękuje. Tu chciałabym posadzić róże. Ileż możliwości!

Chmury zbierały się nad ich głowami. Kiedy spadły pierwsze krople, admirał podał dłoń Sophie.

- Chyba jesteśmy zmuszeni wejść do środka. Proponuję gabinet. Stary lord raczej rzadko tam zaglądał, bo nie ozdobił go w swoim stylu.

Rzeczywiście. Nie było tutaj żadnych posągów ani rozpasanych kupidynów. Admirał podsunął żonie krzesło, a sam usiadł za biurkiem i wyjął arkusz papieru. Sophie przysunęła się bliżej, zwolniła zatrzask i odkryła wieczko kałamarza. Admirał skinął głową w podziękę, a potem wziął do ręki pióro i przycisnął hak do papieru, aby go przytrzymać.

- Najpierw to, co najważniejsze.

- Więcej służby. Zapytam Etienne'a, kogo on potrzebuje. Trzeba zatrudnić dwie pokojówki i ogrodnika. Zapytam Starkeya, czy przydałby mu się lokaj.

- Pewnie tak. Potrzebujemy też malarzy i niezliczonych wiader farby. Sophie, jak znaleźć tych wszystkich ludzi? Na okręcie otwierałem usta i wszyscy się zlatywali.

- Przydałby się zarządca. Ktoś, kto zna ten teren i wie, gdzie szukać.

Bright zanotował to i zasepił się.

- Starkey gotów pomyśleć, że wkraczam na jego terytorium. Niezależnie od tego, jak mam znaleźć zarządcę?

Sophie namyślała się przez chwilę.

- Złożymy wizyty twoim sąsiadom.

- I podkupimy im służbę?

- Jesteś nie do wytrzymania, panie Bright. Szkoda, że nie odkryłam tego wczoraj.

Kąciki ust mu drgnęły.

- Nie robię tego celowo. Nie mam wyjścia.

- Powtórzę. Jutro złożymy wizyty twoim najbliższym sąsiadom. Zostawisz swoją wizytówkę, wyjaśnisz, w jakiej znalazłeś się sytuacji. Zresztą, jestem pewna, że doskonale wiesz, jak ten dom wygląda. Jeśli postarasz się być czarujący, pomogą.

- A jeśli się nie postaram?

- Panie Bright, jesteś czarujący - podkreśliła, a gdy na nią spojrział, poczuła, że się czerwieni. - Czy wiesz, kim są twoi sąsiedzi?

- Bezpośrednio do nas przylega posiadłość starego markiza, którego rzadko widuje się poza domem. Mizantrop, jak go określił agent nieruchomości.

- A inni sąsiedzi?

- Po przeciwnej stronie drogi mieszkają Jakub Brustein i jego żona, Rywka. To bankier, jego partnerem w interesach jest William Carter. Czy był, bo o ile wiem, Carter nie żyje, niemniej jego nazwisko wciąż wiele znaczy, co daje Brusteinowi większą siłę przebicia. Moje siostry były pod wrażeniem.

- Jutro rano złożymy wizyty twoim sąsiadom - orzekła Sophie po chwili namysłu.

- Czy potrzebujesz osobistej pokojówki, żeby zajęła się twoimi sukniami? - spytał, spoglądając na listę spraw do załatwienia.

- Suknia, w której ujrzałeś mnie w hotelowej restauracji, płaszcz, szal, koszula nocna i ta niebieska suknia, którą mam na sobie, to cała moja garderoba.

Umoczył pióro w atramencie.

- Kompletna garderoba stosowna dla pani tego domu oraz ubrania dla mnie. Czyli będziesz potrzebować osobistej pokojówki. Praczki i prasowaczki też?

Sophie skinęła głową.

- Przepraszam, że jestem dla ciebie ciężarem.

- Ciężarem? - spytał, machając kartką papieru, aby atrament szybciej wyschł. - Pomyśl, ilu sensownych rad właśnie mi udzieliłaś. - Wyciągnął rękę i ujął jej dłoń. - Posłuchaj uważnie. Więcej tego nie powiem, bo rozmowa o pieniądzach najwyraźniej wprawia cię w zakłopotanie. Nienawidzę Napoleona, ale to przez niego stałem się bogaty. Zrealizowanie tej niewielkiej listy nie uczyni żadnego uszczerbku w moich finansach. Nawet jeśli dodam jeszcze konie, powóz, woźnicę i kogoś, kto będzie czyścił stajnie z... jakkolwiek to tu, na łądzie, nazywacie.

- Z brudnej ściółki?

- Z brudnej ściółki! - Odchylił się na krześle i roześmiał. - Świetnie. Widzę, że twoim głównym zajęciem będzie ucywilizowanie męża.

Starkey zapukał do drzwi i otworzył je.

- Dupuis mnie przysyła. Mam powiedzieć, że obiad poda w pokoju śniadaniowym. Poprzykrywałem najbardziej skandaliczne malowidła. - Zamknął drzwi, ale zaraz otworzył je ponownie. - Penelopa i Odyseusz znikli. Może to była Wenus i personifikacja marynarza.

Sophie spojrzała na niego z niemym zdziwieniem.

- To miejsce jest schronieniem wszelkiej maści szaleńców - powiedziała, kiedy Starkey wreszcie zamknął za sobą drzwi.

- Niekoniecznie, droga żono. Masz jeszcze jedno zadanie, znacznie trudniejsze, tak że nawet nie zwracałem sobie głowy, by zapisać je na papierze. Musisz mi wyznaczyć jakieś zajęcie.

Czekają mnie całkiem poważne obowiązki, pomyślała Sophie, rozbierając się w zaciszu swojej sypialni. Starkey pościelił jej łóżko i rozpałił ogień na kominku, co przepędziło wilgoć wciskającą się do domu, gdy na zewnątrz ochłodziło się z powodu wciąż padającego deszczu.

Obiad był przepyszny. W krótkim czasie Etienne zdołał wyczarować doskonałą zupę cebulową i podał ją z upieczonymi w domu krakersami. Przypomniało jej to czasy, gdy Andrew przynosił do domu papiery i ślęczał nad układaniem posiłków dla Królewskiej Marynarki Wojennej, a ona siadywała razem z nim w ich ciasnym gabinecie, robiąc na drutach.

Początkowo czuła się niezręcznie w towarzystwie admirała. Spędzała dużo czasu z kimś, kogo praktycznie nie znała, a kto był jednocześnie niezwykle absorbujący. Zaczął jej opowiadać o życiu na morzu, żeby ją ze sobą oswoić. Nie było w tych opowieściach nic nieprzyjemnego czy przerażającego, tylko relacje o lądach tak oddalonych, że jako dziecko uważał je za istniejące jedynie w baśniach. Opisywał obrazowo niedogodności bycia „młodym dżentelmenem” na okręcie i szkołę, jaką dostał jako kadet w wieku zaledwie dziesięciu lat. Musiała mieć nieszczególną minę, słuchając o tym poniewieraniu dzieckiem, bo w pewnym momencie przerwał i, dotykając jej dłoni, powiedział:

- Nie martw się. Na pewno nie pošlę naszych dzieci w tak wczesnym wieku na morze.

Wrócił do opowiadania, prawdopodobnie nawet nie zdając sobie sprawy, że właśnie zasygnalizował, jak wyobraża sobie ich dalsze wspólne życie, a ona uznała, że lepiej to przemilczeć. Zdała sobie sprawę, że sprawia jej niezwykle przyjemność coś tak oczywistego jak zwykła rozmowa i jak bardzo za nią tęskniła przez te wszystkie lata, gdy opiekowała się starszymi paniami. Dama do towarzystwa raczej nie bywa w pomieszczeniach dla służby, a do salonu państwa zdecydowanie nie ma wstępu. W konsekwencji spędziła zbyt wiele wieczorów samotnie, pogrążona w bolesnych wspomnieniach o synku i rozpamiętywaniu klęski męża.

Kiedy wieczór dobiegł końca, admirał odprowadził ją do drzwi sypialni i życzył jej dobrej nocy.

- Mój pokój jest po przeciwnej stronie korytarza, gdybyś czegoś potrzebowała - dodał, po czym odszedł sprężystym krokiem, admirał w każdym calu, z czego prawdopodobnie nie zdawał sobie sprawy.

Nie masz pojęcia, biedaku, jaką teraz zagrać życiową rolę, pomyślała, zamykając drzwi. A czego ja potrzebuję? Niewiele. Kiedy jest się wykluczonym nędzarzem, szybko redukuje się swoje potrzeby albo umiera.

Usiadła po turecku na łóżku i zakołysała się na wygodnym, grubym materacu. Przyjemna odmiana po twardych, niewygodnych posłaniach. Wyjęła szpilki z włosów i sięgnęła po szczotkę z wprawionym z tyłu lusterkiem, którą dostała od Andrew na Gwiazdkę. Odwróciła szczotkę lusterkiem do przodu i uważnie przyjrzała się swojej twarzy. Podkrążone oczy, zapadnięte policzki... Zadziwiające, że w ogóle zwrócił na nią uwagę w hotelowej restauracji. Jedyne powód, to że chyba rzeczywiście był zdecydowany się ożenić, a panna Batchthorpe się nie zjawiała. Cóż, niezależnie od powodu, dołoży starań, żeby umożliwić mu w miarę bezbolesne przystosowanie się do życia na lądzie.

Umościła się w pościeli i zamierzała zgasić świecę, gdy rozległo się pukanie do drzwi.

- Sophie, zapomniałem o czymś.

Zaintrygowana, wstała i uchyliła drzwi.

- O co...? - zaczęła.

Zdjął już surdut i fular, rozpiął też koszulę i zobaczyła paski wokół szyi, przytrzymujące hak w nadgarstku. W dłoni trzymał kawałek tasiemki.

- Zamierzam zrobić coś z tą obrączką, którą wciąż poprawiałaś na palcu podczas kolacji. Nie skończyła w zupie?

- Przecież wiesz, że nie. Owinęłam wokół niej kawałek materiału i to zapobiegło katastrofie. Nie musisz...

- Pani Bright - przerwał jej - nie życzę sobie, aby moja żona wpychała kawałki szmatki pod ślubny pierścionek. Co sobie pomyślą nasi sąsiedzi? Poza tym wybierałem go dla Myszy. W pewnym sensie nie jest twój.

Już otwierała usta, żeby zaprotestować, ale przyłożył delikatnie palec do jej warg.

- Pani Bright, nie jestem przyzwyczajony, aby mi się sprzeciwiano. Emerytowany, owszem, ale wciąż stanowczy. Wsuń palec, jak przystało na grzeczną dziewczynę, bo wiem, że nią jesteś.

Zrobiła, co jej kazał. Wręczył jej ogryzek ołówka i owinał tasiemkę wokół jej palca.

- Mam za mało rąk, żeby sobie z tym poradzić - oświadczył. - Sama odznacz odpowiedni kawałek.

Sophie wzruszyło to, że admirał jest taki uważający. Ich głowy zbliżyły się do siebie i poczuła przyjemny zapach wody kolońskiej.

- Proszę! - Wręczyła mu tasiemkę i ołówek.

Cofnął się o krok, ona wciąż stała w drzwiach ze wzrokiem utkwionym w przytrzymujących protezę paskach.

- Czy mogłabym ci pomóc to odpiąć?

- Dlaczego nie? - Pochylił się lekko. - Widzisz tę dziurkę w skórze? Przekręć i wysuń ten metalowy guzik. Doskonale. Resztę sam potrafię, ale trudno mi sobie poradzić z tym maleństwem.

- To wszystko? - spytała.

- Łatwo, jak się ma dwie dłonie, co? Jakbyś mogła odpiąć też te spinki do mankietów... Akurat ta para jest irytująco uciążliwa.

- Dobranoc - powiedziała, wręczając mu parę spinek.

- Daj mi, proszę, znać, gdybyś potrzebował mojej pomocy rano.

Podziękował z uśmiechem i cicho zamknął za sobą drzwi.

- Oby te wszystkie kupidyny nie nawiedziły cię w nocy, Sophie - zamamrotała w poduszkę. - Ale jestem płytka! - Uśmiechnęła się sennie do siebie. - Zdaje się, że już uznałam to miejsce za swoje.

Zasnęła szybko, po raz pierwszy od kilku lat nie przetrawiając w myślach upokorzeń,

Kilka godzin później obudziła się z uczuciem, że nie jest w pokoju sama. Leżała nieruchomo, zastanawiając się, co robi, a potem odwróciła głowę. Z sąsiedniej poduszki spoglądał na nią ktoś o tak pomarszczonej twarzy, że w pierwszej chwili otworzyła usta ze zdziwienia. Patrzył na nią, odsłaniając w uśmiechu bezzębne dziąsła. Chciała zerwać się na równe nogi, ale złapał ją za nadgarstek i wycisnął na jej dłoni oślizły pocałunek.

- To był długi rok, panienczko.

Sophie zaczęła krzyczeć.

## Rozdział szósty

Nawet na emeryturze admirał Bright spał czujnie. Wiedział, że stało się to jego drugą naturą. Na okręcie flagowym, kiedy nie musiał nim dowodzić i cedował ten obowiązek na kapitana, też nie sypiał głęboko. Nie pozwalała mu na to świadomość, że wziął odpowiedzialność za flotę i setki ludzkich istnień.

Zerwał się z łóżka, zanim jeszcze przebrzmiał krzyk żony, i zaczął się rozglądać za użyteczną bronią, aby ją ochronić przed niebezpieczeństwem, choć nie miał pojęcia, jakiej jest natury. Wciąż miał świetny refleks. Nie zdążyła krzyknąć ponownie, gdy znalazł w garderobie kordelas. Wściekły na brak ręki, wsunął go pod ramię i szarpnięciem otworzył drzwi.

W tej samej chwili drzwi jej sypialni także się otworzyły. Na widok Sophie westchnął z ulgą, chociaż zarejestrował jej przerażony wzrok. Rzuciła się mu w ramiona, kordelas ze szczękiem metalu upadł na podłogę. Przy jej szczupłości łatwo było ją objąć i podtrzymać, tego zresztą się spodziewał.

- Co się, na litość boską, dzieje? - spytał, usiłując podnieść kordelas, lecz nie pozwolił mu na to kurczowy uścisk żony.

Poklepał ją po plecach i nagle wyczuł, że wiotczeje w jego ramionach, więc nie zważając na nic, przytulił ją mocniej. Sophie przycisnęła twarz do jego piersi i zaczęła mamrotać niewyraźnie jakieś słowa, a szkocka, regionalna wymowa dodatkowo utrudniała mu zrozumienie. Ujął delikatnie jej podbródek i odsunął głowę, co ją lekko otrzeźwiło.

- Uspokój się. Nic ci nie grozi.

Lata praktyki w wydawaniu komend zrobiły swoje. Wzięła głęboki oddech, a potem oparła czoło o jego pierś i oznajmiła:

- Zabiłam go. Jest taki stary.

Zamrugął oczami. Musiał się przesłyszeć.

- Sophie, co powiedziałaś?



Uwolniła się z objęć admirała, ujęła go za rękę i pociągnęła do swojej sypialni.

- Był tutaj! Głowa na poduszce! Walnęłam go lichtarzem, zanim pomyślałam, a potem przyjrzałam się. Zamordowałam starca!

Wdrapała się na łóżko i przez moment mógł podziwiać jej nogi, a potem położyła się na brzuchu i zajrzała w szparę między łóżkiem a ścianą. Odwróciła głowę i pokazała mu niecierpliwym gestem, aby poszedł w jej ślady. Ułożył się obok niej i zajrzał we wskazane miejsce. Na podłodze, owinięty w kołdrę, leżał zasuszony starzec. Oczy miał zamknięte, na czole rósł okazały siniak.

- Nie żyje? - szepnęła Sophie.

Stary człowiek nie mógł usłyszeć tych słów, a jednak jęknął i otworzył oczy.

- Czy powiedziałem coś złego? - wychrypiał. - Nigdy mi czegoś takiego nie zrobiłaś.

Bright zerknął na żonę, wpatrującą się rozszerzonymi oczami w starca.

- Kto... kim pan jest i co robił w moim łóżku?

Mężczyzna wyciągnął rękę i admirał pomógł mu usiąść.

- Proszę posłuchać. To sypialnia mojej żony. Mam prawo wiedzieć, co się tutaj dzieje.

Starzec dotknął guza na głowie, skrzywił się i spojrzał pytająco na przyglądających mu się admirała i Sophie.

- To jest ten dom i dzisiaj jest dziesiąty czerwca. Wyjaśnijcie mi, proszę, co wy tutaj robicie?

Bright spojrzał na żonę, która zwinęła się w kłębek na łóżku.

- Moja droga, może rzeczywiście miałaś rację, że nasz dom to azyl dla wariatów.

Nieznajomy zamachał rękami.

- Na litość boską, pomóżcie mi usiąść na krześle. Czy ja muszę wam przypominać, że dzisiaj jest dziesiątego czerwca?

Wzięli go oboje pod rękę i zaprowadzili do krzesła stojącego przed kominkiem. Opadł na nie z westchnieniem ulgi.

- Przydałoby się trochę wody - zażądał.

Bright uśmiechnął się, gdy Sophie wzięła karafkę stojącą na nocnym stoliku przy jej łóżku i zaczęła skrapiać wodą intruza.

- Nie! Nie! - zaprotestował. - Ty głupiutkie stworzenie. Chcę pić! - Jego głos brzmiał słabo, ale stanowczo. - Mamy dziesiątego czerwca!

- Dziesiątego czerwca? - powtórzył Bright. - Czy to oznacza noc lunatyków i pocięznych idiotów wyłaniających się z wrzosowisk Devonu? To teren prywatny, a pan napastował moją żonę.

Starzec z niedowierzaniem przenosił wzrok z admirała na Sophie i z powrotem.

- To posiadłość lorda Hudleya, tak?

- Nie. Kupiłem ją dwa miesiące temu od zarządzającego spadkiem.

Kruchy starzec dosłownie zapadł się w sobie na ich oczach.

- Zarządzającego spadkiem? On nie żyje? - Ostatnie słowo utonęło w niemal teatralnym szlochu.

- Od jakichś sześciu miesięcy - potwierdził Bright. Przysunął drugie krzesło i gestem pokazał Sophie, by zajęła miejsce. Rzuciła dłuższe spojrzenie na starego mężczyznę, ale w końcu usiadła. - Z tego, co wiem, zmarł w Wenecji. Wpadł do Canal Grande, wypiłszy zbyt wiele wina, a w pobliżu nie było żadnej gondoli.

- To bardzo do niego podobne - stwierdził nieznajomy. - Nie rozumiem, dlaczego mnie nie powiadomiono.

- Jest pan jego krewnym? - spytała Sophie.

Mimo kiepskiego oświetlenia Bright dostrzegł, że żonie drżą dłonie. Położył na nich rękę, a ona złapała ją kurczowo. Starzec poprawił się na krześle i zamknął oczy. Admirał był pewien, że nie słyszał pytania.

- Hudley nie żyje? - upewnił się.

- Obawiam się, że tak - potwierdził Bright. - Czy mógłby pan nam wyjaśnić, dlaczego dzień dziesiątego czerwca jest tak ważny?

Zasuszony człowieczek zebrał się w sobie, przywołując całą nadwątloną godność.

- Nawet nie potrafi pan sobie wyobrazić, jak ja zawsze czekałem na ten dzień.

- Może potrafiłbym, gdybym miał jakiegokolwiek pojęcie, co się z tym dniem wiąże.

- Hudley organizował tutaj fantastyczne przyjęcia. To moja sypialnia, tu Hudley umieszczał moją ulubioną dziewczynę.

Sophie zachnęła się. Bright z rozbawieniem zobaczył, jak kilka razy otwiera i zamyka usta. Przeniósł spojrzenie na starego mężczyznę, nie bez pewnego podziwu.

- Wiem, że to niegrzecznie, ale ile ma pan lat? - zapytał.

- Osiemdziesiąt - odparł z godnością. - Uczestniczyłem w przyjęciach Hudleya przez czterdzieści lat, dziesiątego czerwca każdego roku. - Jego oczy przybrały marzący wyraz, jakby przypominał sobie najbardziej satysfakcjonujące momenty.

- Pozwoli pan, że się przedstawię. Charles Bright, emerytowany admirał Królewskiej Marynarki Wojennej. A to moja żona, lady Bright.

Starzec skinął głową wyniośle.

- Jestem lord Edmonds, mieszkam w Northumberland.

- Sądzę, że to tłumaczy, dlaczego nie słyszał pan o śmierci lorda Hudleya.

- Czasami jedna, a czasem dwie... - Staruszkowi zebrało się na wspomnienia.

- Wystarczy, lordzie Edmonds - przerwał mu Bright, nie śmiejąc spojrzeć żonie w oczy.

- Jest pan człowiekiem morza - odparł lord Edmonds. - Niech mi pan nie wmawia, że nigdy...

Odsiecz przyszła z niespodziewanej strony.

- Lordzie Edmonds, bardziej interesujące jest w tej chwili, jak się pan dostał do domu - stwierdziła Sophie.

- To proste, moja droga. Hudley chował klucze w różnych miejscach na tarasie. Mój pod tym małym posążkiem Afrodyty, której nogi... Przecież pani wie, tam, przy różach.

- Och! - Głos Sophie brzmiał słabo. - Klucze są wszędzie?

- Wszędzie! - potwierdził lord Edmonds. - Nie mieliśmy żadnego kłopotu ze znalezieniem.

W tym momencie admirał po raz pierwszy otarł się o coś, co jeden z jego kapitanów - spędziwszy jakiś czas na lądzie z ciężarną żoną - określił jako „małżeńską dyplomację”. Mogę się zacząć śmiać, pomyślał, bo mam na to ochotę, a ten stary rozpustny

piernik jest w gruncie rzeczy niegroźny, albo mogę ze względu na Sophie wziąć głęboki oddech i się powstrzymać. Wybierz roztropnie, panie Bright!

Wziął głęboki oddech, bo bał się, że jeśli zacznie się śmiać, znów będzie musiał czekać na Myszę.

- Lordzie Edmonds, bardzo mnie to zmartwiło. Czy nie zechciałby pan spędzić nocy w innym pokoju i przejść się ze mną rano po ogrodzie? - Dotknął policzka Sophie i poczuł się zawstydzony jej łzami. - Nie życzę sobie, aby moja żona jeszcze raz została narażona na takie przeżycia. Kochanie - zwrócił się do Sophie, - nie dopuszczę, aby to się powtórzyło.

Skinęła głową. Był pewien, że nie może wydusić z siebie ani słowa. Przerazenie w jej oczach przypomniało mu, jak niewiele wie o kobietach. Podziękował w duchu opatrności za to, że czuwała nad mężczyzną, który jeszcze dwa dni temu śmiałby się z tego wszystkiego na głos.

Właśnie coś zrozumiałem, pomyślał, i obym nie zapomniał tej lekcji.

- Pewnie sobie przypomnę, gdzie niektóre leżą - powiedział lord Edmonds.

- Dobrze. Mogę pana zaprosić na dolny pokład, żeby sprawdzić, czy mój szef kuchni zdoła zaparzyć herbatę? Sophie, wracaj do łóżka. Poszukam jakiegoś pokoju dla tego... hm... naszego gościa.

- O nie! - zaprotestowała, zrywając się na równe nogi. - Nie zostanę tutaj sama!

Etienne nie sprawiał wrażenia zdziwionego ich pojawieniem się o nietypowej porze. Admirał nie spodziewał się po nim czego innego, w końcu przez lata spędzone na morzu zdążył przywyknąć do nieregularnego trybu życia. Francuz przyjrzał się lordowi Edmondsowi, a potem przyniósł zawinięte w ściereczkę kawałki lodu do przyłożenia na głowę.

Sophie nie wyszła ze swojej sypialni, zanim nie znalazła szlafroka, równie znoszonego jak jej koszula nocna. Wpięła we włosy coś, co przypominało admirałowi drewniany szpikulec, odsłaniając twarz. On również włożył szlafrok i nie musiał jej prosić o zawiązanie paska, zrobiła to z własnej inicjatywy.

Schodziła po schodach razem z nim, więc zdobył się na odwagę i objął ją pozbawionym dłoni ramieniem. Nie wstrząsnęła się z odrazą. Przeciwnie, odetchnęła głęboko, jakby do tej pory wstrzymywała powietrze, i spojrzała na niego z wdzięcznością.

Siedzieli w holu dla służby ponad godzinę, słuchając lorda Edmondsa, który w pograżonym w ciszy budynku coraz cichszym głosem opisywał co smakowitsze detale minionych przyjęć. Kiedy zegar wybił trzecią, ziewnął potężnie.

- Muszę skończyć - ogłosił. Jego oczy nabrały tęsknego wyrazu. - Czterdzieści lat. No cóż, jeśli mieszka się w krainie zimnych kolan i placków owsianych, to pragnie się odmiany jak kania deszczu. - Mrugnął do Sophie, która się uśmiechnęła, i zwrócił się do admirała: - Smakowity kąsek. Gdzie ją pan znalazł?

- W restauracji - oświadczył Bright, uznając to za najlepszą odpowiedź.

Śmiech Sophie utwierdził go w tym mniemaniu.

Lord Edmonds przyglądał się im obojgu przez chwilę, najwyraźniej zastanawiając się, czy to ma być jakiś niezrozumiały dla niego dowcip, w końcu wzruszył ramionami.

- Potrzebuję tylko koca i poduszki. - Nagle twarz mu pojaśniała i rzucił pełne optymizmu: - Mógłbym się przespać w bibliotece.

- To wykluczone - stwierdził Bright. - Mój steward przygotował dla pana pokój sąsiadujący z moim. Po śniadaniu przejdziemy się po terenie. - Wyciągnął rękę. - Dziękuję za oddanie klucza.

Lord Edmonds westchnął, ale oddał klucz. Wchodząc za nimi po schodach, mruzczał coś do siebie o tym, jak mało ekscytujący i pozbawieni fantazji są teraz młodzi ludzie.

- Uważa nas za młodych - szepnęła Sophie do męża. - Mam to potraktować jako komplement

- Ja tak to potraktuję - odparł szeptem. - Musisz przyznać, że ten stary cap jest optymistą, skoro myśli, że dałby radę bachantkom. Życzyłbym sobie być tak pełnym nadziei w wieku osiemdziesięciu lat.

- Nie muszę niczego przyznawać - odparła. - Liczę na to, że jutro znajdziecie dużo kluczy.

Admirał najpierw odprowadził żonę do jej sypialni, a potem lorda Edmondsa. Stał pośrodku holu niepewny, co robić. Wieczór nieoczekiwanie przerodził się w coś niepokojąco przypominającego wachtę z czasów, gdy był kadetem. Cztery godziny, cztery szklanki - danina dla bogów wojny. Spojrzał na drzwi pokoju Sophie, zastanawiając się, czy uda się jej zasnąć.

W holu stało krzesło z wysokim oparciem, wyniesione z jednego z pokoi jako niepotrzebne. Przyciągnął je pod drzwi sypialni żony i usadowił się na nim, kładąc kordelas na kolanach. Nie wiadomo, co takiemu lubieżnemu staremu capowi strzeli do głowy, zwłaszcza tak zaprzyjaźnionemu z osobnikiem w rodzaju lorda Hudleya, doszedł do wniosku.

- Czy to ty, Charles?

Wydawało mu się, że głos Sophie dobiegł gdzieś z wysokości dziurki od klucza.

Charles, skonstatował przyjemnie zdziwiony.

- Tak, Sophie, moja piękna bachantko.

Uchyliła drzwi na cal.

- Sądzę, że jestem bezpieczna - powiedziała, ale w jej głosie zabrzmiała nuta niepewności. - I nie jestem twoją piękną bachantką - dodała.

Puścił do niej oczko i zamknął powieki. Nie poruszyła się, więc otworzył jedno oko.

- Od lat nikt mi się nie sprzeciwił.

- Nie jestem jednym z twoich oficerów!

Ale charakterek, pomyślał.

- To prawda - przyznał pojednawczo. - Jesteś o niebo piękniejsza. Dobranoc, Sophie. Jeśli dalej będziesz stała tutaj na bosaka, spierając się ze mną, dojdę do wniosku, że na wojnie było spokojniej niż podczas pokoju.

Westchnęła ciężko.

- Bardzo dziwne domostwo.

- Strach pomyśleć, co przyniesie jutro.

Usłyszał, jak odchodzi na bosaka w głąb pokoju, a potem ku jego zdumieniu wróciła z kocem. Opatuliła go nim, także kordelas, nie odzywając się przy tym ani słowem, i zamknęła za sobą drzwi.

Sophie obudziła się i zobaczyła, że deszcz przestał padać. Leżała przez dłuższy czas z rękami splecionymi pod głową, rozkoszując się uczuciem spokoju. Była głodna, ale dzisiaj temu uczuciu nie towarzyszyła obawa. Wciągnęła głęboko powietrze. Etienne najwyraźniej nie poszedł za głosem swojej galicyjskiej natury i przygotował angielskie śniadanie. Nic dziwnego, w końcu od bitwy o Trafalgar kucharzył w angielskiej marynarce. Mogła się ubrać, jak się jej podoba, i zejść na śniadanie. Nie było żadnej wymagającej starszej damy, pracodawców, którym trzeba schodzić z drogi, strachu, że zostanie się odprawionym, czy wysłuchiwania kłótni o jej skąpą płacę.

Była zadowolona, ale wiedziała, że zamieniłaby to wszystko na życie z Andrew, zanim lordowie admiralicji zaszczuli go na śmierć, za szansę odbycia spaceru z Andrew i Peterem, kiedy trzymali oboje synka za ręce i podnosili ponad kałużami. Myślała o nich dwóch, największej miłości swojego życia, a potem - czego nigdy przedtem nie zrobiła - odsunęła od siebie myśli o nich. Mieli na zawsze pozostać w jej sercu i nie było w tym smutku ani bólu, tylko nagła ulga, bo uświadomiła sobie, jak silna była jej miłość i jak bardzo się starała.

Osuszyła oczy rąbkiem prześcieradła i usiadła, nasłuchując głosów dochodzących zza okna. Wstała i otworzyła jedno skrzydło. Oparła się łokciami o parapet i oczy jej poweselały na widok lorda Edmondsa, małego i kruchego w świetle poranka, i jej męża, krążących wokół rozrośniętych krzaków i pochylających się od czasu do czasu, aby wydobyc klucza. To, co ją przeraziło w nocy, w dzień wydało się zabawne.

- Naprawdę nie musiałeś spać pod moimi drzwiami dzisiejszej nocy, Charles - powiedziała, wiedząc, że i tak jej nie usłyszysz. - Mimo to dziękuję ci.

Odwróciła się i oczy ponownie zaszyły jej łzami. Koc, którym okryła męża, leżał złożony w nogach łóżka. Nic nie słyszała, spała głęboko. Kordelas, położony na podłodze, strzegł wejścia do sypialni przed każdym intruzem, który odważyłby się je przekroczyć. Owinęła ramiona kocem, szukając zapachu wody kolońskiej. Wczoraj myślała, jakie to głupie i podle z jej strony, że dopuściła, aby dobry z natury człowiek czuł się zo-

bowiązany ją poślubić, choć mógł wybrać znacznie lepiej. Dzisiaj nic nie zostało z tych myśli. Cieszyła się, że to właśnie ona spotkała na swojej drodze kogoś, kto chciał jej pomóc.

Znów podeszła do okna, tym razem tylko po to, aby spojrzeć raz jeszcze na męża, chodzącego po ogrodzie i słuchającego wskazówek lorda Edmondsa. Zamknęła oczy i po chwili je otworzyła. Był tam naprawdę. Nie był wytworem jej wyobraźni.

## Rozdział siódmy

Lord Edmonds zostałby pewnie cały tydzień, gdyby go zachęcili. Nie uczynili tego jednak i wyjechał jeszcze przed lunchem pocztowym dyliżansem, który Starkey wynajął w Plymouth. Bright odprowadził staruszkę do powozu i pomógł mu wsiąść. Potem stanął obok żony na schodach przed głównym wejściem, objął ją w tali, jakby chciał coś udowodnić, i pomachał staremu rozpustnikowi.

- Czas się ulotnić, lordzie Edmonds - powiedział pod nosem, cały czas się uśmiechając i machając.

- Dobrze ci wychodzi udawanie, że przykro ci z powodu jego wyjazdu - zauważyła Sophie.

- Nabrałem dużej wprawy przy niezliczonych posłach Izby Gmin oraz z Izby Lordów, którym zdawało się, że wiedzą więcej ode mnie o kierowaniu flotą. Poza tym siostry dały mi wiele powodów, abym chciał posłać je do diabła.

Odwróciła się, żeby wejść do domu, ale zatrzymała się w miejscu.

- Nie mam ochoty zobaczyć znowu tego holu.

- Ani ja. Chodźmy na plażę.

Pomógł jej zejść po drewnianych stopniach na piaszczysty brzeg, odsłonięty po odpływie. Usadowiwszy się na kamieniu, Sophie obserwowała, jak admirał, rzuca kolejno każdy z dziesięciu kluczy daleko w morze.

- Zagrzebią się w piasku albo fale je uniosą - zapewnił ją, wycierając rękę w spodnie. Usiadł obok niej na kamieniu i odczekał chwilę, zanim odezwał się znowu, stannie ważąc słowa: - Kiedy chodziłem ze starym łajdakiem po ogrodzie, powiedziałem



mu, że niedawno się pobraliśmy. Zastanawiał się, dlaczego śpimy w osobnych pokojach. Grzecznie dałem mu do zrozumienia, że to nie jego sprawa. Jednak... Czy będziemy kłamać moim siostram? Powiem szczerze, że czuję się nieswojo, mijając się z prawdą, kiedy to niepotrzebne: Co o tym sądzisz?

Już chciała mu wyznać, jak brzmi jej nazwisko po mężu i dlaczego użyła panieńskiego. Jedno, dwa z trudem wyduszone zdania wyjaśniłyby sprawę, tyle że... ten właściwy moment już minął. Cokolwiek by teraz powiedziała, wyszłaby na oportunistkę, a nie czuła się na siłach znieść jego oskarżeń, nie po tych pięciu latach.

- Sama nie wiem - powiedziała, czując, że rumieniec wypełza na jej policzki. Miała nadzieję, że admirał przypisze to niezręczności sytuacji.

- Zatem kim jesteśmy? Kochankami, którzy właśnie się odnaleźli, czy małżeństwem z rozsądku? Będziemy kłamać czy powiemy prawdę?

Sophie wydawało się, że admirał potrafi czytać w jej myślach, bo popatrzył na nią tak, że poczuła się nieswojo.

- Właśnie poznałaś moje admiralskie spojrzenie. Boję się, że weszło mi to w krew. Jeżeli powiem prawdę, upokorzę cię, prawda Sophie?

Skinęła głową i pomyślała, ile zniosła przez ostatnie pięć lat, począwszy od gromkich oskarżeń lordów admiralicji pod adresem jej zmarłego męża, po umykające spojrzenia dawnych przyjaciół, unikających jej, póki nie usunęła im się z oczu.

Admirał czekał, aż coś mu odpowie.

- Powinieneś powiedzieć prawdę - odezwała się w końcu. - Miejmy to za sobą. Może wtedy dadzą ci spokój. Przecież o to chodziło, prawda?

Wyglądał na zaskoczzonego, co ją zdziwiło.

- Właściwie tak, chociaż... - Zamilkł na dłuższą chwilę. - Może zniosę jeszcze jedno kłamstwo. - Wstał i podał jej ramię. - Nie ma powodu, żeby cię zawstydząć.

- Nie przeszkadza mi to.

- A powinno. Ostatecznie jesteś teraz żoną emerytowanego admirała, kimś ważnym.

- Jestem damą do towarzystwa bez grosza przy duszy.

Poczuła, że rodzi się w niej gniew zamiast zawstydzenia.

- Kogo chcemy oszukać, przecież to sprawa między nami dwojgiem.

Przystanął, zdjął jej dłoń ze swojego ramienia i uściśnął lekko, jakby chciał jej dodać animuszu.

- Nie. Jesteś lady Bright. Dostrój się do mnie. Zabrzmiało buńczucznie, co? - Spoważniał. - Coś wymyślimy.

Kiedy? - zastanawiała się, gdy szli do domu. W holu zmusiła się do spojrzenia na sufit z amorkami w dwuznacznych pozach. Ten szlachetny człowiek poślubił mnie. Pora udowodnić swoją wartość, powiedziała sobie w duchu.

- Charles - zwróciła się do męża - czas wziąć byka za rogi. Trzeba odnowić ten dom, i to szybko.

- Wiem. Sąsiedzi, tak?

- Odwiedzimy ich i poprosimy o radę. Zdamy się na ich wielkoduszność i może dzięki temu zyskamy zarządcę. Albo podkupimy, jak sugerowałeś.

- Dlaczego o tym nie pomyślałem?

- To proste. Przywykłeś do wydawania rozkazów. Teraz przyszedł czas prosić o pomoc. Idę się przebrać w moją drugą suknię i włożyć brzydkie, ale wygodne pantofle.

- Ale tylko najbliżsi sąsiedzi - zastrzegł admirał pół godziny później, kiedy schodzili po frontowych schodach.

W pobliżu Starkey rozbijał posąg nagiej piękności na mniejsze kawałki, żeby łatwiej mu było go ostatecznie usunąć.

- Dobry początek. Żeglujemy w kierunku porządku.

- Ciekawe, czy drzewka cytryn utrzymają się w naszym klimacie - powiedział admirał, gdy szli zarośniętym chwastami podjazdem. - Chciałbym mieć po obu stronach drzwi drzewka cytrynowe.

- Możemy o to zapytać naszego najbliższego sąsiada. - Pokazała na koniec podjazdu. - Bankier?

- Tak. Agent nieruchomości bezustannie ubolewał nad tym akurat sąsiedztwem. Myślał, że mogę mieć obiekcje, aby zamieszkać obok Żyda. Zapewniłem go, że to zniosę. Co za hipokryzja! - Doszli do końca podjazdu i Bright przystanął. - Ciche sąsiedztwo. Chodźmy, moja droga, złożmy wreszcie te wizyty.

Podjazd wyglądał o wiele porządniej niż ich własny, co admirał natychmiast skomentował z rozbawieniem:

- Agent nieruchomości całkowicie się mylił. Sophie, to my jesteśmy zakałą okolicy.

- Mów za siebie, Charlie - oświadczyła, zadowolona, że wrócił mu dobry humor. - Pokażmy się z najlepszej strony. Mówiłeś, że Jakub Brustein, założyciel Brustein i Carter, jest bankierem połowy floty? Już go uwielbiam.

Admirał zapukał do przyzwoicie wyglądających drzwi, a potem pokazał na małe pudełko z drewna, przyczepione z boku.

- To mezusa, Sophie. Gdybyśmy byli Żydami, przyłożylibyśmy palec do ust, a potem dotknęli go.

Sophie rozejrzała się wokół z ciekawością i poczuła zazdrość. Nie tak duży jak dom admirała, dwór Brusteinów miał wygląd, którego tamtemu brakowało. Wszystko tutaj było perfekcyjne, od miodowej barwy kamienia, trejażu z żółtymi różami, po subtelne koronki zasłon we frontowych oknach. Za dużo chciałabym naraz, pomyślała, patrząc na kota, przeciągającego się przy oknie. Taki efekt osiąga się latami.

Drzwi otworzyła gospodyni o przyjemnej powierzchowności. Admirał zdjął kapelusz.

- Jestem admirał Bright, a to moja żona, lady Bright. Przyszliśmy złożyć wizytę panu Brusteinowi, jeśli przyjmuje gości.

- Proszę wejść. - Gospodyni otworzyła drzwi szerzej. Mówiła z ledwo wyczuwalnym akcentem. - Zapowiem państwa.

Zostawiła ich w holu ozdobionym wiszącymi na ścianach pastelami.

- Bardzo elegancko - szepnęła Sophie.

- Wygląda jak sala wystawowa - skomentował również szeptem admirał. - W każdym razie nie przypomina burdelu.

- Śśś - uciszyła go, czując rumieniec na policzkach. - Zachowuj się.

W chwilę później usłyszeli czyjeś lekkie, niepewne kroki, a kiedy odwrócili się, zobaczyli niewielkiego wzrostu mężczyznę, podpierającego się laską. Na jego twarzy malowało się żywe zainteresowanie. Nosił jeszcze bardziej staroświecki strój niż admi-

rał, na ramiona narzucił szal. Siwe, kręcone włosy okalały jego twarz, wymykając się spod mycki niczym kule dmuchawców. Kiedy podszedł bliżej, okazało się, że sięga Sophie ledwie do ramienia. Dygnęła, a on w odpowiedzi uklonił się.

- Proszę, proszę. Nieczęsto zdarza się, aby admirał przyszedł z wizytą - powiedział z nieco bardziej wyraźnym akcentem niż jego gospodyni.

Charles skłonił się i wyciągnął rękę.

- Właśnie przeszedłem na emeryturę, jestem pańskim najbliższym sąsiadem. Admirał Bright, do pana usług. To moja żona Sophie.

- Czarująca. Admirale, ma pan u mnie rachunek bankowy.

- Jak większość ludzi z floty - zauważył Bright. - Dwa miesiące temu kupiłem tę parodię posiadłości, która przez lata obrażała pańskie oczy, nie wspominając o poczuciu przyzwoitości.

Bankier skinął głową. Zaprosił ich gestem do salonu.

Kot, wciąż rozciągnięty przy oknie, otworzył jedno oko, potem drugie i zeskoczył na podłogę. Podszedł do Jakuba Brustaina i zaczął ocierać się o jego nogi. Staruszek odsunął go delikatnie laską.

- Idź sobie, Belzebub. Jeśli się o ciebie potknę, to będzie kiepsko.

Sophie podniosła kota, który natychmiast ułożył się w jej ramionach i zaczął mruzczyć.

- Największy oportunistą w całym Devonie - powiedział bankier, pokazując uprzejmym gestem na sofę - ale przynosi mi mysz każdego dnia. Pewnie myśli, że sam nie potrafię jej upolować. Trzeba docenić szczodroblivość, niezależnie od formy, jaką przybiera.

Kiedy usiedli, skinął głową gospodyni, która stała przy drzwiach.

- Przyszli państwo z wizytą.

- W rzeczy samej - odparł Bright. - Moja żona zapewniła mnie, że takie są zwyczaje na łądzie. Ponieważ spędziłem ostatnie kilkadziesiąt lat na morzu, muszę polegać na jej wyczuciu, co wypada a co nie.

- W takim razie znalazł pan właściwą osobę. - Brustain spojrzał ciepło na Sophie.

- Też tak sędzę.

Ponowne pojawienie się gospodyni z herbatą i ciasteczkami wybawiło Sophie z kłopotu szukania odpowiedzi. Kobieta postawiła tacę, a gdy Sophie spojrzała na nią z uśmiechem, zobaczyła w jej oczach łzy. Przeniosła spojrzenie na gospodarza i zobaczyła, że też z trudem powstrzymuje wzruszenie. Niepewna, co robić, zapytała:

- Czy chce pan, abym nalała herbaty?

Skinął głową i otarł oczy.

- Mam nadzieję, że nie zjawiliśmy się w złym momencie - powiedział Bright. - Może przyjdziemy innego dnia?

Brustein wyjął dużą chusteczkę i wydmuchał nos. Schował ją z powrotem do kieszeni surduta i poprawił szal na ramionach.

- Moment jest jak najbardziej odpowiedni. Może zrozumieją państwo moją reakcję, kiedy powiem, że są pierwszymi sąsiadami, którzy składają mi wizytę.

- Jak długo państwo tu mieszkają? - spytała Sophie.

- Ponad trzydzieści lat. - Pokazał na stojącą przed nią tacę. - Czy zechciałyby pani nalać herbatę? Co do ciastek - wzruszył ramionami - jest chyba za wcześnie na słodycze.

Sophie pomyślała, że za nic nie chciałaby wprowadzić gospodarza w zażenowanie.

- Przeciwnie, są mile widziane. - Uniosła imbryk, zdecydowana nie wystawiać dalej na próbę poczucia godności starego mężczyzny. - Jedną kostkę czy dwie? - spytała.

Brustein rozejrzał się wokół demonstracyjnie.

- Gospodyni zawsze nalega, że nie więcej niż jedną, ale ponieważ jej nie widzę, poproszę trzy.

Włożyła trzy, a potem spojrzała na męża, który patrzył na bankiera ciepłym wzrokiem, co ją zaskoczyło.

- A ty, Charles?

- Dziękuję - potrząsnął głową. - Tylko herbata i jedno ciasteczko.

- Niedawno się państwo pobrali - zauważył Brustein po tej wymianie zdań - skoro pańska żora, admirał, nie zna jeszcze pańskich przyzwyczajęń.

- To prawda - przyznał Bright, biorąc z jej rąk filiżankę. - Pokój pozwala się mężczyźnie cieszyć przywilejami, których dotąd nie zaznał, wciąż się tego uczę. Zatem nikt

państwu nie złożył wizyty? Cóż, niewielka strata, jeśli chodzi o tego starego łobuza z naprzeciwka.

- Ludzie chętnie powierzają nam swoje pieniądze - stwierdził Brustein, upiwszy łyk herbaty. - Ale odwiedzać? - Wzruszył wymownie ramionami.

- Wstyd mi za moich sąsiadów - wyznał admirał.

Bankier rozłożył dłonie w geście wymowniejszym niż słowa.

- Ale państwo właśnie mnie odwiedzają, prawda?

- I przyjdziemy znowu - zapewniła go Sophie. - Podoba mi się pański dom. - Roześmiała się. - Zwłaszcza że nie ma żadnych niegrzecznych amorków na suficie.

- Doszły mnie plotki na ten temat.

- Kupiłem ten obsceniczny dom dla widoku - usprawiedliwił się admirał.

Przez następnych kilka minut Sophie i admirał opisywali ściszonymi głosami ślady, jak zamiłowanie hrabiego do rozpusty wpłynęło na dekoracje posiadłości, w której właśnie zamieszkali. Herbaty ubywało z imbryka, ciasteczka znikwały jedno po drugim. Potem Brustein opowiedział im, jak przyjechał do Anglii w 1805 roku z Frankfurtu nad Menem na prośbę swojego kuzyna, Nathana Rotschilda, który pobyt tutaj zaczął od handlu ubraniami w Manchesterze.

- Kiedy Nathan zadebiutował na londyńskiej giełdzie, chciał, abym się bardziej zaangażował, ale mnie odpowiadało życie tutaj, w Devon. - Usadowił się głębiej i Sophie podsunęła mu podnózek pod niesięgające podłogi stopy. - Dziękuję, droga pani. Admirale, pańska żona to prawdziwy skarb.

- Wiem - powiedział Bright miękko i Sophie zarumieniła się. - I potrafi się czerwienić. - Uśmiechnął się do niej i zmienił temat. - Czy wciąż pan pracuje?

- Czasami bywam w banku, ale przekazałem interesy synom, Dawidowi i Samuelowi. William Carter nie żyje już od dobrych kilku lat. Wykupiliśmy udziały od rodziny, ale zachowaliśmy jego nazwisko dla splendoru. - Wyjął zegarek z kieszonki, spojrzął na niego, a potem przepaszająco na Brighta. - Muszę zakończyć to przyjemne spotkanie. - W jego głosie zabrzmiał szczery żal. - Moja żona Rywka choruje i zwykle spędzam z nią poranki. Na pewno zastanawia się, gdzie zniknąłem.

- Nie śmielibyśmy zatrzymać pana dłużej - pospieszyła z zapewnieniem Sophie.

Wstali oboje. Brustein zaczął się z trudem podnosić. Admirał ujął go pod ramię, a on przyjął tę pomoc w całkiem naturalny sposób.

- Dobry z pana człowiek - powiedział. - Nie wiem, jak flota się bez pana obywa.

- Całkiem dobrze. - Bright poprawił szal, który zsunął się z wąskich ramion starego człowieka. - Byłoby wstyd, gdybym okazał się tak nieudolnym dowódcą, że po moim odejściu sprawy nie toczyłyby się gładko.

Przy drzwiach salonu Brustein zawahał się.

- Zastanawiam się... czy nie oddaliby mi państwo przysługi?

- Oczywiście - pospieszyła z zapewnieniem Sophie, a admirał potwierdził skinieniem głowy.

- Rywka jest przykuta do łóżka. Wiele by to dla mnie znaczyło, gdyby mogli państwo odwiedzić ją w sypialni. Przez całe lata przygotowywała herbatę i czekała na wizytę sąsiadów, do której nigdy nie doszło.

Sophie poczuła łzy pod powiekami. Nie sądziła, że po tym, czego sama doświadczyła, potrafi się czymś takim wzruszyć.

- Będzie to dla nas ogromna przyjemność - zapewniła, gdy wiedziała, że zapanuje nad głosem.

Wzięli go oboje pod ręce i weszli razem z nim po schodach. Zaprowadził ich do dużego pokoju, okna były pootwierane, zasłony do połowy ściągnięte. Na łóżku pół siedząc, pół leżąc, spoczywała podparta na poduszkach kobieta równie jak on drobna. Brustein podreptał do łóżka, usiadł na brzegu i ujął w obie ręce jej dłonie. Powiedział coś w języku, który dla Sophie brzmiał podobnie do niemieckiego. Kobieta otworzyła oczy i uśmiechnęła się.

- Mamy gości - powiedziała po angielsku. Zwróciła zaniepokojone spojrzenie na męża. - Czy poczęstowałaś państwa herbatą i ciasteczkami?

- Doskonałą herbatą i pysznymi ciastkami - wtrącił się Bright.

Jego zduszony głos brzmiał podejrzanie niepewnie i Sophie wzięła go za rękę.

- Pani mąż jest wspaniałym gospodarzem - zwróciła się do żony Brustaina.

- Proszę usiąść, bardzo proszę - zaproponowała Rywka słabym głosem, pokazując na krzesło i przyglądając się Sophie. - Jakubie, może pokazałbyś naszemu przystojnemu

gościowi kolekcję globusów. - Odprawiła męża nieznacznym gestem. - Chciałabym porozmawiać z jego uroczą żoną.

W słabo brzmiącym głosie pobrzmiwały nuty triumfu i satysfakcji, co poruszyło serce Sophie. Wołami nie wyciągnąłby jej w tej chwili z tego pokoju.

Dwadzieścia minut. Tyle zdołała wytrzymać Rywka Brustein. Oczy same jej się zamknęły. Sophie delikatnie wypuściła ze swojej dłoni jej rękę i ułożyła ją na śnieżnobiałej pościeli. Powieki uniosły się na minutę.

- Wróci pani?

- Tak, wrócę.

- Zechce mi pani poczytać?

Dlaczego żadna z tych starszych dam, którymi się opiekowałam, nie była tak słodka jak ty, pomyślała Sophie. Posłała kobiecie całusa od drzwi.

- Przyniosę coś, co powinno się pani spodobać - zapowiedziała, chociaż wątpiła, czy wśród bogatych zbiorów w ich bibliotece, jak to określił admirał, znajdzie coś stosownego.

Rywka już spała. Sophie cicho zamknęła za sobą drzwi.



## Rozdział ósmy

- Trzydzieści lat i nikt z sąsiedztwa nigdy ich nie odwiedził - powiedział admirał, gdy wraz z żoną opuścił dom Brustaina. Obejrzał się na gospodarza, który stał w drzwiach. - Zaczynam się zastanawiać, jakie rewelacje czekają nas w posiadłości następnego sąsiada. - Poklepał dłoń żony, spoczywającą na jego przedramieniu. - Dobra z ciebie kobieta, Sophie.

- Jestem tak samo zaszokowana, jak ty. Taka przyjemna starsza para. - Spojrzała w kierunku solidnej budowli, ledwie widocznej spoza gęstego listowia drzew. - Kto tam mieszka?

- Prawdopodobnie ktoś znacznie wyżej od nas postawiony, więc uważaj na manieiry - odparł żartem. - Agent nieruchomości poinformował mnie, że lord Brimley przebywa tu tylko latem. Jest ni mniej, ni więcej, tylko markizem. - Zamilkł na chwilę. - Nazwisko brzmi znajomo, ale nie mogę skojarzyć dlaczego. Bromley, Brimley... Zobaczymy. Jesteś gotowa na kolejne odwiedziny?

Sophie skinęła głową.

- Z pewnością to przyjemniejsze niż odwracanie oczu od ścian w naszym... w twoim domu.

Rzucił jej ukośne spojrzenie.

- To pierwsze określenie było właściwe. Pomimo tej szpetoty na ścianach to jest nasz dom.

Żałuję, że tak tego nie czuję, ale miło z twojej strony, odpowiedziała mu w duchu Sophie. Miała nadzieję, że nie zaczerwieniła się zbyt mocno. Na szczęście admirał nie zwrócił na to uwagi.

- Trochę potrwa, zanim do tej myśli się przyzwyczaję.

- Pewnie tak. Niestety, nie posunęliśmy się ani o krok w poszukiwaniach ludzi do przebudowy.

- Oraz malarzy. Poza tym potrzeba galonów farby.

Roześmiał się i uściśnął jej ramię.

- Tak jest, farba. Na moim okręcie flagowym rzuciłbym rozkaz kapitanowi, on przekazałby go podwładnym i byłoby pomalowane.

Dwór lorda Brimleya wydawał się ogromny w porównaniu z domem Brustaina. Szli powoli podjazdem, podziwiając sztuczne ruiny, które wyglądały niemal jak pozostałości budowli z czasów włoskiego renesansu.

- Myślisz, że Michał Anioł ozdobił im sufit?

- Wiesz, że nie.

- Rafael? A może Tycjan?

- Badasz moją cierpliwość?

Znów się roześmiał i ścisnął jej ramię.

- Zachowujmy się. - Zaczęli wchodzić po schodach prowadzących do wspaniałych drzwi frontowych. - Jeśli ten dom jest prowadzony na najwyższym poziomie, kamerdyner powinien otworzyć, zanim...

Do tej pory Sophie nie widziała, żeby ktokolwiek ze służby miał w sobie tyle wyniosłości. Instynktownie przystanęła na ostatnim stopniu, ale mąż pociągnął ją za sobą.

- Jestem sir Charles Bright, admirał w stanie spoczynku - oznajmił, ani trochę nie onieśmielony. - To moja żona, lady Bright. Przyszliśmy złożyć wizytę lordowi Brimleyowi. Niedawno kupiłem sąsiednią posiadłość należącą do lorda Hudleya.

Kamerdyner wpuścił ich do środka, ale nie zamknął drzwi, jakby nie spodziewał się, że zostaną długo, i poinformował:

- Zobaczę, czy lord Brimley przyjmuje.

Zawahał się przez ułamek sekundy, wyraźnie niepewny, czy wpuścić dalej niezapowiedzianych gości. Zdecydował, że nie, skłonił się lekko i odszedł.

- Nie zasłużyliśmy na salon - wyszeptał admirał. - Właśnie popełniłem pierwszy błąd, wspominając lorda Hudleya. Powinienem dodać, że Penelopa i Odyseusz już nie stoją przed frontem.

- Admirale Bright, nie można się z tobą nigdzie pokazać - odparła ze śmiechem Sophie.

- Droga żono, kupiłaś kota w worku. Pomyśl, jakie jeszcze niespodzianki cię czekają.

Szykowała się do ciętej riposty, ale nie zdążyła. Kamerdyner wrócił i z właściwą sobie sztywną godnością zaprosił ich, aby rozgościli się w salonie.

- Nasze akcje zwykowały nieco - zauważył ironicznie admirał, kiedy służący wyszedł.

Czekali dłuższą chwilę i Sophie miała czas otrząsnąć się z pierwszego wrażenia, zaczęła nawet chodzić po pomieszczeniu, podziwiając wiszące na ścianach obrazy. Bright natomiast rzucał niecierpliwe spojrzenia na zegar stojący na kominku. Wreszcie w drzwiach stanął lord Brimley. Sophie zerknęła na męża i zorientowała się, że nie rozpoznał gospodarza.

- Brimley - przedstawił się i skinął im obojgu głową. - Admirale Bright, proszę przyjąć wyrazy ubolewania z powodu nabycia tej nieszczęsnej posiadłości. Przypuszczam, że skoro ma pan żonę, i pozwolę sobie dodać, tak atrakcyjną, zamierza pan przynajmniej odmalować pokoje.

- Rzeczywiście taki mam plan, lordzie Brimley, zwłaszcza że chciałbym zatrzymać przy sobie żonę. Jako człowiek, który prawie nie bywał na lądzie, nie bardzo wiem, gdzie znaleźć odpowiednich robotników.

- Potrzebuje pan zarządcy.

- Żona twierdzi, że potrzebuję zdiagnozowania stanu mojego umysłu - oświadczył z nieoczekiwaną szczerością Bright. - Chodziło o niezrównany widok... Czy z pańskiej posiadłości również można zobaczyć ocean?

Markiz milczał przez dłuższą chwilę, a Sophie z coraz większą uwagą śledziła grę emocji na jego twarzy.

- Na szczęście, admirale, nie widać - odezwał się ponurym tonem.

Sophie zerknęła na męża. Nachmurzony, otworzył usta, ale nic nie powiedział.

- Jak sądzę, nie wszyscy lubią morze - zaryzykowała, aby przerwać niezręczne milczenie.

- Ja na pewno nie.

Znów zapadło krępujące milczenie, przerwało je dopiero ponowne zjawienie się kamerdynera w towarzystwie pokojówki, która wniosła tacę z herbatą. Ustawiła ją na

małym stoliku, a markiz zachęcił gestem Sophie, aby naląa ją do filiżanek. Kiedy cisza stała się niemal nie do zniesienia, markiz zwrócił lekko głowę w stronę admirała.

- Nie orientuje się pan, kim jestem? - spytał lodowatym tonem.

- Nie bardzo.

- Może zna pan nazwisko Place, Thomas Place.

Bright odstawił filiżankę z lekkim stuknięciem.

- Znam to nazwisko jak swoje własne, lordzie Brimley. Czy to pański syn?

- Moje jedyne dziecko.

- Porucznik Thomas Place, wicehrabia Malden. - Bright wstał i podszedł do okna, po czym odwrócił się twarzą do salonu. - Dołożył wszelkich starań, aby jego tytuł pozostał nam nieznanym, dlatego dla mnie zawsze był panem Place. Raz czy dwa musiałem go przywołać do porządku, ale był dobrym żołnierzem. Byłem jego kapitanem.

- Wiem, kim pan był, admirale. Śledziłem pańską karierę z pewnego rodzaju zainteresowaniem. - Wstał i dołączył do Brighta. Stojąc przy oknie, spojrział na Sophie z bezgranicznym smutkiem. - Przez dwadzieścia lat nienawidziłem pani męża. Jeszcze trzy lata temu darzyłem go tym uczuciem.

Zaskoczona Sophie chciała wstać, ale admirał podszedł do niej i powstrzymał ją, kładąc jej rękę na ramieniu.

- Bez obaw, moja droga. - Pochylił się i na krótki moment przytulił policzek do jej policzka. Odprężył ją ten gest bardziej niż jakiegokolwiek słowa. - Proszę mówić, lordzie Brimley - powiedział niemal rozkazująco.

Na oczach przerażonej Sophie markiz jakby zapadł się w siebie. Bright musiał to również zauważyć, bo wrócił do okna i ujął Brimleya pod ramię, żeby go podtrzymać. Zaprowadził markiza z powrotem na kanapę. Sophie wstała i usiadła obok niego. Gdyby był którąś z moich podopiecznych, przecież bym to zrobiła, pomyślała. Markiz patrzył na nią otępiłym wzrokiem, a ona umoczyła serwetkę w herbacie i zaczęła ją delikatnie przyciskać do jego czoła.

- Już dobrze, lordzie Brimley. Czy mam wezwać kamerdynera?

Nic wielkiego nie zrobiła, ale wyraźnie go to poruszyło. Potrząsnął przecząco głową.

- Nie. W takich okolicznościach Bedders zachowuje się jak moja stara, niezameżna ciotka, zanudzi mnie na śmierć.

- Wobec tego może pańską żonę?

- Moja droga, odeszła trzy lata temu. Właśnie o tym muszę opowiedzieć pani mężowi. - Poklepał siedzenie obok siebie. - Niech pan tu usiądzie, mój chłopcze - zwrócił się do admirała, jakby dzieliła ich duża różnica lat.

- Ja... doprawdy nie wiem, co myśleć, lordzie Brimley.

- To oczywiste. Nie znał pan nas.

Milczeli obydwaj. Sophie nie mogła się doczekać wznowienia rozmowy. Z trudem zwalczyła chęć obrony męża, tak silną, że aż ją to zdumiało, bo znali się przecież bardzo krótko.

- Lady Bright - zwrócił się do niej markiz - mój syn służył pod pani mężem na... „Caprice”, zdaje się. Kiedyś byłem przekonany, że nie zapomnę tej nazwy. Chociaż, biorąc pod uwagę, ile wiosen minęło od tamtej pory, może jest to aż tak zdumiewające...

- Pierwszy okręt, którym dowodziłem - wyjaśnił admirał. - Płynęliśmy do Nowej Zelandii. Nie byliśmy w stanie wojny z Francją ani Hiszpanią, mieliśmy za zadanie przewieźć przyrodnika, protegowanego samego Josepha Banksa, który badał jakiś gatunek mewy.

- Misja zakończyła się sukcesem, przynajmniej tak wynikało z ostatniego listu, który doszedł do mnie od mojego chłopca. - Markizowi załamał się głos.

Wzruszona Sophie ujęła jego dłoń. Nie bronił się przed tym.

- Tak. Wykonaliśmy zadanie i wracaliśmy do Plymouth. Musieliśmy uzupełnić zapasy żywności oraz wody, zawinęliśmy więc do Valparaiso, nie wiedząc, że Anglia i Hiszpania znów zaczęły wojnę - uzupełnił admirał, po czym zapatrzył się w okno.

- Wtedy właśnie mój syn zginął w walce, która wywiązała się, gdy usiłowaliśmy się wydostać z portu - powiedział lord Brimley, a potem zapytał Sophie: - Czy pani ma syna?

- Żyjącego nie - wyszeptał.

- Współczuję państwu. Wiem, co się wtedy czuje. Gdybym nie obawiał się, że się załamie, poleciłbym Beddersowi przynieść list kondolencyjny, który pani mąż napisał do

mnie dwadzieścia trzy lata temu. Zresztą, mogę go zacytować. *Z ulgą mogę poinformować...* - Urwał, niezdolny dokończyć i Bright go wyręczył:

- *...że pański syn nie cierpiał przed śmiercią.*

Słowa zawisły w powietrzu niczym ołowiana chmura. Stary człowiek podniósł głowę.

- Czy to było kłamstwo?

Sophie nie spuszczała wzroku z męża. Czowała niemal namacalnie napięcie panujące między mężczyznami, jakby ktoś rozciągnął niewidzialną, naprężoną siatkę, gotową w każdej chwili pęknąć.

- Tak, lordzie Brimley - przyznał admirał.

- Tak wywnioskowałem i nienawidziłem pana za to. Uważałem pana za tchórza, bojącego się powiedzieć prawdę o ostatnich chwilach wspaniałego chłopaka, droższego mojemu sercu niż ktokolwiek na świecie.

Bright milczał, wpatrując się w podłogę.

- Czy chce pan, żebym o tym panu opowiedział? - spytał w końcu.

- Gdy dowiedziałem się, że przeszedł pan na emeryturę... naprawdę śledziłem pańską karierę... tak, wtedy chciałem zapytać. Nie po to, aby się panu przeciwstawić czy potępiać, nie po tym, co się wydarzyło trzy lata temu.

- Dlaczego zmienił pan zdanie trzy lata temu?

- Umarła moja żona. Byłem przy niej przez cały ten długi, naznaczony cierpieniem czas. - Popatrzył na Sophie, miał łzy w oczach. - Była wspaniałą, kochaną kobietą. Czy pani wie, jakie były jej ostatnie słowa?

Potrząsnęła przecząco głową, a on zwrócił się do admirała:

- Proszę na mnie spojrzeć, Bright! Jej ostatnie słowa na tym świecie brzmiały „Dzięki Bogu, mój syn nie cierpiał”. Odeszła z mojego życia, uśmiechając się do tych słów. - Zaszlochał i złapał ich oboje za ręce. - Wiedziałem, że to kłamstwo, ale podtrzymywało na duchu moje kochanie przez tyle lat. Gdyby znała prawdę, przeżywałaby katusze. Nie zdawałem sobie z tego sprawy aż do tamtej chwili. Wtedy przestałem pana nienawidzić, admirale.

Milczenie, które zapadło, zakłócił dopiero kamerdyner. Otworzył drzwi, ale zaraz zamknął je z powrotem. Markiz usiadł prosto i poklepał ich dłonie.

- Nie sądziłem, że kiedykolwiek będę mógł panu o tym opowiedzieć. Pewnego dnia agent nieruchomości rozprzestrzenił informacje o sprzedaży sąsiedniej posiadłości. Uważał, że będę zadowolony z dobrego sąsiedztwa. Miał rację.

Sophie popatrzyła na męża i zdziwiło ją, że jest tak opanowany. Jaki jest naprawdę mężczyzna, którego poślubiłam tak pośpiesznie? - zadała sobie w duchu pytanie.

- Czy życzy pan sobie, abym opowiedział, jak on umarł? - spytał Bright. - Nigdy tego nie zapomnę.

Markiz rzucił mu przenikliwe spojrzenie.

- Wątpię, aby pan zapomniał o śmierci któregokolwiek z pańskich podwładnych.

- Rzeczywiście pamiętam - potwierdził lekko zdławionym głosem admirał.

- Przez całe lata chciałem się dowiedzieć. Teraz sądzę, że to nie ma znaczenia. On spoczywa w spokoju.

- Był dzielny - powiedział Bright. - Towarzyszyliśmy mu razem z chirurgiem w ostatniej drodze. Cierpiał, ale nie w samotności. Na szczęście pod koniec zapadł w śpiączkę i nie był przytomny. Każdy marynarz we flocie mógłby mu pozazdrościć takiej śmierci, i to nie jest kłamstwo, lordzie Brimley.

Markiz skinął głową i w milczeniu upił kilka łyków herbaty. Kiedy odezwał się znowu, jego głos brzmiał znacznie łagodniej.

- Potrzeba panu dobrego zarządcy, żeby uporać się z tak uciążliwym remontem. Byłem w tym domu raptem raz i nigdy nie zabrałem tam żony. Ożenił się pan z tolerancyjną kobietą.

- Każdego dnia przekonuję się o tym coraz bardziej. Obawiam się, że jej wyrozumiałość ma swoje granice, niezależnie od tego, za jak czarującego towarzysza mnie uważa. Zatem dobry zarządca, tak?

- Właśnie tak. Nie uzna pan, że wściubiam nos w nie swoje sprawy, jeśli podeślę panu odpowiedniego kandydata? Od kilku lat jest u mnie zastępcą zarządcy i myślę, że zasługuje na awans.

- Lordzie Brimley, będę ogromnie wdzięczny. Moja droga żona przyjmie to z prawdziwą ulgą.

Markiz rzucił jej niemal ojcowskie spojrzenie.

- Ależ ona się rumieni! Nie znam nikogo, kto by tak się czerwienił.

Rozmawiali jeszcze kilka minut, ale admirał nie przyjął propozycji zjedzenia razem lunchu.

- I tak nadużyliśmy pańskiej grzeczności, lordzie Brimley - powiedział przeproszącym tonem. - W przyszłości chciałbym podtrzymywać sąsiedzkie kontakty.

- Mam nadzieję, że oboje państwo będą mnie odwiedzać. - Markiz wstał i z uśmiechem ujął obie dłonie Sophie. - Może pani uda się przekonać męża, żeby został na lunchu?

Spojrzała na Charlesa, ale gdy potrząsnął głową, odrzekła:

- Nie tym razem, lordzie Brimley. Proszę nas jednak czasem zapraszać.

Bright milczał, kiedy wyszli. Szedł sztywno, patrząc prosto przed siebie. Gdy skręcili z podjazdu i nikt z domu markiza nie mógł ich już widzieć, nagle osunął się na kolana. Kapelusz spadł mu z głowy, gdy się pochylił. Sophie uklękła przy nim, zdumiona, i objęła ramionami jego plecy.

Ku jej przerażeniu zaczął płakać. W niedalekiej odległości od podjazdu stała ławka. Mówiąc coś nieskładnie do męża, wzięła go pod ramię i podprowadziła do ławki. Osunął się na nią ciężko, twarz miał posępną.

- Nie wytrzymałbyś tam ani minuty dłużej, prawda? - spytała.

Łzy zaczęły spływać mu po twarzy. Chyba nie obchodziło go, że ona jest ich świadkiem. Co ja mam zrobić? - zastanawiała się gorączkowo. Szybko znalazła odpowiedź. Nie było sensu nic mówić. Bez słowa przytuliła męża i pogłaskała po włosach.

- Pamiętasz każdego z nich, żadnego nie zapomniałeś.

Skinął głową, niezdolny mówić. Nagle Sophie zdała sobie sprawę, że przez cały koszmar oskarżeń admiralicji Andrew nie pozwolił jej się pocieszyć w taki sposób, jak ten mężczyzna, którego ledwie знаła. I czym się to dla ciebie skończyło, Andrew, pomyślała. Może powinieneś pozwolić sobie na to co on.



## Rozdział dziewiąty

- Musisz mnie uważać za skończonego głupca - powiedział admirał stłumionym głosem, z głową wciąż wtuloną w jej piersi.

- Niczego podobnego sobie nie pomyślałam - zaprzeczyła Sophie. - Wyobrażam sobie, jak było ci ciężko przez wszystkie lata wojny.

Usiadł prosto i wyciągnął chusteczkę do nosa z kieszeni surduta.

- Ciekawy ze mnie okaz - oświadczył, nie patrząc na nią. - Powinienem najpierw wytrzeć oczy czy wydmuchać nos? - Zaklął nieopanowanie. - Przepraszam cię. - Przycisnął chusteczkę do oczu, po czym wyczyścił nos. - Wziął mnie szturmem, Sophie. Nie miałem pojęcia, kim jest.

Wreszcie na nią spojrzął, z zażenowania poczerwieniały mu policzki. Impulsywnie dotknęła jego twarzy. Ujął jej dłoń i musnął ustami jej wnętrze.

- To ja jestem szlachetnym mężczyzną, który ożenił się z tobą, żeby ulżyć twojej doli? O ironio losu! Nie wiedziałaś, w co się pakujesz.

- A ty wiedziałeś? - spytała i natychmiast przemknęło jej przez głowę: czy w ogóle ktokolwiek wie? Nagle poczuła się jak niedoświadczona panna młoda.

Bright wstał i pociągnął żonę za rękę, a gdy ona również się podniosła, podał jej ramię i poszli z powrotem do domu.

Sophie nie wiedziała, jakich użyć słów, aby powiedzieć mu, co czuje. Nie była nawet pewna, czy sama dobrze rozpoznaje uczucia, jakie nią targają. Mogłaby zaryzykować porównanie do statku kołyszącego się na kotwicy.

- Sądzę, że uważasz życie na lądzie za dość trudne.

- Ale ja pytałem, co ty myślisz, Sophie. - Nie dał się zbyć.

- Właśnie to - odpowiedziała.

- W takim razie dziękuję ci - odparł. - Szczerze wątpię, czy zasługuję na tyle uwagi.

Sprawiał wrażenie zadowolonego z tego, że dalej poszli w milczeniu, jej to też odpowiadało. Czegoś się nauczyłaś dzisiaj rano, powiedziała sobie w duchu Sophie, starając się dotrzymać kroku mężowi, co nie było takie trudne, bo nie różnili się zbytnio

wzrostem. Może tego, że nie ty jedna na całym świecie masz problemy. Powinnam się nad tym głębiej zastanowić, najchętniej w samotności. Była zadowolona, gdy admirał spytał, czy nie ma nic przeciwko temu, żeby nie spędzili popołudnia razem, bo chciałaby sam pójść na plażę i przemyśleć kilka spraw.

- Oczywiście, że nie - zapewniła go. - Czy poprosić Starkeya, żeby zaniósł lunch na plażę?

- Powiedz mu, żeby przygotował koszyk z prowiantem. Nie masz nic przeciwko temu?

- Charles, jeśli mamy się dogadywać, musisz brać na serio to, co mówię.

- Chyba tak - zgodził się.

Zjadła lunch na tarasie zamiecionym do czysta przez Starkeya, a potem poszła na górę policzyć prześcieradła w bieliźniarce lorda Hudleya. Prozaiczna czynność, doskonała dla kogoś, kto był w takim nastroju jak ona. Na szczęście dom jest pod tym względem znakomicie wyposażony, uznała, po czym zaczerwieniła się, gdy uświadomiła sobie, w jaki sposób używano tutaj łóżek, przynajmniej raz do roku. Nic dziwnego, że lord Hudley zgromadził tyle prześcieradeł, i to doskonałej jakości, tak samo jak poszew i ręczników. Stary łajdak prowadził coś w rodzaju hotelu dla takich samych starych rozpustników jak on.

Bright nie wrócił na obiad. Sophie zjadła posiłek w pokoju śniadaniowym, a potem zapytała Starkeya o admirała.

- Lubi przebywać w samotności, kiedy ma jakiś problem, proszę pani.

Sądząc po spojrzeniu, jakie jej rzucił, to ją właśnie obwiniał o zły nastrój admirała. Niech sobie myśli, co chce, zdecydowała, i spędziła ten wieczór, przygotowując w salonie projekt przeróbek w domu. Starła się nie zwracać uwagi na kupidynów na suficie.

Trochę ją to zaskoczyło, że nie zasnęła dopóty, dopóki nie usłyszała kroków męża na schodach. Usiadła na łóżku, obejmując ramionami podciągnięte kolana, gdy przystanął pod jej drzwiami. Po chwili poszedł do swojej sypialni. Położyła się z powrotem i zaczęła zastanawiać, czy nie zmienił zdania co do natury ich związku. Wiedziała, że czuł się zażenowany z powodu łez, wątpiła też, aby dotąd płakał w czyjejś obecności, a zwłaszcza kobiety.

- Nic na to nie poradzę - powiedziała do siebie rzeczowo i ułożyła się wygodniej do snu.

Ciekawe, czy zaśnie po tej wczorajszej awanturze ze starym dżentelmenem z Northumberlandu. Na szczęście powinien już znajdować się daleko stąd. Jak on ją nazwał? Moja piękna bachantko? Uśmiechnęła się. Przynajmniej nie myślała przed zaśnięciem o degradującym ją ubóstwie ani o tym, kiedy zje następny posiłek.

Rano Sophie obudziły dochodzące z dołu hałasy. Śmiechy mężczyzn i odgłosy kucia. Usiadła na łóżku, przecierając oczy i w tym samym momencie rozległo się pukanie do drzwi.

- Proszę - powiedziała, żałując, że koszula nocna jest sprana.

Niepotrzebnie się martwiła. Admirał nie wyglądał lepiej w koszuli i szlafroku, równie jak jej sfatygowanych, chociaż szlafrok musiał być kiedyś niezwykle wykwintny.

- No, no, czy przywiozłeś go wprost z dworu cesarza Japonii? - spytała na powitanie.

Trzymał w ręce spodek z filiżanką. Nie umocował jeszcze haka i lewy rękaw zwiślał luźno nad nadgarstkiem.

- Ciepło, ciepło - odparł, popychając drzwi, które zamknęły się za nim z trzaśnięciem, i podchodząc do łóżka. Ku jej zdumieniu poprosił, aby przesunęła nogi i usiadł na brzegu, po czym wręczył jej filiżankę. - Dostałem ten haftowany jedwab od chińskiego władcy, którego imienia nie pamiętam. Cenił sobie wyprawione skóry wydr, więc dostarczyłem mu je po krótkim polowaniu u wybrzeży Nowego Albionu. Nie mam pojęcia, jak Jankesi teraz te tereny nazywają. To było lata temu i właściwie powinienem go już wyrzucić.

Rozbawiona, upiła łyczek herbaty. Patrzył na nią, uśmiech czaił się w jego oczach.

- Wyglądasz nadzwyczajnie. Nie miałem pojęcia, że twoje włosy tak się kręczą.

- Zwykle ujarzmiam je o tej porze.

- Jaka szkoda. Wolę je właśnie takie. - Mówiąc to, nawinał sobie na palec jeden lok.

Czuł się swobodnie i Sophie się to spodobało. Nie bardzo wiedziała, po co przyszedł do jej pokoju. Głuchy odgłos, który rozległ się na dole, zapewnił jej pretekst do przerwania milczenia.

- Co tam się dzieje?

- A właśnie, droga żono, z tego powodu przyszedłem - przypomniał sobie admirał. - Lord Brimley bezzwłocznie pospieszył nam z pomocą. Przesłał całą armię pracowników, którzy ustawiają rusztowania, żeby wybawić nas od patrzenia na kupidynów. - Nachylił się do niej i poczuła przyjemny zapach wody kolońskiej. - Pani Bright, pomyśl, jak przyjemnie będzie siedzieć nad haftem w salonie, nie zastanawiając się, co te łobuziaki wyczyniają nad twoją głową.

Nastrój wyraźnie mu się poprawił.

- Czujesz się lepiej - stwierdziła Sophie.

- Tak - potwierdził i nachylił się jeszcze bardziej, aż ich czoła się zetknęły. - Dziękuję, że pozwoliłaś mi na spędzenie czasu w samotności.

- Wystarczy, że powiesz. Tak się umawiamy.

Może któryś kupidyn umknął swojemu losowi, ponieważ niespodziewanie admirał szepnął:

- Nie mam w tym wielkiej wprawy, liczę na twoją wyrozumiałość. - Jeszcze bardziej przybliżył głowę do głowy żony i pocałował ją w usta.

Przeciwnie, miał wprawę. Prawdę mówiąc, była rozczarowana, że nie pocałował jej po raz drugi. Nauczył się tego gdzieś w wielkim świecie, pomyślała, odchylając się na poduszki i uważając, aby nie oblać go herbatą. Patrzyli na siebie i Sophie czuła się całkiem swobodnie pod jego spojrzeniem, wręcz zrelaksowana, co było bardzo przyjemne. Kupidyn musiał wciąż przebywać z nimi, bo nieoczekiwanie dla samej siebie powiedziała:

- Miło mi, że przyniosłeś herbatę.

- Mnie też jest miło - odwzajemnił się, a jego głos brzmiał łagodnie, niemal nieśmiało, co było dość zaskakujące jak na niego. - Myślę, że możemy wprowadzić taki zwyczaj. - Machnął pustym rękawem i wstał. Nastrój prysł. - Jeśli jesteś tak jak ja gotowa na wyzwania, możemy opuścić nasze schronienie i wybrać się do Plymouth. Nowy

zarządca, którego przysłał lord Brimley, jest chodzącą doskonałością. Dał mi do zrozumienia w nadzwyczaj grzeczny sposób, że jestem tutaj zbędny. - Zmierzył jej włosy i Sophie roześmiała się. - Ty również, droga żono. Jeśli zamierzamy odwiedzać od czasu do czasu sąsiadów, lepiej kupmy jakieś przyzwoite ubrania, w których nie będziemy wyglądać na żebraków lub włóczęgów.

- Jestem pewna, że nie opłacasz Starkeya należycie - powiedziała Sophie, gdy wsiedli do dyliżansu pocztowego, którą kamerdyner wynajął, aby umożliwić im podróż do Plymouth.

- Masz rację - przyznał. - Aby ci uzmysłwić, jak bardzo jest mi oddany, powiem, że wyszukał najbardziej wziętą krawcową w Plymouth. Żaden z jego kumpli w całej flocie nie uwierzyłby w to. Jest znany z purytańskich obyczajów.

Okazało się, że myśli Sophie nie błądzą wokół nowych strojów. Wolą poszukać księgarni.

- Chciałabym znaleźć coś, co spodobałoby się pani Brustein - wyjaśniła, gdy podał jej rękę, pomagając wysiąść z dyliżansu. - Zamierzam odwiedzać ją, jak tylko czas mi pozwoli, i czytać jej na głos.

Nawet znając ją tak krótko, admirał wiedział, że na darmo wyjmując zegarek z kieszonki i przypomina jej, że są już spóźnieni na spotkanie z modniarką. Żona obdarzyła go pełnym cierpliwości spojrzeniem, z rodzaju tych, jakie posyła się dziecku lub półgłówkowi, i skierowała się do księgarni. Wiedział, że nie ma pieniędzy, więc poszedł za nią i stał cierpliwie, gdy kartkowała jedną książkę, a potem drugą.

Był wrażliwy na jej wdzięk i zdawał sobie z tego sprawę, ale teraz to się pogłębiło, kiedy zauważył, jak błyszczą jej oczy. Doświadczenia z kobietami szybko doprowadziły go do odkrycia, że niewiele z nich prezentuje się korzystnie z rana. Sophie była wyjątkiem od tej reguły. Wyglądała wspaniale, siedząc przy nim w tej zbyt cienkiej koszuli. Zarys jej piersi sprowokował go do pocałunku, a pragnął znacznie więcej. Teraz przeglądała książkę po książce, aż w końcu zwróciła się do niego z triumfalnym „aha!” Wyjął tomik z jej rąk i spojrzał na grzbiet.

- Sonety Szekspira dla starszej pani?

- Ależ tak! - zapewniła go. - Nigdy nie przestanę ich uwielbiać i z pewnością nie jestem w tym odosobniona. Czy ty je czytałeś?

- Może kiedyś. Szekspir nie bardzo pasuje do pokładu rufowego.

Znów żona go zdumiała, bo w jej oczach błysnęły łzy.

- Tyle rzeczy cię ominęło, prawda?

Zrozumiała coś, co wiedzieli wszyscy ludzie morza i pewnie kilku z żyjących na lądzie. Uniósł książkę.

- Sądzisz, że jest już za późno? Że jestem niereformowalnym dziwadłem?

Osuszyła oczy, ale nie odpowiedziała, bo nie była w stanie.

- Sophie, nie płacz nade mną, nie marnuj łez na coś, co pozostaje poza naszą kontrolą. Znałem swoją powinność i wypełniałem ją, jak wszyscy na morzu. - Pomyślał o synu lorda Brimleya, zmarłym młodo i pochowanym w Oceanie Spokojnym gdzieś na wysokości Valparaiso. - Niektórzy zapłacili najwyższą cenę. Obwiniaj boga wojny.

Zaczyna mnie poznawać, pomyślał i poczuł, że żona obejmuje go w pasie i przytuliła się do niego. Próbuje ją pocieszać, a ona pociesza mnie. Czy jakkolwiek mężczyzna zawarł korzystniejszą umowę niż ja? Wręczył Sophie szylinga i wrócił do dyliżansu. Zadał sobie w duchu pytanie, czy na stałym lądzie jest miejsce, gdzie czułby się komfortowo. Może jednak nie miał powodów do rozgoryczenia. Obserwował przez okno, jak jego żona płaci pospiesznie właścicielowi, kiwa głową przecząco na propozycje zapakowania tomiku w brązowy papier i wraca pospiesznie do powozu.

- Przepraszam, że cię zatrzymywałam - powiedziała, gdy pomógł jej wsiąść. - Nie chciałam wystawiać na próbę cierpliwości punktualnego mężczyzny.

Wyciągnął rękę po książkę.

- Czy masz jakiś ulubiony sonet? - spytał, wachlując się tomikiem. - Coś, co nie wzburzy krwi w żyłach starszej damy?

Ku jego zadowoleniu wstała z kanapy po przeciwnej stronie powozu i usiadła obok niego. Zaczęła przewracać kartki, a on poczuł dyskretny zapach lawendowego mydła, którego używała do mycia.

- Ten - powiedziała. - Może pani Brustein będzie chciała go posłuchać. *Żarłoczny czasie! Otwórz twoje lwie paszcze, doświadczej srogich szponów na ziemskich żywiołach\** - Potrząsnęła głową. - Nie, to zbyt smutne.

- Sophie, jesteś niemądra. - Odsunął jej palce, zasłaniające litery, żeby móc czytać dalej. - To mówi stary człowiek, wspominający dawną miłość, co nie znaczy, że wspomina ze smutkiem. - Czytał, myśląc jednocześnie o siedzącej obok niego kobiecie. O tym, jak będzie wyglądała za dwadzieścia, może trzydzieści lat, jeśli los okaże się łaskawy. - Sophie, pani Brustein zgodziłaby się z tym: *Lecz krzywdź go, czasie stary: ujdzie szkody, w wierszu mym wiecznie pozostanie młody.\*\**

\* Sonety, William Szekspir, PIW, 1964 r., przekład Konstanty Piotrowski (przyp. tłum).

\*\* Sonety, William Szekspir, PIW, 1964 r., przekład Konstanty Piotrowski (przyp. tłum.).

Spojrzał na żonę, myśląc pospiesznie, bez większego zastanowienia o układzie zawartym tylko dlatego, że gorąco pragnął powstrzymać siostry od wtrącania się w jego życie. Sophie odwzajemniła jego spojrzenie z figlarnym błyskiem w oczach i Bright nagle poczuł, jakby ktoś ujął mu lat, zupełnie jak w sonecie.

- Czy Szekspir brzmi lepiej, teraz, gdy masz czterdzieści pięć lat niż wtedy, kiedy liczyłeś zaledwie dziesięć?

Prowokowała go, a on zastanawiał się, czy kiedykolwiek doznawał uczuć głębszych niż teraz. Wystraszyłbym ją śmiertelnie, uznał. Przecież to małżeństwo z rozsądku.

- Wiesz, że tak - odparł, oddając książkę Sophie.

Włożyła tomik do torebki i myślał, że wróci na swoje miejsce naprzeciwko niego, ale została.

- Jak skończymy z sonetami Szekspira, przejdziemy do Byrona. Dziękuję, że je kupiłeś.

- Wszystko, moja droga żono, aby zacieśnić stosunki z sąsiadami. Po latach hałaśliwych zabaw w domu, który nazywamy naszym, jakkolwiek zabawnie to brzmi, mamy sporo do odrobienia.

Zatrzymali się przed pracownią madame Soigne i Bright odetchnął. Był uratowany, nie musi się pilnować, by nie zaczął mętnie wyjaśniać, że wolałby, aby Sophie jemu czy-

tała sonety Szekspira. W końcu wolno człowiekowi marzyć, pomyślał, wyobrażając sobie, jak leży z głową na jej kolanach, a ona mu czyta. Szkoda, że Szekspir nigdy nie napisał sonetu o starym admirał, który się zakochał. O dobrze zakonserwowanym admirał, poprawił się. Nie pamiętam, kiedy ostatnio czułem się tak młodo, pomyślał.

Już z ręką na klamce magazynu, Sophie obejrzała się na niego, co odczytał jako niemą prośbę o mężowskie wsparcie.

- Strach cię obleciał, droga żono? Spodziewam się, że wydasz dużo pieniędzy. Właściwie oczekuję tego.

Wciąż się wahała.

- Kilka dni temu nie miałam nawet kawałka nitki, żeby zacerować dziurę w pończochach. - Puściła klamkę. - Mogę pójść do składu z materiałami i kupić parę jardów muślinu. Potrafię szyć.

- Nie musisz! - Położył jej dłoń z powrotem na klamce. - Nie bądź Szkotką w każdym calu!

Nacisnął klamkę i popchnął ją lekko do środka, gdzie stała właścicielka w otoczeniu szwaczek. Jedno spojrzenie wystarczyło mu, aby stwierdzić, że czekają w pełnej gotowości, żeby zająć się wyłącznie jego żoną, najwyraźniej nieprzyzwyczajoną do takiej obsługi. Wyglądała, jakby za chwilę miała się rozplakać. Objął ją w talii ręką pozbawioną dłoni, co dało mu sposobność użycia zdrowej ręki do ściągnięcia z jej głowy kapelusika. Pocałował ją w skroń i powiedział:

- Bądź grzeczna i wydawaj moje pieniądze. - Puścił ją, a ona wciąż na niego patrzyła. Odwrócił się do modniarki, która szacowała wzrokiem jego żonę z pewnym niedowierzaniem. - Jest Szkotką, niechętnie wydaje nawet pensa. Cokolwiek zdecyduje się kupić, proszę to potroić.

- Charles!

Uwielbiał, jak wypowiadała jego imię. Dotknął runda kapelusza i wyszedł z pracowni.



## Rozdział dziesiąty

Admirał ruszył w drogę powrotną do lokalu madame Soigne, gdy krawiec zdjął z niego miarę, niezbędną do uszycia koszul, spodni i surdutów. Sophie popijała herbatę w towarzystwie właścicielki pracowni i obserwowała przez okno zbliżający się powóz.

- Nie wiem, jakim cudem mąż jest zadowolony, skoro wie, że wydaję jego pieniądze - skomentowała.

Madame Soigne również popatrzyła przez okno i spojrzała na admirała, który właśnie wysiadł z wynajętego powozu.

- Dlaczego uważa pani, że jest zadowolony? - spytała, przymrużając oczy. - Mnie się wydaje, że ma surową minę.

- Poznaję to po tym, jak układają się zmarszczki wokół oczu i pogłębiają linie wokół ust.

- Skoro tak pani mówi... - stwierdziła z powątpiewaniem krawcowa, ale zaraz twarz jej się rozjaśniła. - Ach, *bien*, kto miałby lepiej wiedzieć niż pani! Jest pani jego żoną i mogła go pani dobrze poznać przez te wszystkie lata.

Dobry Boże, pomyślała Sophie, odstawiając filiżankę. Znam go trzy dni, a ona sądzi, że jesteśmy dawno po ślubie.

- Ja... - zająknęła się, niepewna, co powiedzieć, i dokończyła: - Tak, rzeczywiście.

Admirał stanął w drzwiach i Sophie poczuła się podniesiona na duchu, gdy się do niej uśmiechnął.

- Czy wydała masę moich pieniędzy, madame? - zwrócił się żartobliwie do modniarki.

- *Mais oui!* Dokładnie tak, jak pan sobie życzył - zapewniła go i zaczęła wyliczać, prostując długie, smukłe palce: - Suknie poranne i na popołudnie, wieczorowe. Niestety, pani pozwoliła tylko na jedną suknię balową. Poza tym peleryna i redingot, koszule nocne, szlafrok...

- Kiedy to wszystko będzie gotowe? - spytał, wręczając właścicielce plik banknotów tak pokaźny, że Sophie aż się zatchnęła.

Madame zacmokała językiem o zęby i z wdziękiem zaakceptowała królewskie wynagrodzenie.

- Och, wy, ludzie morza! Natychmiast zagonię wszystkie szwaczki do pracy. Wkrótce, admirale, wkrótce!

- Madame Soigne - powiedział z ukłonem. - Gdyby to pani była ministrem wojny u Napoleona, cesarz Francuzów by nie przegrał. - Wyciągnął dłoń do Sophie. - Chodźmy, moja droga. Musimy zatrudnić odpowiednią liczbę służących, żeby podreperować nasze notowania u sąsiadów. Madame Soigne, pożegnamy się.

Nie było co upierać się przy zajęciu miejsca naprzeciwko męża, zwłaszcza że objął ją ramieniem i pociągnął na kanapę obok siebie. Poza tym musiała mu coś wyznać.

- Lepiej będzie, jak od razu to z siebie wyrzucę - powiedziała, ledwie powóz odjechał od krawężnika. - Madame Soigne posłała także po modystkę i szewca.

- Cieszę się, że to słyszę. To się nazywa skuteczne działanie. Mówisz, jakbyś była marynarzem na przepustce. Wydać wszystko naraz, a potem stawić czoło konsekwencjom.

- Ja bym powiedziała, że to się nazywa nadmierny wydatek.

- Kochanie, twoim obowiązkiem jest uwolnić mnie od sióstr. To poważne zadanie i potrzebujesz amunicji. Będziesz miała do czynienia z bezwzględnyimi prześladowczy-niami, które nie cofną się przed niczym. Uważam, że spadłaś mi z nieba.

- Żartujesz sobie ze mnie! Nie masz wstydu.

- Według ciebie przesadzam?

- Właśnie. - Powstrzymała uśmiech. - Musiało to być utrapieniem dla całej marynarki wojennej.

- To i nie tylko. Miałem też osiągnięcia - zapewnił ją. - Ponieważ uważasz, że zrobiłem zbyt wiele, kupując ci ubrania stosowne do naszej pozycji, czuję się w prawie dodać ci obowiązków, moja droga. Oczarujesz Brusteinów Szekspirem i pomożesz mi doprowadzić dom do przyzwoitości. Poza tym znajdziesz coś i dla mnie do zrobienia. Wyobrażasz mnie sobie, że spędzę tę zimę, kręcąc młynka palcami?

- Nie - przyznała. - Widzę, że ciężko odpracuję nową garderobę.

Uścisnął ją, a potem puścił.

- Żartuj tak jak najczęściej, Sophie, pasuje to do ciebie.

- Nie wiem, czy do tej pory miałam z czego żartować - powiedziała wprost.

- Może twoje życie się odmieni.

Po lunchu zjedzonym w jadalni zajazdu udali się do agencji pośrednictwa pracy i gdy weszli do środka, Sophie zobaczyła tę samą guwernantkę o bladej twarzy, z którą podróżowała do Plymouth kilka dni temu. W tym momencie przyznała w duchu, że jej życie korzystnie się odmieniło. Mogłabym siedzieć tutaj obok niej, pomyślała i uśmiechnęła się do kobiety. Uśmiech zastąpił wyraz namysłu. Ujęła męża pod ramię, a on spojrział na nią tak, że zrobiło jej się gorąco. Pociągnęła go na zewnątrz, zadowolona, że są mniej więcej równego wzrostu i nie musi targać go za rękaw jak małe dziecko.

- Charles... - Wciąż nie przychodziło jej łatwo zwracać się do niego po imieniu, ale wiedziała, że sprawia mu to przyjemność. - To bezrobotna guwernantka. Przyjechała razem ze mną z Bath tym samym dyliżansem.

- Czasy są ciężkie - stwierdził. - Kiedy krawiec zdjął miarę, udałem się do portu i zobaczyłem wielu żebrzących marynarzy, a innych wyczekujących pod domami i usiłujących powstrzymać się od żebrania. Pokój to wspaniała sprawa, ale ludzie potracili zatrudnienie. Czy potrzebujemy guwernantki? Jest coś, czego mi nie powiedziałaś?

Żartował sobie, mimo to ogarnął ją wstyd i poczucie winy. Szczerze żałowała, że jest za późno, aby wyznać mu swoje nazwisko po mężu. Drażnił się z nią, ale oczy patrzyły dobrodusznie. Jedyne, co mogę zrobić, to brnąć dalej, zdecydowała Sophie.

- Wiem, że nie potrzebujemy guwernantki, ale przyda się garderobiana, kiedy dostarczą te wszystkie stroje. - Przysunęła się do niego bliżej, nie chcąc, żeby ktoś ich podsłuchał. - Mogę chociaż zapytać ją, czy jest zainteresowana taką pracą? Wiem, co czuje, siedząc tutaj. Może jest głodna.

- Oczywiście, że możesz ją zapytać. - Teraz on odciągnął ją o kilka kroków od agencji. - Wiedz, że nająłem kilku marynarzy do pomocy Starkeyowi oraz dla Etienne'a, a także na potrzeby remontu. - Poklepał ją po ręce. - Obawiam się, że oboje jesteśmy zbyt łatwowierni. Fatalnie, że nie rozpoznałem w tobie tej wady wcześniej.

Oparła się na jego ramieniu.

- Tak, admirale, jedno z nas powinno być groźne, ponure i opryskliwe dla dobra tego małżeństwa.

- Znowu admirale? - Skrzywił się przesadnie, ale zaraz spoważniał. - Sophie, od miesięcy, a może lat nie byłem ponury ani groźny. Co do opryskliwości, możesz zapytać moich podwładnych. Mam nadzieję, że to już nie wróci.

Wiem, ile ci mężczyźni poświęcili dla Anglii. Zatrudniłem ich z prawdziwą przyjemnością. Skinęła głową.

- Dwoje z nas głupców. Zapytać ją?

- A jeśli nie umie prasować ani ułożyć porządných fałd? - spytał, powracając do lekkiego tonu rozmowy.

- To będziesz musiał zaakceptować swoją przydatną ci żonę w pogniecionych ubraniach - odcięła się i zaczerwieniła, zanim jeszcze skończyła mówić. - Nauczę ją prasować - dodała poważnie. - Nigdy nie miałam garderobianej.

Nazywała się Amelia Thayn. Popatrzyła przeciągle na Sophie, oczy jej wypełniły się stopniowo łzami.

- Lady Bright, nie potrafię porządnie zająć się ubraniami, jestem guwernantką.

- Wiem, lecz wcześniej nie miałam garderobianej. Myślę, że z czasem wypracujemy jakiś tryb postępowania. Nie mam też nic przeciwko temu, aby pracując dla mnie, szukała pani posady guwernantki.

- Naprawdę?

- Oczywiście, że nie - rozległ się głos admirała. - Moja żona jest chodzącą szlachetnością.

Sophie spojrzała na męża stojącego w drzwiach. Ty taki jesteś, pomyślała.

- To wydaje się racjonalne - zwróciła się do panny Thayn. - Rozumiem, że woli pani pracować jako guwernantka, ale czasy są ciężkie.

Ustaliły płacę i Sophie zostawiła pannę Thayn na chwilę, żeby pozbierała myśli, a sama zaczęła rozmawiać z agentem o zatrudnieniu pokojówki zajmującej się salonem, pokojówki odpowiedzialnej za piętro, kolejnej do prac ogólnych i praczki. Obiecał wybrać najlepsze i przysłać je do posiadłości jutro. Kiedy wróciła do poczekalni, guwernantka czekała gotowa do wyjścia.

- Jestem winna szylinga właścicielce gospody Mulberry - powiedziała ściszym głosem, a na jej policzkach i szyi pojawiły się czerwone plamy. - Poza tym zastawiłam kilka książek...

Przynajmniej nie spałaś po kościołach, pomyślała Sophie i poczuła się równie bliśka łez jak jej nowa pracownica. Bright natychmiast pospieszył z odsieczą. Wręczył guwernantce kilka monet.

- Proszę to potraktować jako premię za pracę w jaskini nieprawości. Niech pani uporządkuje swoje sprawy i stawi się tutaj przed dziewiątą rano. Ten powóz zabierze panią i inne kobiety do naszego domu, gdzie obejmie pani swoje obowiązki. Kochanie - zwrócił się do żony - wyjaśnij pani, czego się spodziewać w naszych murach, ja tymczasem porozmawiam z woźnicą.

Sophie wytłumaczyła pannie Thayn, o co chodzi, i w zamian zyskała niepewny uśmiech.

- Dom jest aktualnie malowany, ale obawiam się, że to potrwa - zakończyła i w tym samym czasie admirał wrócił, aby pomóc im wsiąść do powozu. - Zawieziemy panią do gospody... Mulberry, tak?

- Ależ mogę pójść na piechotę - zapewniła ich.

- Jak to? Pozbawia nas pani możliwości napawania się własną ważnością? - powiedział Bright. - Doprawdy, panno Thayn!

Mimo żartobliwego tonu zabrzmiało to rozkazująco i Sophie wiedziała, że nigdy się to nie zmieni, pozostanie jego drugą naturą, niezależnie od tego, że przestał pełnić admiralskie obowiązki. Pannie Thayn nie pozostało nic innego, jak posłuchać. Rozluźniła się, siedząc w powozie, zamknęła oczy i westchnęła przeciągle, z wyraźną wdzięcznością. Zostawili ją przed gospodą Mulberry, wysłuchawszy przedtem wylewnych podziękowań, i skierowali się na wschód z powrotem na drogę biegnącą wzdłuż wybrzeża. Kiedy minęli nędznie wyglądającą gospodę o nazwie Noble George, Sophie ujęła dłoń męża.

- Proszę cię, zatrzymajmy się tu na minutę.

Admirał wychylił się przez okno i wydał polecenie woźnicy.

- O co chodzi, moja droga? Musi to być coś wysoce podejrzanego, bo jesteś znów cała zaróżowiona.

- Charles, jesteś niemożliwy! - Przycisnęła dłonie do pałających policzków. - Kiedy szukałam jakiegokolwiek pracy, weszłam tutaj zapytać, czy nie potrzebują pomocy do kuchni. Właściciel okazał się okropnym człowiekiem. Obrzucił mnie pożądlwym wzrokiem i zaproponował, że zwolni pomywaczkę, jeśli zgodzę się świadczyć także... inne usługi.

- Bydlak! - rzucił admirał. - Wyrażam się oględnie, bo jestem pewien, że nie chciałabyś usłyszeć, co naprawdę o nim myślę. Mam go zawezwać i przyłożyć hakiem? Parę ciosów i będzie w strzępach.

- Nie. Chcę zatrudnić to dziecko do pomocy Etienne'owi. Nie wiadomo, czego ten odrażający człowiek mógł zażądać od tego biedactwa.

- Ile według ciebie ona ma lat?

- Dziewięć, dziesięć, nie więcej.

- Dobry Boże, idę z tobą - zapowiedział z pochmurną twarzą.

Zmierzył właściciela gospody piorunującym wzrokiem. Prawdopodobnie tak samo zastraszał oficerów, którzy popełnili błędy, gdy jeszcze był czynnym admirałem, doszła do wniosku Sophie, z satysfakcją obserwując, jak pospiesznie tamten nakazał wykonać polecenie jej męża. Kiedy czekali, mężczyzna chrząkał i prychał, patrząc rozbieganymi oczkami wszędzie, tylko nie na admirała. Sophie postanowiła w duchu nigdy nie sprokować swojego męża do ujawnienia gorszej strony jego osobowości.

Dziewczynka pojawiła się u szczytu schodów, smutna i przestraszona. Zeszła po mału i jakby natychmiast wyczuła, kto może przyjść jej z pomocą, schowała się za Sophie, która odwróciła się i uklękła przy niej. Właściciel zrobił krok do przodu, ale wyprzedził go admirał, stając pomiędzy nim a Sophie.

- Dość tego - powiedział cichym głosem, ale brzmiącym tak, że mężczyzna cofnął się pod ścianę.

Powoli, aby nie przestraszyć dziecka, Sophie położyła jej rękę na chudym ramieniu.

- Jestem lady Bright, a to mój mąż, admirał sir Charles Bright.

Dziewczynka otworzyła szeroko buzię.

- Szukam służby do mojego domu. Potrzebna nam pomywaczka i myślę, że doskonale się do tego nadajesz.

- Psze... psze pani?

- Jeszcze jedno. Będziesz dzielić pokój w pomieszczeniach dla służby z inną dziewczyną. Czy to ci odpowiada?

- Pokój? - spytała zdławionym głosem.

- No tak. A gdzie teraz śpisz?

Dziewczynka zerknęła na właściciela i przysunęła się bliżej do Sophie.

- Na brudach w pralni - wyszeptała.

Sophie wstrząsnęła się mimowolnie. Charles natychmiast stanął przy niej i położył uspokajającym gestem dłoń na jej ramieniu.

- Mamy coś lepszego niż brudy - powiedział. - Jak ci na imię?

- Nazywają mnie Twenty\*, bo mówią, że nie będę dłużej żyła w przytułku dla ubogich.

- Znajdziemy ci jakieś przyjemne imię. Chcesz z nami pojechać? Nie bój się go. Patrz na nas.

\* Twenty (j. ang.) - dwadzieścia (przyp. red.).

- Pojadę - wyszeptała.

- Dobrze. Czy chcesz coś zabrać? Lady Bright pójdzie z tobą.

- Nic - odpowiedziała. - Obciągnęła za dużą sukienkę i spróbowała wyprostować się z godnością. - Jestem gotowa.

- Dobrze - powtórzył admirał z nutą wzruszenia w głosie. - Idź z tą wspaniałą kobietą do powozu, który stoi przed frontem. Ja mam do zamienienia kilka słów z twoim poprzednim pracodawcą. Idź, moja droga - zwrócił się do żony. - Obiecuję nie zrobić niczego, czego bym później żałował - dodał, spoglądając na właściciela gospody.

Trochę mnie to niepokoi, pomyślała Sophie, bo wątpię, żeby żałował, jeśli go spowiewiera. Wyprowadziła dziewczynkę na ulicę i zachęciła, aby natychmiast wsiadła do powozu. Zdumiona, mała rozejrzała się po wnętrzu.

- Kurczę, psze pani, ja w życiu nie jechałam takim czymś - wyszeptała.

- Pojedziemy do posiadłości mojego męża o kilka mil stąd. Będiesz pracować dla francuskiego kucharza. Będzie cię dobrze traktował. My też. - Sophie z trudem domówiła tych słów, patrząc na łzy żłobiące jaśniejsze ślady na brudnej twarzy dziecka.

Po kilku minutach dołączył do nich admirał. Usiadł na przeciwległej kanapie.

- Twenty, spytałem twojego poprzedniego pracodawcę o zaległe wynagrodzenie. Z początku nie pamiętał, ale w końcu przypomniał sobie, że jest ci coś winien. Wyciągnij rękę. - Nasypał garść pensów w dłonie zdumionej dziewczynki. Wymknęły się na sukienkę, rozciągnęła ją, aby nie spadły. - Kiedy wrócimy do domu, poproszę Etienne'a, żeby dał ci na nie jakieś gliniane naczynko.

Dziewczynka kiwnęła głową, nie mogąc wydobyć z siebie głosu i przysunęła się bliżej do Sophie, która objęła ją ramieniem. I to było ostatnią przysłowiową kroplą. Twenty zaczęła szlochać, głośno i niepowstrzymanie. Nie zważając na nieprzyjemny zapach i brudne ubranie, Sophie przytuliła małą i szeptała do niej ciche słowa, aż dziewczynka zasnęła. Ułożyła ją potem na siedzeniu, z głową na swoich kolanach.

- Powiedział mi, że nie zarobiła ani pensa, bo bez przerwy coś tłukła i kradła jedzenie - powiedział ściszym głosem Bright. - Wilberforce powinien przyjrzeć się bliżej tej gospodzie, skoro chce śledzić handel niewolnikami. - Pochylił się i poklepał żonę hakiem po kolanie. - Niezwykła z ciebie kobieta, pani Bright.

Popatrzyła na niego. Nie wyglądał zbyt dobrze w cywilnym ubraniu, podniszczonym i niemodnym, bo przez ponad dwadzieścia lat nie schodził na ląd. Włosy prosiły się o fryzjera, ogolił się chyba niezbyt starannie dzisiejszego ranka. Mimo to była w nim siła i potencjał i Sophie zapragnęła skulić się na jego kolanach i wypłakać jak dziewczynka. Wydawało się jej, że wszystkie lata, spędzone na morzu na ochranianiu własnego kraju, znajdują odbicie w jego oczach.

- Dziękuję - tylko tyle zdołała powiedzieć.



Starkey osłupiał na widok dziewczynki, którą przywieźli do domu, ale Etienne nawet nie mrugnął okiem. Natychmiast zabrał się do podgrzewania wody, a gdy kąpiel była gotowa, co Twenty przyjęła z widoczną obawą, przyniósł sukienkę.

- Znalazłem to w kufrze w moim pokoju - powiedział. - Wziąłem też nożyce, żeby ją dopasować. Na razie musi to jej wystarczyć.

- Etienne, jesteś niezastąpiony - podziękowała mu lady Bright, zastanawiając się jednocześnie, która bywalczyni rozpasanych przyjęć nosiła coś tak skromnego.

Protesty dziewczynki szybko ucichły, kiedy zobaczyła, że na nic się nie przydadzą. Mydło z dziegciem i olejkiem sosnowym pieniało się słabo, ale pozwalało na pozbycie się wszy, włosów nie trzeba było ścinać, bo już miała je krótko ostrzyżone. Na koniec Sophie owinęła ją ręcznikiem, uwięziła między kolanami i wyczesywała gęstym grzebieniem włosy dopóty, dopóki uznała, że pasożyty ostatecznie znikły.

Ubrana w za dużą, używaną sukienkę, dziewczynka stała nieruchomo, czekając cierpliwie, aż nowa pani wykroi z ręcznika pasek i zawiąże jej go w talii, a potem odwróciła się i przejrzała w lusterku wiszącym na ścianie. Stanęła jak wryta, przez chwilę osłupiała na widok swojego odbicia, a potem rzuciła się na łóżko, zanosząc od śmiechu.

- Jutro znajdę ci coś lepszego - obiecała lady Bright.

- Nie mogłabym chcieć niczego więcej, psze pani.

Ta odpowiedź poruszyła serce Sophie, która pomyślała: to tak jak ja.

W pokoju stały dwa niewielkie łóżka i Sophie zaczęła przygotowywać posłanie mimo protestów Starkeya, że on powinien to zrobić. Twenty została w tym czasie usadzona za stołem dla służby nad miską zupy. Zjadła wszystko do ostatniej łyżki. Etienne, usiłując zachować spokój, podał jej małą bułeczkę, a potem kolejne dwie. Kiedy skończyła jeść, ziewnęła, odsunęła miskę i przyłożyła głowę do stołu. Po sekundzie spała. Starkey podniósł ją, żeby zanieść do łóżka, ale obudziła się i zaczęła płakać, wyraźnie wystraszona. Uspokoiła się, gdy lady Bright przejęła nad nią opiekę. Zaprowadziła ją do pokoju i posiedziała z nią, dopóki dziewczynka znów nie zasnęła i wróciła do holu dla służby.

- Ona nie ma imienia, Etienne. Ma być u ciebie pomywaczką. Powinieneś znaleźć dla niej imię.

- Vivienne jak moja siostra? - spytał niepewnie. - Umarła, kiedy była w jej wieku. Vivienne to ładne imię.

- Dobrze. Powiesz jej to rano.

Wchodziła po schodach powoli, zmęczona na ciele i duszy. Etienne powiedział, że wkrótce poda kolację, ale Sophie bardziej łaknęła teraz czyjegoś towarzystwa niż jedzenia. W salonie spojrzała na sufit, połyskujący świeżą, niewinną bielą.

- Starkey mówi, że to dopiero pierwsza warstwa - odezwał się admirał. Zdjął buty i siedział z założonymi na kanapę nogami. - Jutro możesz im powiedzieć, jaki kolor lubisz.

Trudno było o bardziej prozaiczną uwagę, mimo to Sophie rozplakała się i wkrótce siedziała w objęciach męża, z twarzą wtuloną w jego pierś.

- Przepraszam... - zdążyła wyjąkać, zanim ponownie zatkała.

- Och, poluzować liny - wymamrotał. - Będzie z nią wszystko w porządku? - spytał.

Podziękowała mu skinieniem głowy za chusteczkę, którą jej podał zawieszoną na haku.

- Charles, czy możemy jutro posłać po lekarza? Obejrzałam jej intymne miejsca podczas kąpieli i... są mocno zaognione. Czy myślisz, że ten potwór... - Umilkła, a on przytulił ją mocniej.

- Lekarz z pewnością jej pomoże - powiedział. - Szkoda, że nie mogę wychłostać tego drania, przepędzając między marynarzami po pokładzie, aż skóra zeszlaby mu z pleców.

- Robiłeś tak? - zapytała.

- To i gorzej za mniejsze przewinienia. - Położył jej dłoń na oczach. - Nie myśl o tym. Najlepsze, co mogło się jej przytrafić, to spotkanie z tobą. - Admirał pocałował żonę w czubek głowy i znów przytulił do piersi.

- Życie bywa okrutne, moja droga.

- Nie tutaj, w tej twojej jaskini nieprawości - zaproponowała. - Chciałabym pomalować ten pokój na jasnozielono.

Może to pociągnąć za sobą konieczność kupienia nowych mebli.

Nie usłyszała jego śmiechu, ale wyczuła, że pierś mu zadrgała. Siedzieli tak blisko siebie, kiedy Starkey otworzył drzwi i odchrząknął.

- Proszę pana, pańskie siostry przyjechały. - Umilkł i zamknął oczy, jakby bronił się przed tym, co musi powiedzieć: - Przywiozły meble w egipskim stylu.

- O Boże! - jęknął admirał. - Zatem mamy nowe meble.

## Rozdział jedenasty

Sophie próbowała wstać, ale mąż ją przytrzymał. Usłyszała, jak bierze głęboki oddech, gdy w drzwiach pojawiły się dwie damy. Zatrzymały się w progu, wybałuszając oczy, obie też rozchyliły usta.

- Charles! - zawołała jedna z nich lamentującym głosem. - Co ty zrobiłeś? I to bez naszego pozwolenia!

- Moje siostry - przedstawił admirał. Puścił Sophie, wstał i podał jej dłoń, pomagając się podnieść. - Moja żona.

Damy wciąż tkwiły w drzwiach, nie przestając się w nich wpatrywać. W końcu odezwała się młodsza z nich, podkreślając każde słowo:

- Charlesie Williamie Edwardzie Bright, Co Ty Najlepszego Zrobiłeś?!

Coś podobnego, rzeczywiście zaczyna wyrazy od dużych liter, pomyślała Sophie. Spojrzała na męża i zobaczyła, że twarz mu czerwienieje.

- Oddychaj, kochanie - poradziła ściszym głosem.

Bright odchrząknął, zanim powiedział:

- Jak widzicie, udało mi się znaleźć żonę bez niczyjej pomocy.

Ciekawe, co one na to, pomyślała Sophie. Były wyraźnie starsze od brata, a sądząc po pełnych złości spojrzeniach, ciskanych w jej kierunku, uważały się za ostateczną instancję we wszystkich kwestiach dotyczących Charlesa.

Admirał wsunął sobie jej dłoń pod ramię i skierował się ku drzwiom.

- Fan, Dora, pozwólcie, że przedstawię wam Sophie Bright. Niedawno zawarliśmy małżeństwo w Plymouth. Kochanie, po lewej stoi Fan, a ściślej pani Williamowa Thorn-

dyke, po prawej Dora, a właściwie lady Turnbooth. Ich mężowie odeszli wcześniej, więc mają nadmiar wolnego czasu.

- Tym lepiej, skoro zamierzamy pomóc młodszemu bratu zaaklimatyzować się na lądzie - oświadczyła Fan, nie odpowiadając na ukłon Sophie.

- Świetnie mnie przygotowałyście, skoro sam zdołałem znaleźć żonę - rzucił zręczną ripostę admirał.

- Ona jest Szkotką! - zawołała Dora i ku rozbawieniu i zdziwieniu Sophie przyłożyła do twarzy chusteczkę.

- Szkocja nie leży na końcu świata - zauważył admirał.

- Mówię po angielsku - zapewniła je Sophie. - Czy zechciałyby panie spocząć? Poinformuję kucharza, że panie przyjechały.

- Niech się pani nie trudzi - oświadczyła energicznie Fan. - Wiem, jak postępować z francuskimi kucharzami. Zejdę na dół i uświadomię mu, co do czego pasuje. Tak jak poprzednio.

Sophie zerknęła na męża. To jeden z obowiązków, których wypełnienia ode mnie oczekuje. Zobaczmy, czy potrafię zasłużyć sobie na utrzymanie.

- Pani Thorndyke, to należy do moich obowiązków.

Fan nie zamierzała poddać się bez walki.

- Ale on jest Francuzem. Potrafię nim pokierować!

- Ja także - nie ustępowała Sophie, zadowolona, że nie mogą wiedzieć, jak mocno bije jej serce. - Proszę usiąść i dotrzymać towarzystwa bratu. - Nie byłaby sobą, gdyby powstrzymała się od dodania: - Wiem, jak wyczekiwał przybycia pań.

Zacisnęła usta, żeby się nie roześmiać, podczas gdy jej mąż usilnie próbował pokryć śmiech kaszlem.

- Fatalne pogody w czasie blokady osłabiły mi płuca - zdołał w końcu powiedzieć.

Zamknął drzwi za żoną, ale przed tym rzucił jej wymowne spojrzenie. Oparła się na chwilę o ścianę, a kiedy zdołała się opanować, zobaczyła w holu pospolicie wyglądającego mężczyznę.

- Tak? - spytała, zastanawiając się, co ma wspólnego z przybyciem sióstr.

- Mam cały furgon mebli - oświadczył, nie bawiąc się w grzeczności. - Okropny czarny pies do siedzenia... Boże uchwaj... Posąg jakiegoś jegomościa z pieluchom na biodrach...

Faraon mógłby stanąć obok naszej rozognionej Penelopy przed frontowymi drzwiami, pomyślała Sophie, żałując, że nie ma przy niej Charlesa.

- Niech pan zostawi tego psa i posąg w furgonie. Mężczyzna zaczął nerwowo obracać w dłoniach zniszczoną czapkę. Rzucił na drzwi salonu przerażone spojrzenie.

- Wielmożne panie obedrom mnie ze skóry, jak nie wyładuje.

- A ja, jeśli pan wyładuje - oznajmiła stanowczo. - To mój dom.

Patrząc na dostawcę, nagle zdała sobie sprawę, że to rzeczywiście jej dom, jej lubieżne kupidyny i wszystko wokół. Przyjrzała się dokładniej nędznie ubranemu mężczyźnie i pewność siebie ją opuściła. Niewiele brakuje, żeby znalazł się w przytułku dla ubogich, pomyślała.

- Niech pan tu poczeka.

Wróciła do salonu i skinęła na męża, który siedział pomiędzy swoimi siostrami. Mówiły naraz. Spojrzał na nią z wyraźną ulgą, gdy wymówiła jego imię, wyszedł do holu i zamknął za sobą drzwi.

- Masz doskonale wyczucie - powiedział. - Zjawiłaś się niczym *deus ex machina*.

- Znowu okazuję się kosztownym dla ciebie nabytkiem. - Poinformowała go o dostawie. - Jeśli nie wyładuje egipskich mebli, twoje siostry nie zapłacą mu za usługę. Wolałabym nie brać tego na swoje sumienie, ale też nie chcę mieć w domu drewnianych szakali czy faraona, straszących nas i służbę.

Admirał namyślał się przez moment. Spojrzał na dostawcę, wciąż mnącego czapkę nerwowo.

- Z tyłu za dworem mieszczą się stajnie. Mój człowiek, Starkey, wskaże drogę. Niech pan tam wyładuje meble. Ile wynosi pańska należność?

Mężczyzna wymienił sumę, a Bright zapłacił.

- To nie było takie trudne, Sophie - stwierdził, gdy mężczyzna wyszedł. - Szkoda, że nie mogę wyładować moich sióstr. Dlaczego patrzysz na mnie takim wzrokiem? Zapłaciłem mu za mało?

Nie przestała się w niego wpatrywać. Nigdy dotąd nie spotkała człowieka takiego jak on.

- Charles, rozwiązałeś problem w pół minuty. Jestem zdumiona!

- Szybkie podejmowanie decyzji weszło mi w nawyk, moja droga. - Jego głos brzmiał poważnie. - Jedną z nich podjąłem kilka dni temu.

Rzeczywiście. W dalszym ciągu wpatrywała się w niego, aż żartobliwie przypomniał jej, że powinna udać się na dolny pokład, aby pobudzić do działania załogę. Zanim odeszła, ujął jej dłoń i z ukłonem ucałował. Otworzył drzwi salonu, lecz zanim wszedł, przyciągnął ją bliżej do siebie i wyszeptał do ucha:

- Jesteśmy szaleńczo w sobie zakochani, tak powiedziałem siostrze. Każ Etienne'owi przynieść supelnię, najlepiej zimną, i nic więcej. Urazi to jego francuską dumę, ale może skłoni moje siostry do wyjazdu jutro. - Pocałował ją w policzek. - Idź. Ja wracam do jaskini lwa.

Etienne nie był w ciemności bity, szybko pojął, o co chodzi Sophie.

- Przesolę i postaram się przypalić dno garnka. - Westchnął ciężko. - Nie popełniłbym takiego świętokradztwa, gdyby nie to, że gra jest warta świeczki, lady Bright. Chyba mam nawet stęchły chleb w spiżarni.

Sophie usłyszała brzęk garnków i poszła zobaczyć, jak Vivienne sobie radzi. Dziewczynka spojrzała na nią i uśmiechnęła się.

- Wcale nie jestem zmęczona, psze pani.

Sophie poczuła łzy pod powiekami. Chyba wszyscy znaleźliśmy tutaj przystań, pomyślała. Skinęła Vivienne głową i wróciła na górę, gdzie czekał na nią Starkey z wiadomością, że przygotował dwa pokoje dla jej szwagierek.

- Przeniosłem także pani ubrania i osobiste drobiazgi do pokoju admirała - dodał beznamiętnie.

- Ale...

Łatwo zgasił jej protest.

- Admirał Bright tak rozkazał. W końcu jesteście nowożeńcami, trzeba stworzyć jakąś fikcję, prawda?

W tonie, jakim mówił, było coś, co wiele powiedziało Sophie o jego uczuciach. Poczowała, że twarz jej płonie.

- Tak, rzeczywiście, Starkey - zgodziła się. Jej głos zabrzmiał pewnie i spokojnie, ale żołądek podjechał jej do gardła, gdy kamerdyner zrobił wymowną minę. - Wiemy, że to farsa na użytek jego sióstr, aby jak najszybciej wyjechały.

Nie mam w nim sojusznika, pomyślała, wracając do salonu. Kiedy otworzyła drzwi, ujrzała dwie zacięte twarze i jedną z wyrazem ulgi.

- Sophie, kochanie, właśnie opowiadałem moim siostronom... teraz już naszym siostronom, jak intensywnie korespondowaliśmy ze sobą po śmierci twojego męża na polu walki.

Zaczynamy budować piramidalne kłamstwo, pomyślała.

- W takim razie, nie rozumiem, dlaczego nic nam nie mówiłeś o tych listach, bracie - stwierdziła nieprzejednana Fan. - Mogłybyśmy odwiedzić... hm... lady Bright w Bath.

Admirał spojrział na żonę wymownie, szukając odsieczy. Nie miała wyboru, musiała mu pomóc.

- To bardzo delikatna sprawa - udzieliła w końcu wykrętnej i nieprzekonującej odpowiedzi. - Jestem pewna, że to zrozumiałe.

Ich sceptyczne spojrzenia jasno mówiły, że nie, ale nic innego do powiedzenia nie przyszło jej do głowy, jak tylko:

- Etienne zapowiedział, że będzie tylko zupa. Kuchnia zacznie w pełni pracować dopiero późnym popołudniem jutro. - Splotła mocno dłonie, aby ukryć ich drżenie. - Przygotowaliśmy pokoje gościnne na dzisiejszą noc, a rano przed waszym wyjazdem, pożegnamy się oczywiście.

Szczęśliwie obiad nie trwał zbyt długo. Wiele uwagi poświęcono zupie z porów, ledwie ciepłej, z posmakiem spalenizny i niezbyt świeżego masła. Potem godziny spędzone w salonie dłużyły się niemiłosiernie. Admirał, nie szczędząc drastycznych szczegółów, opowiadał o bitwach morskich, katastrofach statków, głodzie, niewoli, aż wreszcie zdecydował miłosiernie zakończyć te relacje.

- I tak właśnie, drogie siostry, toczyła się moja kariera na morzu.

Fan, podsuwała Dorze pod nos sole trzeźwiące, dopóki ta nie kichnęła.

- A chciałobyście usłyszeć o pożałowania godnym przypadku kanibalizmu? - spytał, na co Dora wyrwała Fan z ręki flakonik z solami i przytknęła go sobie do nosa. - Nie? W takim razie następnym razem. Może za miesiąc lub dwa, kiedy znów przyjedziecie z wizytą. Na Gwiazdkę?

Cóż mogły na to odpowiedzieć?

Głowę jej rozsadzało, gdy siostry wreszcie zamknęły za sobą drzwi do przygotowanych dla nich, przyzwoicie wyglądających pokoiów, z których jeden zajmowała poprzednio ona. Miała nadzieję, że Starkey rzeczywiście usunął wszelkie ślady jej obecności. Admirał sprawiał wrażenie, jakby zupełnie nie przejmował się sytuacją.

- Starkey poinformował mnie, że nie ma więcej łóżek.

Rzuciła mu płomienne spojrzenie, a on zatoczył się, jakby go zastrzeliła i Sophie przyłożyła rękę do ust, aby powstrzymać śmiech.

- Wydaje mi się to dziwne, że są tylko trzy łóżka na tym piętrze, zwłaszcza gdy pomyśleć, jak był wykorzystywany ten dom. Nie bądźmy drobiazgowi, jest mnóstwo miękkich dywanów w pustych pokojach.

- Co ty powiesz? - zachnęła się. - Może jednak lepiej będzie, jak porozmawiamy o tym, co im naopowiadałeś.

- Nic więcej ponad to, co słyszałaś. Nie miałem czasu, żeby wymyślić jakieś skomplikowane łgarstwo. Usiądź, Sophie, ja nie gryzę. - Poklepał materac na łóżku.

Przyciągnęła sobie w pobliże łóżka krzesło stojące przed kominkiem i usiadła na nim.

- Korespondowaliśmy ze sobą przez cztery do pięciu lat - zaczęła.

- Właśnie. Byłaś uosobieniem przyzwoitości, ja całkowicie pochłonięty życiem na morzu, praktycznie nie widywaliśmy się, ale kiedy zjawiłem się w Bath po bitwie pod Waterloo, rzeczy potoczyły się same i stało się.

- Uwierzyły ci?

- Mam nadzieję.

- Może lepiej było im powiedzieć prawdę?



Zaczął rozpinąć guziki koszuli. Z jednym szło mu opornie, więc usiadła obok niego i wyręczyła go. Wyjął spinkę z mankietu przy haku, a potem wyciągnął zdrową rękę i Sophie odpięła drugą spinkę.

- Myślałem o tym, ale dlaczego miałem wprowadzać w zakłopotanie kogoś, kto wyświadcza mi przysługę. Jestem przekonany, że moje siostry dadzą mi... nam spokój, skoro bez ich pomocy zawarłem związek małżeński.

- Znasz je lepiej niż ja - powiedziała niezdecydowanie Sophie.

- Długie lata spędziłem z dala od nich - odparł Charles.

Odpiął kołnierzyk koszuli od pasków protezy i spojrzął na żonę. Bez słowa przekręciła mały metalowy guzik, spinający skórzane paski.

- Pomóż mi, proszę, zdjąć koszulę.

Spełniła jego prośbę i obserwowała, jak uwalnia się ze skórzanej upręży, odsłaniając okaleczoną rękę. Położył uprząż razem z hakiem na nocnym stoliku i wyciągnął do niej ramię pozbawione dłoni.

- Zobacz, jak gładko zablizniona. Chirurg nie mógł wyjść z podziwu, że sznur tak schludnie odciął część kończyny, najwyraźniej mi zbędną, skoro całkiem dobrze się bez niej obchodzę.

Sophie poczuła mrowienie w karku, ale po chwili uspokoiła się.

- Czy to cię bolało?

- Zaraz po tym, jak się stało, tak. Niesamowity ból. A potem, przysięgam ci, miałem wrażenie, że wciąż mam palce, nawet że nimi poruszam. - Uśmiechnął się do niej. - Teraz nigdy nie boli.

Poszedł do swojej garderoby, a ona przysunęła krzesło z powrotem do kominka. Wrócił przebrany w nocną koszulę.

Usiadł na krześle stojącym obok niej i oparł bosc stopy na pufie. Ujął jej dłoń i przesuwając delikatnie palcem po kostkach, powiedział:

- Postawiłem cię w niezręcznej sytuacji. Po wszystkich nonsensownych działaniach i dyplomatycznych zabiegach moich sióstr, ich bezustannej kurateli, chciałem tylko jednego po zejściu na ląd: żeby zostawiły mnie w spokoju. - Przyłożył sobie dłoń żony do policzka. - Zdaję sobie sprawę, że według nich robiły to, co dla mnie najlepsze, ale to

oznaczało jednocześnie, że nigdy nie dadzą mi spokoju. Poślubiłem cię, abyś była dla mnie czymś w rodzaju buforu, to nie fair.

Skupiła się na słowach męża. Mimo to była świadoma, że dłonią dotyka jego policzka. Co do Charlesa, sprawiał wrażenie, jakby wykonał ten gest machinalnie. Sophie, znaj swoje miejsce, powiedziała sobie. Wystarczył delikatny opór i puścił jej dłoń, spoglądając na nią przepaszająco.

- Co się ze mną dzieje? - spytał nieoczekiwanie. - Mam czterdzieści pięć lat, wypadaloby być rozsądnym i odpowiedzialnym człowiekiem, tymczasem kłamię na prawo i na lewo, udzielam wykrętnych odpowiedzi. Sam siebie nie rozumiem.

Zerwał się z krzesła i pomaszerował z powrotem do garderoby. Wrócił w swoim podniszczonym szlafroku i nachmurzony, patrząc nieobecny wzrokiem, zawiązał wprawnie jedną ręką węzeł na szarfie, a potem usiadł z powrotem obok Sophie. Skomentowała jego wygląd, aby rozluźnić atmosferę.

- Proszę cię, tylko mi nie mów, że zamówiłeś dzisiaj nowy szlafrok. Lubię ten stary, sfatygowany.

- Nie zamówiłem. Nie przyszło mi to do głowy. - Wstał znowu i zaczął krążyć po pokoju. - Sophie, znałaś większego niż ja idiotę?

Wyglądało na to, że pyta poważnie i oczekuje odpowiedzi. Zastanawiała się nad nią, gdy on chodził.

- Masz czterdzieści pięć lat i spędziłeś większość życia na morzu...

- Gdzie życie było dużo prostsze - dokończył. - Przysięgam, że tak!

- Zastanówmy się nad tym. Życie na morzu. Aha, była jakaś wojna, tak. To nie było łatwe. Kupiłeś dom z kupidynami dla roztaczającego się z niego widoku.

Oparł się o komin, wokół oczu zaczęły się formować promieniste zmarszczki.

- I o zgrozo! Ożeniłeś się z wdową w żalośnie krótkim czasie.

- To był znakomity pomysł - powiedział, wpadając w ten sam żartobliwy ton.

- To wciąż pozostaje otwartą kwestią.

- Boję się dwóch dominujących kobiet, a przecież byłem admirałem! - Znow zaczął przemierzać pokój.

Spojrzała na niego, starając się wyczytać coś z wyrazu jego twarzy, gdy odwracał się do niej. Posiwiiałe włosy, poznaczona przedwczesnymi zmarszczkami twarz.

- Stawiam wniosek, że nigdy nie miałeś szansy być młodym, admirale!

Przystanął, nachmurzył się i ku jej rozbawieniu powtórzył bezgłośnie „admirale”. Przeszedł się jeszcze tam i z powrotem, a potem usiadł przy niej.

- Może masz rację. - Sięgnął po jej dłoń, ale rozmyślił się. - Trochę za późno na nadrabianie dzieciństwa. Sophie, uwikłałaś się w kiepski układ.

- Mam inne zdanie. Pozbyłeś się egipskich mebli, kupidyny znikają.

- I możemy mieć nieśmiałą nadzieję, że moje siostry wyjadą jutro? - spytał, już spokojniejszy. Powieki zaczęły mu opadać na oczy.

- Myślę, że tak. Admirale, czas pójść do łóżka.

- Chyba że do mnie dołączysz. - Zamknął oczy. - Obiecuję trzymać ręce przy sobie.

- Mogę spać na krześle.

- Nonsens. Jesteś prawie tak samo wysoka jak ja. Potrzebowalibyśmy rano jakiegoś cudotwórcy, żeby cię rozprostować. Odzyskasz swój pokój, Sophie. Proszę cię, nie pozwól mi się zamęczać tą sytuacją.

Nie zamierzała się sprzeczać, zwłaszcza że też ogarnęła ją senność.

- Dobrze, przebiorę się w twojej garderobie, a ty zachowuj się grzecznie.

Zasnął, zanim wyszła z garderoby. Leżał na plecach, okaleczone ramię spoczywało na piersi. Wcale mi to nie przeszkadza, uznała Sophie, patrząc przez chwilę na męża. Ostrożnie uniosła pościel i wśliznęła się z westchnieniem między prześcieradła. To był długi dzień.

Uważała, żeby nie przysunąć się za bardzo do niego, leżała na brzegu łóżka po swojej stronie i wsłuchiwała się w jego regularny oddech. Coś tak oczywistego jak obecność innej istoty ludzkiej sprawiło, że zrobiło jej się lżej na sercu. Pomyślała o tych wszystkich dniach, tygodniach i miesiącach, kiedy sypiała sama, zamartwiając się przed zaśnięciem, i kiedy budziła się tak samo zmęczona jak przed położeniem się do łóżka. Teraz było inaczej. Fakt, siostry spały po przeciwnej stronie holu. Zostało mnóstwo kupidynów do pomalowania. Vivienne potrzebny był lekarz. Przyjadą pozostali służący.

- Nie marszcz się.

Wciągnęła głęboko powietrze i odwróciła głowę, a potem zamknęła oczy, gdy Charles Bright, jej mąż, wygładził opuszkami palców pionową zmarszczkę na jej czole.

- Śpij, Sophie. Niech ci się przyśni, że rano wstaniemy inteligentniejsi.

Przekręciła się na bok, plecami do niego, zastanawiając się, dlaczego jest inaczej. Słuchała spokojnego, znów regularnego oddechu admirała.

Nie zamartwiam się sama, doszła do wniosku. Taka jest różnica.

## Rozdział dwunasty

W środku nocy Charlesa Brighta nękał senny koszmar. Nie zwykł krzyczeć przez sen, ale Starkey powiedział mu kiedyś, że mamrotał coś niewyraźnie i młócił rękami powietrze. Teraz to się powtórzyło. Przebudził się, gdy poczuł, że czyjaś dłoń dotyka jego pleców. Zaskoczony i zdezorientowany, leżał z zamkniętymi oczami, poddając się masażowi. Chciał się przekręcić na wznak, powiedzieć coś, ale zrezygnował. Leżał spokojnie, rozkoszując się tym, że dzieli łóżko z kobietą. Dawno tego nie zaznał. Nie pamiętał, kiedy ostatni raz spędził całą noc z kobietą, a w dodatku ta jest jego żoną. Uśmiechnął się do siebie i znowu zapadł w sen.

Obudził się o zwykłej porze, ale było to znacznie przyjemniejsze przebudzenie niż każdego innego ranka. Zawdzięczał to żonie, która przytuliła się do niego i zarzuciła mu rękę na pierś, choć pamiętał, że kładąc się spać, odsunęła się na skraj łóżka. Czuł jej ciepłą pierś przy swoim boku i zapragnął przytulić Sophie. Wiedział jednak, że obudziłaby się i przestraszyła. Z bólem serca zauważył, jakie ma chude ramię. Żywiłaś się powietrzem, dziewczyno? Etienne nie znosi, jeśli nadzoruje się go w kuchni, ale tym razem nie zaszkodzi pójść do niego z sekretną misją. Niech hojniej szafuje mlekiem, masłem, serem i produktami cenionymi przez francuskie podniebienia.

Był podniecony. Nie zdziwiło go to. Musiałby być ze spiżu, żeby się oprzeć Sophie. Z pewnym rozbawieniem uświadomił sobie, że nie pamiętał u siebie takiego stanu o poranku od dobrych kilku lat. Potyczki miłosne, aranżowane pod osłoną nocy, szybko kończyły się powrotem do portu i na okręt flagowy. Nienawidził tego skrytego

zaspokajania normalnych dla mężczyzny potrzeb, ale szybko pojął, że od admirała oczekiwano, aby był ponad ludzkie namiętności.

W najgorszych latach wojny, kiedy już osiągnął rangę admirała floty, przebywał na morzu bez przerwy długie sześć lat. Zazdrościł kapitanom podlegających mu fregat, którzy mogli od czasu do czasu schodzić na ląd. Jego domem stało się morze, kobiet się tam nie spotykało.

Zawarł ślub, ale zapewnił piękną żonę, że ich małżeństwo pozostanie nieskonsumowane... że to tylko wygodny dla nich dwójga układ. Głupiek ze mnie, pomyślał z wielkim humorem, że ją zachęcałem, aby odprawiła Fan i Dorę. Jeśli wyjadą dzisiaj rano, nie będę miał pretekstu, żeby Sophie spała w moim łóżku. Niezadowolony z siebie leżał skwaszony, czekając, aż jego ciało zubożeje. Potem delikatnie oswobodził się ze spoczywającego mu na piersi ramienia żony. Poruszyła się i zwróciła ku niemu twarzą, jak kwiat kierujący się w stronę słońca, lecz nie otworzyła oczu, tylko westchnęła z zadowoleniem. Poruszyło to jego serce. Dlaczego niesprawiedliwy los spotkał tę uroczą istotę? Czemu sponiewierało ją życie? Jak mężczyzna, jej pierwszy mąż, mógł pomyśleć o popełnieniu samobójstwa, a co dopiero popełnić je? Nie potrafił sobie tego wytłumaczyć.

W garderobie nie mógł się zdecydować, czy zacząć na dobre ten dzień, czy tylko zejść do pokoju śniadaniowego po filiżankę herbaty dla Sophie. W końcu założył stary szlafrok, ale został bosy. Może siostry jeszcze nie wstały, a jeśli tak, trudno, uznał. Tymczasem okazało się, że siedziały w pokoju śniadaniowym i nie wyglądały na zadowolone. Spojrzał na bufet i skrył uśmiech. Etienne Dupuis wysilił się na przygotowanie kiepskiej owsianki. Bright pociągnął nosem. Przypalona... Nalał sobie herbaty i usiadł z siostrami. Fan natychmiast zgłosiła pretensję.

- Charles, ten twój kucharz jest żaloszny!

- Daj mu szansę. - Upił łyk herbaty. - Nie ma jeszcze ludzi do pomocy. Znacznie lepiej będziecie czuły się w Londynie dopóty, dopóki nie uporządkujemy tu wszystkich spraw. - Zdobył się na figlarne, porozumiewawcze spojrzenie. - Poza tym Sophie i ja pragniemy odrobiny intymności. Rozumiecie to, mam nadzieję, same kiedyś też byłyście świeżo po ślubie.

Dora zaczerwieniła się i skinęła głową, ale Fan tylko zacisnęła wargi w wąską linię, co potwierdziło jego domysły, że jej zmarły mąż nie był czułym Romeo.

- Żałuję - powiedziała - ale nie przekonałeś mnie. Nie uwierzyłam w tę historię o długiej korespondencji między tobą a... a...

- Moją drogą żoną - podsunął jej, czując się jak w latach dzieciństwa.

- Twoją żoną. Jestem do tego sceptycznie nastawiona.

Będzie musiał wytoczyć ciężkie działa. Wbił wzrok w Fan, obdarzając ją spojrzeniem, które przez lata praktykował na niesubordynowanych kapitanach.

- Zaakceptuj to - oznajmił z naciskiem. - Wielokrotnie usiłowałem ci uzmysłwić, że nie jestem zainteresowany żadną z pańien, którą usiłowałaś postawić na mojej drodze, i że potrafię sam znaleźć żonę. Obwiniasz mnie, że nie powiedziałem ci o moim... o mojej długoletniej bliskiej więzi z Sophie. Uważam, że każdy mężczyzna ma prawo do prywatności. - Trudno było to wyjaśnić bardziej dosadnie. Wstał, podszedł do bufetu i nalał herbaty do czystej filiżanki. - Zaniosę herbatę żonie. Proszę was o to, żebyście dały nam spokój przez kilka tygodni. Chcielibyśmy spędzić je tylko we dwoje.

Zrobiło mu się przykro, że uraził uczucia sióstr. Spojrzał na nie raz jeszcze i uprzytomnił sobie, jak się nim opiekowały, chociaż wszyscy troje byli niedojrzali, gdy zmarła ich matka. To był ciężki okres i zrobiły wiele, żeby nie było mu ciężko na sercu.

- Potrzebujemy trochę czasu - dodał łagodnie. - Kiedy przyjedziecie znowu, będzie więcej służby, lepsze jedzenie i gorąca woda na każde żądanie. Moje drogie, po prostu nie jesteśmy gotowi na przyjmowanie gości. Tylko tyle.

Dora skinęła głową i zerknęła na Fan, która wciąż siedziała z kamienną twarzą. Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale rzuciwszy ukośne spojrzenie na starszą siostrę, zamknęła je z powrotem, jak zwykle nie chcąc mieć odmiennego od niej zdania. Charles czekał na jakiś znak zrozumienia z ich strony, ale ponieważ nic takiego nie nastąpiło, wyszedł.

Dobrze, że herbata nie ostygła. Stał przez chwilę przed drzwiami swojego pokoju, zastanawiając się, czy zapukać i w końcu zdecydował się zastukać nadgarstkiem.

- Wejdz. Nie powinienesz robić ceremonii przed otwarciem własnych drzwi - usłyszał głos Sophie.

- Przyniosłem ci herbatę - wyjaśnił. - Wszystkie ręce na pokład. Mnie czasem przydałyby się dwie.

Usłyszał jej lekkie kroki. Z rozjaśnioną twarzą stanęła w progu.

- Dzisiejszego ranka też zamierzasz mnie rozpieszczać?

- Może ustanowimy taki zwyczaj - odparł, patrząc, jak żona wchodzi z powrotem do łóżka. Zarys jej bioder pod spraną koszulą przyciągnął jego wzrok.

Odsunęła się od brzegu łóżka, aby i on mógł usiąść.

Poklepała dłonią materac i przyciągnęła kolana do piersi. Charles usiadł i podał jej filiżankę. Podziękowała mu uśmiechem, od którego serce zabiło mu żywiej w piersi. Upiła łyczek i powiedziała:

- Liczyłam na to, że przyniesiesz mi herbatę. - Nie zarumieniła się po tym wyznaniu.

- Mam nadzieję, że nie zmęczył cię mój niespokojny sen.

- Kiedy byłam młodsza i o wiele głupsza, przeczytałam kiepską powieść, której bohater rzucał się i krzyczał przez sen, a także lunatykował i w rezultacie wylądował na parapecie jakiegoś zamczyska, gotowy skoczyć. Ty tylko mamrotałeś coś i usiłowałeś usiąść. - Dotknęła jego nadgarstka. - Z pewnością miałeś więcej traumatycznych przeżyć, niż sięga wyobraźnia pisarki powieści dla kobiet. Historie, które wczoraj opowiedziałeś siostrze, prawdopodobnie nie należą do najbardziej drastycznych. Jak sądzę, wybrałeś te wydarzenia, które uznałeś za odpowiednie dla kobiecych uszu.

- To prawda. Wątpię, czy nawet ty zniosłabyś opis skutków upadku masztu podczas bitwy albo opowieść o tym, co się działo, gdy twój mąż, gdy jeszcze miał obie dłonie, płynął pod wodą w morzach, gdzie spotyka się rekiny. Dość niezwykle przebiegała moja kariera. - Patrzyła na niego z namysłem, skoncentrowana tak mocno na tym, co mówił i na nim samym, że znów poczuł się pochlebiony. - O co chodzi, Sophie?

Kiedy zadał to pytanie, zdał sobie sprawę z tego, że coś zmieniło się w ich wzajemnych relacjach. Nie był pewien, czy ona jest tego świadoma. Czuł się tak swobodnie w towarzystwie kobiety, którą ledwie znał, jakby od dawna pozostawali w przyjaźni. Jej oczy były jak bezkresny ocean, który stał się jego domem i po którym mógłby bezpiecznie żeglować.

- O co chodzi? - powtórzył pytanie.

- Wiem, co ci zapełni czas - powiedziała i oparła podbródek na podniesionych kolanach, wciąż wpatrując się w niego intensywnie. - Twoje pamiętniki.

Ostatnie, o czym myślał, siedząc tak blisko żony, to jakieś idiotyczne pamiętniki.

- Kto, u diaska, chciałby czytać coś takiego?

- Twoi ludzie, każdy Anglik, który ma choć trochę ikry, ja. Chciałabym je przeczytać. Bardzo bym chciała. - Wyprostowała nogi i ujęła go pod ramię. - Pomogę ci. Możesz mi je dyktować.

- Droga żono, nie poddajesz się.

Powiedział to cicho i łagodnie, i, niewiele myśląc pocałował Sophie. Miała delikatne, miękkie wargi, tak jak się spodziewał. Wysunęła rękę spod jego ramienia, ale tylko po to, żeby położyć ją na jego karku, i odwzajemniła pocałunek. A potem oparła się o poduszki, pociągając go za sobą. Westchnęła, gdy pocałunek się skończył, ale nie wypuściła go z objęć, póki nie rozległo się pukanie do drzwi. Zostały natychmiast potem otwarte i Charles usłyszał, jak żona bierze głęboki oddech.

Starkey stał w progu, wyraźnie zszokowany. Przez ułamek sekundy na jego twarzy pojawił się wyraz złości i pogardy. Admirał też wziął głęboki oddech, niepewny, czy rzeczywiście zobaczył to, co zobaczył, czy tylko tak mu się wydało.

- Admirale. - Kamerdyner przytknął drzwi i odwrócił wzrok. - Zwykle o tej porze pomagam panu założyć protezę.

Zakłopotana Sophie, z twarzą oblaną rumieńcem, usiadła wyprostowana i zacisnęła usta. Brighta rozzłościła bezceremonialność Starkeya.

- Rzeczywiście zawsze mi pomagasz - powiedział, mając nadzieję, że jego głos nie brzmi jednak zbyt opryskliwie. - Ustalmy od dzisiaj, że już nie jest to twój obowiązek chyba że cię specjalnie zavezwę. Pukaj i zaczekaj, aż ci pozwolę wejść, na litość boską!  
- Jakoś to później załagodzę, pomyślał, patrząc na urażoną twarz Starkeya, gdy zamykał za sobą drzwi. - Nie chciałem tego - zwrócił się do żony. Wstał, nie śmiąc spojrzeć jej w oczy. - Mówiłem przecież, że to małżeństwo tylko na papierze. - Nagle poczuł złość na samego siebie. Dlaczego to zabrzmiało tak szorstko?

- Tak, mówiłeś - potwierdziła cicho. - Przepraszam.



- Nie masz za co przepraszać.

Wiedział, że uraził jej uczucia, bo unikała jego wzroku.

- Ubiorę się i za chwilę wyjdę - powiedziała.

Charles zapatrzył się w ogień płonący na kominku.

Chciałby, żeby w domu nie było nikogo poza żoną. Tym czasem na dole znów pracowali robotnicy, przesuwali rusztowania, malując sufit. Na strychu słychać było nawoływania cieślów, walących w przegniłe deski. Siostry krążyły gdzieś w pobliżu, gotowe obrazić się pod byle pretekstem. Sophie wyszła po cichutku. Doszedł do jego uszu szelest spódnicy, a kiedy odkręcił się, zobaczył tylko jej plecy, gdy zamykała za sobą drzwi.

- Jestem kompletnie stuknięty - zadeklarował drzwiom.

Pomyślał o czasach, gdy siedział za biurkiem w swojej kajucie, zastanawiając się nad zasięgiem rażenia dział, wskazaniem instrumentów nawigacyjnych, pozycją okrętów, niedostatkiem żywności, racjonowaniem wody, położeniem nieprzyjaciela, zdrowiem załogi - nad tym wszystkim, co zajmowało jego umysł każdego dnia wojny. Teraz wszystkie myśli dotyczyły kobiety - nieznanego łądu dla mężczyzny, który pływał po morzach.

Nie liczył na to, że odwzajemni jego pocałunek. Biorąc pod uwagę, ile dni razem spędzili, nie znał jej wcale, lecz instynkt go nie mylił. Nie zawiódł go nigdy przez dziesięciolecie trwania wojny. Nie popełniłem pomyłki w jadalni zajazdu, pomyślał. Nie spodziewałem się jednak, że ta kobieta tak szybko mnie zawojuje. Sophie Bright, poślubiłaś idiotę, jednak wciąż instynktownie wyczuwam, w jakiej pozycji względem siebie znajdują się dwa okręty. Nie mogę przegrać. Zaczął się ubierać i zdał sobie sprawę z tego, że skoro żona wyszła, musi wezwać na pomoc skwaszonego Starkeya. Przeprosi go i zaczną od początku.

Mimo wszystko czegoś nauczyłem się dzisiejszego ranka, doszedł do wniosku admirał. Podeszedł do dzwonka i pociągnął za sznur, gdy usłyszał głośny odgłos zamykania frontowych drzwi. Jeszcze nie trzaśnięcie, ale prawie. Wyjrzał przez okno i zobaczył swoją drogą żonę, idącą energicznie po zachwaszczonym podejździe. Trzymała w ręce książkę, ale jego wzrok przykuła raczej kołysząca się na boki przy każdym kroku spódnica.

- A więc idziesz poczytać Rywce Brustein - powiedział w ślad za jej znikającą sylwetką. - Sprytnie. Wróć, kiedy się uspokoisz. Moje siostry do tego czasu odjadą, a przynajmniej taką mam nadzieję. Będę mógł uznać tę bitwę za zakończoną.

## Rozdział trzynasty

Zwolniła kroku, kiedy zbliżyła się do dworu Brusteinów. Wciąż była zawstydzona, ponieważ Starkey ich przyłapał. A może dlatego, że chętnie odpowiedziała na pocałunek? Andrew był szczupłym mężczyzną, niemal kruchym, zwłaszcza w ostatnich miesiącach, gdy przechodził horror przesłuchań w admiralicji. Obejmować mężczyznę takiego jak jej obecny mąż... to całkiem inne wrażenie. Był wyższy i mocniej zbudowany. Sprawiało jej przyjemność czuć na sobie nacisk jego szerokiej piersi, gdy się do niej mocniej przytulił. Przyłożyła dłonie do rozpalonych policzków. Sophie Bright, powiedziała sobie w duchu, podziękuj niebiosom, że nie przytuliłaś się do niego i nie spałaś w jego ramionach!

Natura ich związku została ustalona, kiedy siedzieli na ławce w kościele Świętego Andrzeja i przyszły mąż jasno określił granice, które nie powinny zostać przekroczone. Owszem, pogłaskała go po plecach i karku, gdy męczył go koszmarny sen, ale zrobiłby to każdy, chociaż trochę wrażliwy.

Zamknęła oczy, broniąc się przed uczuciami, jakie wywołał w niej ten spontaniczny pocałunek. Charles działał pod wpływem impulsu, co do tego nie żywiła wątpliwości. Tylko dlaczego, u licha, ona tak skwapliwie się odwzajemniła? Jedyne, co w tamtym momencie miała w głowie, to rozwiązać pasek znoszonego szlafroka męża i zdjąć mu koszulę.

Spróbowała spojrzeć na to chłodno, racjonalnie. Od ponad pięciu lat nie zaznała odprężenia w ramionach mężczyzny. Przez ostatni rok przedwcześnie zakończonego życia Andrew był zbyt pochłonięty tym, co go spotkało, aby szukać u niej pocieszenia. Czy teraz jest spragniona kontaktu z mężczyzną, czy pożąda Charlesa?

- Jesteś idiotką, Sophie - skarciła sama siebie cichym głosem.

Przebiegła drogę i poszła wypielegnowanym podjazdem w kierunku dworu Brusteinów. Tak samo jak poprzednio kot wylegiwał się we frontowym oknie. Zapukała do drzwi. Tym razem gospodyni uśmiechnęła się na jej widok, a Jakub Brustein ucieszył się jak dziecko, gdy usłyszał, że przyszła poczytać jego żonie.

- Oboje mieliśmy wielką nadzieję, że mówiła pani serio, gdy to zaproponowała - powiedział, prowadząc ją po schodach. - Czy pani mąż jest zajęty?

Poinformowała starego dżentelmena o wizycie sióstr.

- Odkąd przeszedł na emeryturę, próbują zorganizować mu życie. Podejrzewam, że usiłuje w delikatny sposób skłonić je do wyjazdu.

- A pani uznała, że zrezygnuje się usunąć z pola widzenia?

- Uważają mnie za niepożądanego intruza - wyjawiała Sophie, ścisząc głos, bo właśnie weszli do pokoju Rywki Brustein.

- Krewni! - Położył dłoń na sercu. - Kto ich nie ma? - Podszedł do łóżka i dotknął policzka żony. - Rywko, kochanie, spójrz, kto przyszedł ci poczytać.

Siedział z nimi kilka minut, a gdy żona machnęła lekko dłonią, pokazując mu, aby je opuścił. Uśmiechnął się promiennie, rzucił Sophie porozumiewawcze spojrzenie i wyszedł.

Pani Brustein zwróciła się do swojego gościa.

- Moja droga, jeśli zostawi pani tę książkę tutaj, wieczorem poczyta mi stary, wierny Brustein. - Splotła dłonie. - Dopóki pani tu jest, proszę czytać.

Sophie nie potrzebowała dalszej zachęty, żeby zabrać się do lektury ulubionych wierszy. W pewnym momencie zamilkła, widząc, że pani Brustein leży z zamkniętymi oczami. Stara kobieta odezwała się po dłuższej chwili, lecz nie otworzyła oczu:

- Czasem powieki mi same opadają, ale słucham. Sophie otworzyła tomik na chybił trafił i przeczytała:

- *„Kiedy przysięga, iż z prawdy jest cała, wierzę jej chętnie, choć wiem, że kłamie”\**.

\* Sonety, William Szekspir, PIW, 1964 r., przekład Konstanty Piotrowski, (przyp. tłum.).

Przecież to o mnie, pomyślała, przełykając łyżę, zadowolona, że pani Brustein zamknęła oczy. Nie doceniła starszej damy, która uniosła powieki i ujęła ją za nadgarstek.

- Ptaszyno, o co chodzi?

Rozbrojona uprzejmością i dobrocią starej kobiety, Sophie otworzyła przed nią serce. Zaczęła swoją opowieść od zawarcia małżeństwa dla pozorów i wyznała, jak omal wszystkiego nie zepsuła dzisiaj rano, całując admirała. Nie powiedziała wszystkiego, pominęła najsmutniejszą część, uznawszy, że lepiej nie mówić o samobójstwie Andrew. Już samo ujawnienie, że admirał zawarł małżeński kontrakt z opuszczoną przez wszystkich wdową bez grosza przy duszy, było wystarczająco trudne.

- Pani Brustein, już nie dotrzymałam warunków umowy, a to dopiero początek!

- Sophie... Mogę tak mówić?

- Ależ oczywiście. Jeśli mogłaby pani coś mi doradzić...

- Moja kochana, nie widziałam twarzy Jakuba do momentu, gdy uniósł welon podczas ceremonii ślubnej. Czy się bałam? Tego możesz być pewna. Czy go pokochałam? - Zmarszczyła się zabawnie i Sophie uśmiechnęła się. - Mamy czterech synów i dwie córki... oby im się wiodło, a on wciąż śpiewa mi wieczorami, jeśli go o to poproszę. Jakub ma przepiękny głos. Czy admirał to dobry człowiek?

- Bardzo - odparła bez wahania Sophie. - Mógłby zawrzeć znacznie korzystniejszy mariaż. - Poczwała, że znów się czerwieni. - Od początku jasno postawił sprawę: to małżeństwo na papierze.

Rywka Brustein zdobyła się na coś w rodzaju wzruszenia ramion.

- Zazwyczaj mężczyźni nie widzą potrzeby, żeby się zmieniać, więc to nasz kobiecy sekret, jak skłonić ich do tego. My nauczyliśmy się kochać siebie nawzajem - wyznała niemal tęsknie - i teraz żałuję, że niewiele lat nam pozostało. - Dotknęła dłoni Sophie. - Nie marnuj czasu!

Bardzo trafne słowa, uznała rozemocjonowana Sophie, zmierzając do domu. Szybko wylała sobie kubek zimnej wody na głowę. Nie może zapominać, że są dwojgiem racjonalnie myślących ludzi, którzy zawarli nie tyle małżeństwo, co pewien układ - ona szukając ucieczki przed nędzą, a on przed wścibskimi siostrami. Musi przestać przywiązywać wagę do sposobu, w jaki Charles Bright uśmiecha się, gdy na nią patrzy, zapomnieć

o swoim podziwieniu dla szybkości, z którą on podejmuje decyzje i zmierza do celu, nie oglądając się z żalem za siebie. Wiedziała, że to właśnie cechuje silnego przywódcę.

Poprowadzisz mu dom i pomożesz pisać pamiętniki, powiedziała sobie, wchodząc na zachwaszczony podjazd i natychmiast musiała przywołać całą swoją wytrwałość. Robotnicy kręcili się po dachu, jeden z nich wychynął z dziury przy kominie, potem drugi, wyglądali jak stado kosów. Kiedy tak stała z uniesioną głową, usłyszała brzęk tłuczonego szkła.

- Istny dom wariatów - stwierdziła.

W holu natknęła się na Starkeya, który oznajmił:

- Malarze zwalili rusztowanie na drzwi do ogrodu. Siostry admirała znikły.

- Co nie znaczy, że Charles je zastrzelił, mam nadzieję.

- Chyba powinienem panią ostrzec - dodał, patrząc z ukosa - że nie ma pani w nich sprzymierzeńców.

Ani w tobie, pomyślała Sophie.

- Od początku było to aż nadto widoczne. Zaprosimy je do nas później, kiedy dom zostanie doprowadzony do porządku. Może wtedy wybaczą mi, że wkroczyłam na ich terytorium i zmonopolizowałam ich brata.

- Jeśli w ogóle przyjadą - oświadczył ponuro, skłonił się i odszedł, postukując drewnianą nogą.

Wciąż wygląda jak pirat, ale teraz jak urażony pirat, pomyślała. Nie znosi mnie, bo uważa, że zajęłam jego miejsce u boku admirała. Ruszyła na poszukiwanie męża. Zajrzała do salonu, gdzie malarze spojrzeli na nią z poczuciem winy. Rzeczywiście zwalili rusztowanie na drzwi balkonowe. Wycofała się z westchnieniem.

Znalazła admirała w bibliotece. Stał na drabinie i zrzucał książki z półek na podłogę. Część małych rzeźb zdążono już pozakrywać, na widok tych, które pozostały, wymknęło się jej głośnie „ach!”.

- Próbowałem je odwrócić tyłem, ale z każdej strony są szokujące - powiedział, rzucając kolejny tom na stertę. Pokazał na półki. - Mam wrażenie, że lord Hudley kupował każdą książkę zabronioną przez Watykan. Sophie, kochanie, czy nie lepiej spalić ten dom?

Odczuła pokusę, żeby powiedzieć „tak”. Powstrzymało ją to, że zwrócił się do niej per kochanie, chociaż w pobliżu nie było sióstr, którym trzeba zamydlić oczy. Pomyślała o młodej, przestraszonej Rywce Brustein, patrzącej na równie wystraszonego Jakuba, unoszącego jej welon. Usiadła na kanapie. Była miękka, wygodna, pokryta aksamitnym w dotyku materiałem.

- Nie. Cudowna kanapa. Dobrze się na niej siedzi, więc nie mogę się zgodzić na spalenie domu. Poza tym z okna masz widok na ocean, dla którego kupiłeś to obrzydliwstwo. Charles, stanowczo nie powinieneś zniechęcać się... - z salonu doszedł ich kolejny łomot - drobnymi trudnościami.

- Sophie, straciłaś rozum - powiedział z przesadną troską, schodząc z drabiny. - Za przyczyną tego domu czy wizyty moich sióstr... nie wiadomo.

Usiadł na kanapie i podskoczył lekko, jakby ją wypróbował. Odwróciła głowę, żeby skryć uśmiech.

- Rzeczywiście wygodna. Dobrze, zatrzymajmy ten dom.

Spojrzeli jedno na drugie. Sophie odezwała się o ułamek sekundy później niż Charles.

- Powinnam cię przeprosić...

- Proszę, nie wracajmy...

Umilkli, wciąż się w siebie wpatrując. Nie boję się tego, co powiesz, pomyślała Sophie i nie spuściła wzroku.

- Proponuję, żebyśmy nie wracali do tego, co się dzisiaj rano wydarzyło. - Charles zmarszczył brwi. - Rozpoznaję tę twoją sceptyczną minę.

- Ja też uważam, że tak będzie najlepiej.

- Zatem przymknijmy na to oko. Moje siostry wyjechały. Obiecałem zaprosić je na Boże Narodzenie albo gdy dom będzie gotowy, zależnie od tego, co nastąpi szybciej. Na dole lekarz bada Vivienne.

Sophie zerwała się na równe nogi.

- Powinnam być przy niej.

- Tak. Nie ma potrzeby przeskakiwać po dwa stopnie naraz. Służba też przyjechała. Panna Thayn pewnie jej asystuje.

- To dobrze.

Kiedy Sophie weszła do pomieszczeń służby, panna Thayn siedziała z Vivienne w holu. Początkowo jej nie zauważyły, więc przyjrzała się im obu, zadowolona, że guwernantka poświęca uwagę dziewczynce, która siedziała ze wzrokiem wbitym w stół. Lekarz układał przyrządy w czarnej torbie medycznej. W pewnym momencie popatrzył na Sophie.

- Zapewne lady Bright?

- Pani Bright wystarczy - odparła, nagle zawstydzona obecnością przysłuchującej się służby. Rozejrzała się wokół i zdała sobie sprawę, że nigdy nie widziała tylu służących naraz.

- Witajcie w posiadłości admirała Brighta. - Miała nadzieję, że nie zabrzmiało to tak, jakby mała dziewczynka odgrywała rolę pani domu. - Trochę trudno się w nim jeszcze mieszka, ale jesteśmy zadowoleni z waszej obecności. - Spojrzała na Starkeya. - Jak sądzę, poznaliście już Starkeya. On tu wszystkim kieruje. - Popatrzyła po ich twarzach i z każdej wyczytała tylko gotowość do usług. - Odwróciła się do lekarza. - Czy moglibyśmy porozmawiać na górze?

Skinął głową, pogłaskał Vivienne po głowie i poszedł za Sophie do głównego holu. Przeprosiła go, że nie ma w tej chwili w domu odpowiedniejszego miejsca, w którym mogłaby go wysłuchać.

- W jakim stanie znalazł pan moją pomywaczkę?

Miał dobroduszny, ojcowski sposób bycia, z pewnością przydatny dla lekarza domowego. Z przykrością zobaczyła, jak jego twarz poważnieje i przybiera surowy wyraz, daleki od wyrozumiałości.

- Była wykorzystywana.

- Biedne dziecko... tak właśnie podejrzewałam.

- Rzeczywiście biedne - zgodził się.

- Czy można coś zrobić?

- Proszę ją dobrze karmić i traktować łagodnie. Dla tego dziecka to nowość. Nie wątpię, że tu będzie otoczona opieką. Nie potrafię pani powiedzieć, jaki to będzie miało długofalowy skutek, ale bądźmy dobrej myśli. - Podeszedł do drzwi, otworzył je, i na od-

chodnym, dodał: - Nie ma sensu wysuwać oskarżenia pod adresem właściciela gospody. Zaprzeczy. Pozostaje robić swoje i liczyć na poprawę. Jeśli chciała pani dochodzić za-  
dośćuczynienia na drodze prawnej, przykro mi panią rozczarować, lady Bright.

Biorąc pod uwagę proces męża, niczego innego nie spodziewałam się po angielskim wymiarze sprawiedliwości, pomyślała.

- Nie oczekiwałam zbyt wiele, ale doceniam pańską troskę.

Skłonił się i Sophie została sama. Usiadła i nawet nie usiłowała powstrzymać łez, które zaczęły ściekać jej po policzkach, niepewna, czy płacze nad wykorzystanym niewinnym dzieckiem, czy z powodu swojej niewiary w działanie prawa.

Poczuła czyjaś dłoń na ramieniu, a po chwili zobaczyła męża z książką wetkniętą pod pachę. Ukląkł obok jej krzesła.

- Za dużo tego wszystkiego, co?

Jak miło z jego strony, że zapytał. Otarła łzy i powtórzyła mu słowa lekarza.

- Twierdzi, że nie ma sensu wnosić oskarżenia wobec właściciela - powiedziała stłumionym przez chusteczkę głosem i znowu się rozpłakała.

Podniósł ją i posadził sobie na kolanach, siadając na jej krześle. Sophie pomyślała o swoim postanowieniu, że nie będzie uciążliwa dla męża, a potem przytuliła się do niego. W milczeniu głaskał ją delikatnie po głowie. Kiedy się już wypłakała, odsunęła się od niego i wydmuchała nos.

- Trudno sobie wyobrazić podobną okropność - powiedziała. - W dzień pracowała ponad siły, w nocy ją napastował. Nie ma sprawiedliwości na świecie.

- Niewiele - przyznał admirał. - Dzięki tobie dla Vivienne skończyły się złe czasy. - Pocałował żonę w czubek głowy. - Pewnie nie powinienem tego robić i jest to kolejna rzecz, na którą przymkniemy oko i nie będziemy do niej więcej wracać, ale wydawało mi się, że potrzebujesz całusa w czubek głowy.

Udało jej się roześmiać.

- Chyba tak. - Spojrzała na książkę. - Czy to jedyna z kolekcji lorda Hudleya, która nadaje się do czytania?

- Tak. Właśnie z tego powodu chciałem ci ją pokazać. - Podał ją jej. - Historia Republiki Rzymskiej. Podejrzewam, że kupił ją z powodu legendy o porwaniu Sabine, ale



z tego, co czytałem, nie było to aż tak ekscytujące. Wyobraź sobie, co za rozczarowanie dla starego rozpustnika. To będzie, droga żono, zaczątek naszej biblioteki. Zaczynij robić listę ulubionych książek. Statuy i popiersia właśnie znikają, więc możesz sporządzić swoją listę, siedząc w bibliotece.

- A co z książkami?

- Zwożą je na plażę. Dzisiejszego wieczoru będziemy się cieszyć potężnym ogniskiem. - Poruszył się i Sophie wstała z kolan męża. - Idę na dolny pokład, aby przywitać jak należy służbę, czyli wygłosić powitalną, zachęcającą mowę z rodzaju tych, jakie wygłaszałem wiele razy do podkomendnych. Ty zajmij się listą.

Zrobiła, co powiedział, siedząc na kanapie, którą uznała za wygodną, z notatnikiem na kolanach. Przyniesiono jej lunch, który składał się z aromatycznego, parującego bulionu ze sporą ilością grzanek oraz świeże owoce. Najwyraźniej Etienne zrekompensował im mizerne śniadanie, obliczone na skłonienie wścibskich sióstr do wyjazdu, a jego wyczyn kulinarny zdecydowanie podniósł Sophie na duchu. Z posiadłości lorda Brimleya przyszedł szklarz i wkrótce drzwi balkonowe zostały naprawione. Po zachodzie słońca malarze opuścili wyremontowany salon i Sophie spędziła dobrych kilka minut, kontemplując nieskazitelną biel sufitu. Po kłębowisku kupidynów w wyuzdanych pozach nie pozostało ani śladu. Z westchnieniem pomyślała, że zostało jeszcze sześć czy siedem pokoi do odnowienia.

Na kolację podano im ragout, zjedli je na tarasie zamiecionym do czysta przez jednego z lokai pod komendą Starkeya. Gotowa na każde skinienie pokojówka, niewiele starsza od Vivienne, stała przy drzwiach i sprawnie zabierała talerze od razu, gdy skończyli. Charles pogładził się po brzuchu.

- Sophie, musisz przyznać, że to miejsce nabiera wyglądu.

Otarła usta serwetką i kiwnęła głową czujnie patrzącej dziewczynie.

- Może powinnam posłać pannę Thayn do przytułku?

- Biedaczka! Co złego uczyniła? I to tak szybko?

- Żartowniś! Myślałam o tym, żeby znalazła nam jeszcze dwie ogólne pokojówki.

Charles skrzyżował ramiona i obrzucił żonę badawczym spojrzeniem, do którego zdążyła się przyzwyczaić.

- Etienne na pewno z przyjemnością wyszkoliłby jedną w sztuce kuchennej, a Starkey mógłby zrobić z drugiej pokojówkę zajmującą się prywatnymi pokojami.

- Taką jak ta, która z ogromną determinacją buszowała w bielizniarce? Przeszedłem szybko, bo odniosłem wrażenie, że zaraz zrobi spis ubrań, które mam na sobie.

- Tak, taką. Wydaje mi się, że z trudem znosi służbę u tak zaniedbanych państwa. Pomyśl, jak nasza pozycja wzrośnie, kiedy będziemy odpowiednio ubrani.

Wstrząsnął się z udanym przerażeniem.

- Nie przestaje mnie zdumiewać, jak skomplikowane jest życie na łądzie. Sądzisz, że potrzebujemy dwóch dodatkowych pokojówek, żeby pomóc pozostałym nas terroryzować?

- Nie, Charles, chciałabym wyciągnąć jeszcze dwie sieroty z przytułku.

- To dla ciebie ważne, prawda?

- Bardziej, niż możesz sobie wyobrazić.

Ujął jej dłoń i ucałował.

- Wybacz - powiedział.

Cienie wydłużały się na tarasie, nie dotknął jej już więcej, ale Sophie była w pełni świadoma obecności męża. To kolejna cecha, której nabył przez lata dowodzenia, uznała. Świadomie czy nie, a najprawdopodobniej to drugie, narzucał swoją obecność przez sam fakt, że był. Musiało to dawać poczucie bezpieczeństwa jego marynarzom.

Zmierzchało, kiedy jeden z podwładnych Starkeya przytknął pochodnię do stosu książek na plaży.

- Aha! - odezwał się admirał. - Chodźmy popatrzeć na ognisko. Lubię porządnie buzujące płomienie, oczywiście nie na moich okrętach.

Pomógł Sophie zejść po drewnianych stopniach na plażę, ale potem nie puścił jej ręki.

- To także pominiemy milczeniem - powiedział. - Piasek bywa zdradliwy...

Ognisko było imponujące. Sophie obejrzała się na dom i zobaczyła, że służący zgromadzili się na tarasie. Vivienne stała obok panny Thayn i podskakiwała, klaszcząc w dłonie. Sophie pokazała na nią gestem dłoni. Admirał uśmiechnął się i zauważył:

- Zdaje się, że mała zyskała opiekunkę. Sądzisz, że z panny Thayn będzie porządna garderobiana?

- Nie wiem, czy mi tak bardzo na tym zależy - przyznała uczciwie Sophie. - Cieszy mnie, że znalazła zatrudnienie. - Zrobiła kolejny gest ręką. - A ci mężczyźni, których namiętnieś?

Admirał przycisnął jej dłoń do swojej piersi.

- Nie odróżni żonkila od chwastu. Podobnie jak ty, nie wiem, czy to ważne. Zapomniałem ci powiedzieć, że ten zastępca zarządcy, którego lord Brimley był uprzejmy nam podesłać, zdaje się, Crowder, zgodził się, abym go oficjalnie zatrudnił.

- A Starkey?

- Będzie moim zaufanym sługą. Dałem Crowderowi wolną rękę w sprawie wyremontowania tego niedużego domu, który pewnie był przeznaczony dla wdowy po głównym właścicielu. Ma w nim zamieszkać. Stwierdził nawet, że nie przeszkadzają mu egipskie meble.

- A już myślałam, że wrzucisz szakale do ognia.

- Jakoś to wszystko zaczyna się układać, Sophie.

Usadowił ją na wyrzuconym przez morze pniu, z powodzeniem mogącym służyć za ławkę, a sam podszedł do Starkeya, stojącego u stóp drewnianych schodów. Zaczęli prowadzić ożywioną dyskusję, jej mąż wzmacniał argumenty gestami. Poczuli się nie-swojo, bo Starkey najwyraźniej spierał się z admirałem.

Być może potrzeba czasu, żeby ten człowiek się do mnie przekonał, pomyślała, lecz obawiam się, że to nastąpi na święty nigdy. Chociaż... wszystko jest możliwe. Wpatrzyła się w płomienie i tysiące iskier wzbijających się w niebo niczym puch dmuchawca.

- Fajny widok, co panienko? - usłyszała dochodzący gdzieś z bliska głos. - Gdzie w tym roku mam dać butelki?

Zerwała się na równe nogi i spojrzała na niechlujnego człowieczka z przepaską na oku, żującego prymkę tytoniu. Splunął siarczyście, prymka przeleciała koło ramienia Sophie i wylądowała w ognisku.

Tym razem nie musiała krzyczeć, wiedziała, co robić.

- Niech się pan z tym wstrzyma - odparła i zaczęła iść w kierunku męża, który odwrócił się i patrzył na nich. - Charles, mamy kolejnego gościa.

- Ćmy leć do ognia, panienczko. - Splunął do ogniska, pozbywając się resztek prymki. - Jestem handlowiec. Bądź grzeczna i wezwij swojego kochasia. Bądź porządną dziewczką.

## Rozdział czternasty

Sophie podbiegła do męża i objęła go ramieniem w pasie.

- I co? Na to też przymkniemy oko? - spytała.

- Jeśli ci na tym zależy, Sophie... - droczył się z nią. - A to co znowu za nędzna kreatura? Wygląda na to, że przyciągamy przedziwną menażerię.

Przytrzymując jej ramię, admirał podszedł razem z nią do ogniska.

- No proszę! - wykrzyknął na poły ze zdziwieniem, na poły z rozbawieniem. - Na moją głowę, Leaky Tadwell! Myślałem, że dawno cię powiesili. A powinni.

Sophie szarpnęła męża za ramię.

- Znasz tego człowieka?!

- Mogę się do tego przyznać tylko przed najbliższymi mi osobami. Leaky Tadwell, Sophie, najnędzniejszy marynarz w całej flocie - przedstawił z nutą rozbawienia w głosie. - Masz kuter - stwierdził, spoglądając w kierunku brzegu. - Nie wątpię, że kradziony. Czemu zawdzięczamy twoje odwiedziny?

Niechlujnie wyglądający mężczyzna złożył wyszukany ukłon.

- Admirale Bright.

- We własnej osobie. Nie martw się, moja droga. - Charles pocałował żonę w czubek głowy. - Jesteśmy bezpieczni i przy zdrowych zmysłach.

Tadwell wyprostował się, uniósł dłoń do czoła i szarpnął kosmyk tłustych włosów, który wymknął się spod czapki, jaką noszą dokerzy, tak starej, że wyglądała jak przyrośnięta do jego czaszki.

Bezpieczna w ramionach męża - sama nie widziała, kiedy objął ją obiema rękami i przytulił - Sophie przyglądała się mężczyźnie. Z jego twarzy znikł wyraz zaskoczenia, patrzył podejrzliwie.

- Chwileczkę, admirale. Gdzie jest lord Hudley?

- Odszedł, Leaky.

Oberwaniec zerwał z głowy czapkę i przeciągnął nią po twarzy, rozsiewając tak intensywny zapach niemytych włosów, że Sophie się wstrząsnęła.

- Co zrobił! Czekam tutaj od dziesiątego na ognisko, a on sobie wziął i poszedł? - Zerknął na Sophie. - Ale co pan tutaj robi, obściskując dziwkę, admirale? Podobno był pan wzorem we flocie.

- Jestem jego żoną, ty żaloszny, potworny worze starych kości! - zawołała oburzona Sophie.

- Uwielbiam, kiedy tak grasejujesz - powiedział admirał. - Proszę cię, powtórz to!

- Straciłeś rozum!

- Skądże. „Potworny worze starych kości”. Proszę, Sophie!

Wybuchła śmiechem, co miało taki efekt, że Tadwell cofnął się o krok i zmierzył ich oboje podejrzliwym spojrzeniem.

- Coś tu jest nie tak - powiedział. - Gdzie jest stary lord?

- Leaky, odszedł na zawsze. Umarł. Wyzionął ducha. Kupiłem tę nieszczęsną posiadłość kilka miesięcy temu.

- Nie wiedziałem...

Stali przez chwilę, wpatrując się w siebie, aż w końcu Sophie przerwała milczenie:

- Dlaczego dziesiąty czerwca jest ważny i po co pan się tutaj znalazł?

O mało znów się nie zaczęła śmiać, gdy Tadwell rozłożył szeroko ramiona dramatycznym gestem. Rzucił admirałowi urażone spojrzenie.

- Jak mnie bez pardonu i bez świadectwa pracy wyrzucili z marynarki, zacząłem szmugłować towar z Francji.

- Świadectwo pracy? Ty stary obwiesiu! Kiedy ostatni raz o tobie słyszałem, zostałeś wychłostany i zostawiony w Montevideo, żebyś szczeł.

- Zaopiekował się mną pewien szlachetny ksiądz. Zrobiłem się religijny. - Spojrzał na Sophie i dodał niemal porozumiewawczym tonem: - Człowiek musi zarabiać na życie.

- Czy dobrze rozumiem, panie Tadwell... - zaczęła.

- Po co tak oficjalnie. Leaky - przerwał jej.

- Dobrze, Leaky. Przemyca pan do Devonu francuskie wino. Gdy płonęło ognisko na plaży przy posiadłości lorda Hudleya, to był sygnał, żeby dostarczyć trunki na do-  
roczne bachanalia?

Kiwnął głową i spojrzał chytrze na admirała.

- Jest pani ociupinę bystrzejsza od męża. Co roku tak było, tylko nie takie duże.

- Bachanalia skończyły się raz na zawsze. Wojna też. Nie musisz niczego przemy-  
cać, stary łajdaku.

- Może lubię dreszcz emocji, admirale - oświadczył tonem pełnym godności.

Bright przesunął lekko Sophie, tak by spojrzeć jej w twarz.

- Czy zdążyłaś zajrzeć już do piwniczki na wino, żono? Jesteśmy w potrzebie?

Kąciki ust drgnęły jej w powstrzymywanym uśmiechu.

- Wnoszę, że tak, skoro moja ukochana jest niezdolna wypowiedzieć słowa.  
Wszystko w porządku, kochanie. Nie zwracaj sobie tym głowy. Poproszę tego starego  
pijaka, żeby zostawił nam to, co przywiózł dla Hudleya. Zapłacę mu nawet, chociaż po-  
winieniem zaalarmować służby celne.

- Nie ma potrzeby, admirale - zaprotestował skwapliwie. - Lord Hudley zawsze  
płacił z góry.

- Najwyraźniej miał do ciebie większe zaufanie niż ktokolwiek w Królewskiej Ma-  
rynarce. Zdumiewające.

Tadwell uśmiechnął się i Sophie wstrząsnęła się z obrzydzenia na widok drobin ty-  
toniu przyczepionych do jego nielicznych zębów.

- Niech pan tylko wskaże, gdzie mam je zanieść, a zrobię to, nim się pan obejrzy.

- Widzisz tego człowieka? - Bright pokazał ręką. - Tego z drewnianą nogą. Sto ra-  
zy lepszego marynarza, niż tobie mogłoby się zamarzyć. To Starkey, powie ci, gdzie  
masz je złożyć.

- Przyjemnie robić z panem interesy. - Tadwell potwierdził tę konstatację skinieniem głowy, a potem skłonił się, tym razem dość niedbale. - Pani admirałowo, nic złego nie miałem na myśli, nazywając panią dziwką.

Czując się całkowicie bezpieczna w ramionach męża, Sophie obserwowała, jak na plaży pojawiają się umieszczone na podściółce ze słomy butelki. Starkey wezwał posiłki i wkrótce wino wniesiono do domu. Kiedy ostatnia butelka została podjęta z piasku, Tadwell dotknął czapki, salutując Sophie, w kilka minut postawił żagle i kuter znikł w ciemnościach. Admirał patrzył, jak odpływa, a potem zwrócił wzrok na dogasający ogień.

- Całe szczęście, że nie planujemy kolejnego ogniska. Strach pomyśleć, kto jeszcze mógłby zjawić się na plaży. - Uderzył się hakiem w pierś. - Zupełnie nie bawi mnie myśl o możliwych wizytach wszystkich Tadwellów tego świata.

Podeszli powoli do drewnianych schodów i wrócili na taras, gdzie wciąż była część służących, a także panna Thayn z Vivienne.

- Lady Bright, czy mam pani pomóc przygotować się do snu? - spytała guwernantka.

- Nie. - Sophie potrząsnęła głową. - Panno Thayn, jutro usiadziemy razem i zastanowimy się nad tym, jakie będą pani obowiązki. Na razie moja garderoba nie wymaga zabiegów. Czy mogę liczyć na to, że dopilnuje pani, aby wszystkie kobiety ze służby miały gdzie spać?

- Oczywiście, może pani na mnie polegać. Niech mi wolno będzie życzyć pani dobrej nocy.

W sypialni Sophie zastała duży mosiężny dzban z gorącą wodą i aż westchnęła z przyjemności. Wszelkie ślady po wizycie Fan znikły, wszystko zostało uprzątnięte natychmiast po jej wyjeździe. Wywołało to następne westchnienie z przyjemności, ale zaraz skarciła się za nie w duchu. Stanowczo zbyt wygodnie zaczynało jej się żyć w tym małżeństwie. Kiedy włożyła szlafrok i starannie odwiesiła znoszoną suknię, poczuła się nagle lekko zagubiona.

Usiadła w fotelu stojącym przy kominku i nasłuchiwała śmiechów młodych służących, wchodzących po schodach do przeznaczonych dla nich nędznych pokoi pod da-

chem. Charles powiedział, że robotnicy powinni jutro wyreperować dach i zabiorą się do odnawiania kwater służby. Bez trudu się ze sobą dogadały, ledwie po jednym dniu spędzonym w ich domu. Widziała je wszystkie przelotnie, ale rzucając na nią ukradkowe spojrzenia powiedziały jej wiele o tym, jaką ulgę przyniosło im to, że podjęły pracę. Dobrze знаła to uczucie i sprawiło jej satysfakcję, że chociaż kilkoro z tak wielu potrzebujących mogła pomóc. Wiedziała, że jej mąż czuł to samo, zatrudniając ludzi z doków.

Usłyszała jego kroki na schodach i pomyślała, jakie to dziwne, że tak szybko nauczyła się je rozpoznawać. Towarzyszył mu Starkey. Rozmawiali przyciszonymi głosami, roześmiali się i Sophie pozazdrościła Starkeyowi zażyłości z admirałem.

- Nie potrzebujesz mnie dzisiejszego wieczoru do pomocy przy zdejmowaniu protezy, Charlie - powiedziała cicho, wstając z fotela.

Lubiła ten moment, gdy przyszła pora uklęknąć przy łóżku i odmówić wieczorną modlitwę. Nabrała tego zwyczaju jeszcze w dzieciństwie, zachęcana przez matkę, która była prezbiterianką. Uklękła, ale tym razem nie wiedziała, o co się modlić. Oparła głowę o materac, zamknęła oczy i w końcu, gdy kolana zaczęły ją boleć, powiedziała „amen”.

Obudziła się śródkiem nocy. Usiadła na łóżku i uświadomiła sobie, że zapomniała zaciągnąć zasłon. Światło księżycy padało na łóżko. Podeszła do okna, wychyliła się i zaczerpnęła głęboko powietrza, a potem zaczęła śledzić grę świateł na oceanie.

Ściągnęła kapę leżącą w nogach łóżka i usadowiła się wygodnie na ławeczce w wykuszu, żeby patrzeć na wodę. Zastanawiała się, co powie rano pannie Thayn i jak sędzie na Starkeya - należało mu się to - prowadzenie domu. Natomiast ona zajmie się tym, czego oczekiwał Charles Bright - znajdzie mu zajęcie do czasu, aż sam będzie potrafił ostatecznie zdecydować, czy życie na łodzi jest dla niego. Był tylko jeden problem. Siedząc wygodnie w blasku księżycowego światła, syta, spokojna i nienękana przez nikogo, uświadomiła sobie, że żywi do admirała coś więcej niż tylko wdzięczność i szacunek. Rozpoznała to uczucie. To samo czuła, gdy poznała Andrew Daviessa, kiedy przyjechał z jej bratem, Malcolmem, do ich rodzinnego domu. Obaj studiowali na Uniwersytecie w Edynburgu. Obecnie jej brat mieszkał w odległym Bombaju, pracując dla Kompanii Wschodnioindyjskiej, a Andrew nie żył.



Sophie szybko się zorientowała, że zakochała się w Andrew. Zwykle rzeczy i codzienne czynności nabrały blasku. Zawsze praktyczna i konkretna, myślała tylko o tym, kiedy go znów zobaczy. Nie mógł do niej pisać, byłoby to wysoce niewłaściwe. Mogła tylko czekać na jego wizytę, aby przekonać się, czy i on darzy ją miłością. Liczyła na to, że on poczuł to samo, co ona, i przyjedzie ponownie. I tak się stało.

Opromieniona delikatnym blaskiem księżyca, Sophie rozpoznała miłość, chociaż była przekonana, że nigdy więcej jej nie zazna. Całe jej życie wywróciło się do góry nogami po śmierci Andrew. A kiedy umarł Peter, do końca patrząc na nią z wiarą, że mu pomoże, czuła się tak, jakby ktoś wręczył jej dziecięcą łopatkę, aby minuta po minucie, godzina po godzinie, przez dni, tygodnie, miesiące i lata, kopała własny grób. Stała się kobietą bez przyszłości.

Niespodziewanie znalazła się w całkiem innym punkcie. Robiła plany na przyszłość i zawdzięczała to mężczyźnie, który działał pod wpływem impulsu, znużony bezustannym nękaniami go przez siostry. Zdecydowanie nie da Charlesowi Brightowi powodów do żalowania tej impulsywnej decyzji, nawet jeśli nigdy nie okaże jej niczego poza dobrocią.

Nie słyszała, jak służące schodziły rano po schodach, i ledwie zarejestrowała w półśnie, że przyniesiono jej gorącą wodę. Obudziły ją dopiero jasne promienie słońca. Leżała na plecach, wpatrując się w sufit i ciesząc, że lord Hudley nie ozdobił go niczym poza gipsowymi zawijaszami.

Na górze rozległ się tupot ciężkich butów. To przemieszczali się mężczyźni, zatrudnieni do naprawy dachu. Charles prawdopodobnie jest już na tarasie, obserwując, jak służący rozgarniają popiół z wczorajszego ogniska. Zdała sobie sprawę z tego, jak lubi tę jego pozę, gdy stoi z rękami założonymi do tyłu, jakby wciąż dowodził z pokładu rufowego. Starkey obok niego, czeka na rozkazy. Nie powinna się spodziewać, że dzisiaj mąż przyniesie jej herbatę.

W tym momencie usłyszała kroki na schodach i serce zabiło jej szybciej. Nie łudź się, może to jakiś robotnik albo panna Thayn, gotowa poznać swoje nowe obowiązki. Wstrzymała oddech i wypuściła powietrze dopiero wtedy gdy rozległo się pukanie do drzwi.

W jednej chwili wyskoczyła z łóżka i otworzyła drzwi. Charles stał w progu, uśmiechając się na dzień dobry. Chciała zarzucić mu ramiona na szyję i nigdy nie pozwolić odejść, ale tylko zamknęła za nim delikatnie drzwi, wróciła z powrotem do łóżka i wygładziła kołdrę, którą na siebie natychmiast naciągnęła.

Admirał był ubrany. Postawił filiżankę na nocnym stoliku i usiadł na łóżku, tak jak poprzednio. Patrzył na Sophie i nie odezwał się dopóty, dopóki nie upiła łyka herbaty i nie pochwaliła, że jest dobra.

- Śpieszek z ciebie dzisiaj. Pokojówka powiedziała, że wciąż jeszcze spałaś, gdy przyniosła gorącą wodę. - Potargał jej włosy. - Będziesz się wałkonić?

- Nie spałam dobrze - broniła się.

- Ja też nie - przyznał, spoglądając przez okno.

- Martwisz się o postęp prac, które zleciłeś?

- Może to rzeczywiście jest powód - przyznał z westchnieniem. - Majster twierdzi, że byłoby dobrze wymienić dwa kominy. - Poklepał ją po nodze i Sophie nie była pewna, czy nie zrobił tego machinalnie. - Uważaj na głowę schodząc po schodach. Malują sufit w głównym holu Etienne chce ci pokazać menu na następny tydzień, a panna Thayn krąży niecierpliwie po salonie, gotowa zabrać się za każdą pracę, jaką jej zlecisz.

Siedziała nieruchomo. Dłoń męża wciąż spoczywała na jej kostce, bała się, że każdy ruch może mu to uzmysłwić i cofnie ją. O mały włos nie wyciągnęła ręki i nie pogłaskała go po twarzy.

- Co zrobimy z tymi wszystkimi służącymi? - spytała.

- Nie wiem. Zamkniemy dom i popłyniemy na Capri?

- Na łodzi czujesz się niespokojny?

- Tak, moja droga. Wiele bym dał, żeby w tej chwili znów być na pokładzie rufowym.

Tak, o to chodziło. Poruszyła lekko nogą i admirał się zreflektował.

- Przepraszam. Przymkniemy na to oko, prawda? Skinęła głową, ale nie uśmiechnęła się.

- Może nie powinieneś przechodzić na emeryturę?

- Najwyższy był na to czas. Skończyłaś pić? - Wyjął jej delikatnie filiżankę z dłoni i odstawił na spodek. - Widziałem mnóstwo krwi spływającej po pokładzie, najadłem się zapleśniałego chleba i napiłem zatęchłej wody, a także nawdychałem smrodu z zęb. Po dwudziestu latach wojny i niemal trzydziestu pięciu w marynarce miałem tego wszystkiego dosyć.

- Wątpię, czy jest w domu chociaż jeden pokój, którego okna nie patrzą na ocean.

- Upewniłem się, że tak jest. Kocham ocean, zawsze kochałem. Może jestem pełen sprzeczności niczym głęboko zraniona kobieta.

- Nie jesteś. Po prostu musisz zdecydować, co zrobić z resztą życia.

- To prawda. - Wstał z łóżka i stanął przy oknie. Patrzył stamtąd przez dłuższą chwilę, a potem znów usiadł na łóżku i wziął żonę za rękę. - Nie przypuszczałem, że przetrwam wojnę. Wątpię, czy ktokolwiek służący w wojsku na to w pełni liczył. Gdybym zginął, zostałbym razem z obciążeniem zaszyty w płótno żeglarskie z mojej koi i wrzucony do morza. - Przyłożył do policzka grzbiet dłoni Sophie. - Tylko Nelson był na tyle niewysoki, żeby jego ciało zmieściło się w beczce z brandy i zakonserwowane wróciło w niej na ląd. - Uśmiechnął się. - Zgódźmy się, że był pod każdym względem wyjątkowy. Coś się dzieje z mózgiem człowieka mającego świadomość, że sypia we własnej trumnie i poddanego codziennie bitewnej presji.

- Codziennie? - spytała łagodnie, nie chcąc mącić biegu myśli męża. Andrew nie rozmawiał z nią tak otwarcie i czuła się głęboko poruszona wyznaniem Charlesa. - Nawet gdy było spokojnie?

- Nawet wtedy. Marynarz siedzący w bocianim gnieździe wypatrywał zagli nieprzyjaciela, ale jako dowódca byłbym funta kłaków niewart, gdybym nie miał na wszystko baczenia. Żono, kiedy jest się odpowiedzialnym za całą flotę, konieczność zachowania czujności rośnie w postępie geometrycznym. Jak mógłbym o tym wszystkim zapomnieć?

Wiedziała, że nie będzie żałować tego, co za chwili zrobi, czy to będzie tylko ten jeden raz, czy wiele potem. Rywka radziła, że bym kierowała się odruchami serca, pomyślała, i delikatnie oderwała dłoń od jego policzka. Wstając, zobaczyła rozczarowanie w jego oczach, ale wiedziała, że nie zagości w nich na długo.

Podeszła do drzwi i przekręciła klucz w zamku. Przeszła bosymi stopami po dywanie z powrotem do łóżka, rozpięła koszulę i powoli upuściła ją na podłogę. Czowała, że twarz zaczyna jej płonąć, ale nie spuszczała wzroku z męża, badając, jak reaguje na jej nagość. Dotknęła jego głowy i zrobiła krok w jego stronę. Przytulił policzek do jej nagiego brzucha.

- Już dobrze, już dobrze - powiedziała cicho.

Spojrzał na nią po dłuższej chwili i zaczął rozpinać guziki koszuli, potem paski protezy.

- Pomóż mi. - Jego głos brzmiał prawie szorstko.

Usiadła obok niego i pomogła mu zdjąć koszulę, a potem nacisnęła zatrzask na szyi i uwolniła go z pasków przytrzymujących hak. Pomagając Charlesowi rozpiąć guziki spodni i wchodząc z powrotem do łóżka, Sophie myślała o tym, ile razy chciała pocieszyć Andrew i zaznać od niego pocieszenia, a on zawsze ją odtrącał. Kiedy wtuliła głowę w zagłębienie ramienia admirała, a on obwiódł palcami jej pierś, przestała myśleć o Andrew.

## Rozdział piętnasty

Czy gram na jej współczuciu? - zadał sobie w duchu pytanie Charles, obejmując żonę. Potrzebował tego, co najwyraźniej zamierzała mu ofiarować.

- To będzie miało konsekwencje, nie da się przymknąć oka - powiedział cicho z ustami tuż przy jej uchu.

- Proszę...

Nie potrafiłby się oprzeć temu „proszę”, wyszeptanemu wręcz ponagląco. Nie miał pojęcia, że kobiety są zdolne do takich uczuć. O męska ignorancjo! W wielu portach spotykał się z kobietami. Wszystkie były chętne, nie należał do mężczyzn wymuszających zbliżenie, lecz żadna z nich nie zainicjowała miłości.

Sophie była inna pod każdym względem. Kiedy zaczęła go głaskać, szepcząc słowa, które brzmiały w jego uszach niczym muzyka, wiedział, że chce rozładować jego podniecenie, wzorem żon witających marynarzy, powracających na ląd. Wyczuwał też potrzeby wdowy, która od pięciu lat nie miała do czynienia z mężczyzną. Wiedziała gdzie i jak go dotykać i przez moment pozazdrościł jej zmarłemu mężowi tych wszystkich lat z nią spędzonych. Późno dla mnie na tę ucztę, pomyślał, całując jej piersi. Dobrze, że w ogóle, zreflektował się...

Wiedział, że powinien zacząć od pieszczot, ale ledwie obwiodł językiem pierś, Sophie zaczęła się pod nim niecierpliwie wić. On też był gotowy. Kiedy ją wziął, usłyszał, jak głośno odetchnęła, po czym ciasno objęła go ramionami i nogami, dopasowując się do jego rytmu. Poddała mu się i już samo to rozluźniło Charlesa, a nie osiągnął jeszcze pełnego rozładowania. Tak jakby ofiarowując mu swoje ciało, przepędzała traumę lat wojny. Gdy oddech Sophie przyspieszył, a delikatne dłonie zaczęły przesuwac się po jego plecach, poczuł, jakby rzeczywiście skorupa żalu i zgrozy zaczęła się powoli kruszyć.

Nie był tak delikatny jak ona i jeśli miał jakieś skrupuły, to z powodu jej kruchości. Była zbyt szczupła jak na jego gust. Spróbował się unieść znad jej ciała i oprzeć na łokciach, ale za każdym razem obejmowała go ściślej, ściągając z powrotem na siebie. Skoro chciała czuć jego ciężar, zapomniał o skrupułach i kochał się z nią niestrudzenie, aż został nagrodzony jękiem, którego nie zdołała powstrzymać, wstrząsana falami rozkoszy.

Był doświadczonym, zdolnym się opanować mężczyzną. Począł, aż druga fala skurczów przeniknie jej ciało i zatracił się we własnym orgazmie, tak wyzwalającym, że poczuł łyzy pod powiekami. Było tak, jakby jego żona zaabsorbowała całe znużenie, przenikające jego ciało, przyjęła je na siebie.

Nie zwolniła uścisku i nie miał nic przeciwko temu. Całował jej włosy, wilgotne od potu skronie, półotwarte usta, aż wreszcie wtulił twarz w splecione włosy. Sophie lekko pachniała talkiem i Charles zaczął uwielbiać ten zapach.

- Mów mi, proszę, jeśli sprawiam ci ból - szepnął.

Nie odpowiedziała, skoncentrowana na swoich doznaniach. Wciąż poruszała się pod nim, więc zrobił ostatni wysiłek, choć podniecenie zaczynało opadać, i został po raz kolejny nagrodzony jej jękiem. Otworzyła oczy i znowu zdumiał go ich głęboki brąz przywodzący na myśl mocną kawę. Pocałował ją, drażniąc czubkiem języka, roześmiała się gardłowo i ukąsiła delikatnie jego wargę. Rozplotła nogi, co on potraktował to jako sygnał, aby uwolnić ją od swego ciężaru.

Ułożyła się przytulona do jego boku, z policzkiem przyciśniętym do jego piersi. Poczuł wilgoć jej łez na skórze. Uniósł się na łokciu i wsunął dłoń pod jej podbródek.

- Hej, tylko nie to - powiedział łagodnie.

- Nie wiem, co we mnie wstąpiło - wyznała po chwili.

- Ja wiem. - Miał nadzieję, że ją to rozbawi, ale tylko wtuliła twarz z powrotem w jego pierś, tak że nie widział jej oczu.

- Co ty musisz o mnie myśleć... Wcześniej nie zdobyłam się na coś takiego...

- Nic sobie nie myślę - zapewnił ją i przypieczętował to całusem w czubek głowy. -

Poza tym to ja zaproponowałem ci białe małżeństwo.

Chciała coś mu odpowiedzieć, ale powstrzymało ją pukanie do drzwi. Usiadła i naciągnęła na siebie koldrę.

- Tak...? - powiedziała niepewnie.

- To ja, Thayn. Czeka na mnie wynajęty powóz. Lady Bright, proszę mi powiedzieć, czego dokładnie pani ode mnie oczekuje.

- Zaraz zejść na dół - odezwała się Sophie.

- Czy mam pani pomóc się ubrać? - padło zza zamkniętych drzwi.

- Nie, nie! - zaprotestowała Sophie. - Ja... dam sobie radę. Proszę poczekać na dole.  
- Spojrzała na męża, wyraźnie zawstydzona, trzymając kołdrę tuż pod brodą.

Gdyby był cynikiem, którym na szczęście nie był, pewnie by go to rozbawiło. Wzruszył się i zrozumiał, że Sophie jest skromną, przyzwoitą kobietą. To, że płonie w ogniu namiętności, w niczym nie ujmuje jej tych przymiotów. Mógł się uważać za światowca, którego trudno zaskoczyć, ale właśnie doznał olśnienia - dane mu było wejrzeć w głąb drugiego człowieka, który z każdym dniem stawał się dla niego ważniejszy. Wojna dostarczyła mu potężnej dawki emocji, do tej pory sądził, że nic nie może się z tym równać. Popatrzył na Sophie, żonę w pełnym znaczeniu tego słowa. Nawet jeśli przewidywał, że wiele jeszcze burz przed nimi, zyskał pewność, że szaleje z miłości. To nie był jednak odpowiedni moment na wyznania. Sophie nie uwierzyłaby mu, uznałaby, że próbuje ją uspokoić albo usprawiedliwić to, co się między nimi wydarzyło. Siedziała nieruchomo, nasłuchując kroków odchodzącej panny Thayn. Unikała jego wzroku.

- Zmarły mąż powtarzał, że zbyt impulsywność to moja największa wada.

Do diabła z nim, pomyślał Charles w nagłym przypiływie złości na mężczyznę, który zamienił jej życie w piekło, bo nie potrafił wziąć na siebie odpowiedzialności.

- Proszę cię, wierz mi, nigdy dotąd nie przyszło mi do głowy, żeby zrzucić z siebie koszulę. - Przyłożyła dłonie do policzków, przyciskając kołdrę łokciami do piersi.

Ostrożnie, uważaj, co powiesz, nakazał sobie Charles.

- Jestem w pełni świadomy tego, co zrobiłaś i dlaczego. Myślałaś o mnie. Bardzo ci dziękuję, potrzebowałem tego. Czuję się wspaniale.

- Ja... chyba powinniśmy lepiej się poznać... zanim... - Urwała.

- Zanim zrobimy to ponownie? - spytał wprost.

Skinęła głową.

- Tylko stary lubieżnik mógłby przymknąć na to oko.

Uśmiechnął się, zadowolony z przeblysku dobrego humoru żony.

- Ubierz się. Mogę pozapinać guziki twojej sukni równie dobrze jak panna Thayn.

A ty pomóż mi założyć protezę, zanim zejdziesz na dół.

Odwrócił się, żeby jej nie krępować, kiedy będzie naga, szła do garderoby. Zamknęła cicho drzwi za sobą, a on poszukał bielizny i spodni. Zapinał guziki przy spodniach gdy otworzyła drzwi ponownie, wciąż zarumieniona.

- Zapięłam wszystkie oprócz dwóch - powiedziała.

Podeszła do łóżka, a on przez jeden niedorzeczny moment miał nadzieję, że znów rzuci z siebie ubranie. Nie zrobiła tego, tylko odwróciła się do niego tyłem. Przytrzymał materiał sukni hakiem i zapiął guziki palcami zdrowe dłoni.

- Twoja kolej - powiedział. - Gdzie ja ją podziałem?

Uklękła i zajrzała pod łóżko.

- Coś podobnego, jakim cudem to się tutaj dostało? - Z tymi słowami Sophie wyciągnęła protezę spod łóżka.

Unikając wzroku męża, skoncentrowała się na zakładaniu skórzanych pasków i w końcu zamocowała je zatrzaskiem. Charles szybkim, zautomatyzowanym ruchem wsunął hak na miejsce - przez lata ten ruch stał się czymś całkowicie naturalnym, czemu nie trzeba było poświęcać uwagi - i uniósł ramiona, żeby mogła włożyć mu koszuli, i zapiąć mankiety. Potem patrzył na nią, jak podchodzi do toaletki i bezradnie przeciąga ręką po spleśnianych włosach.

- Przejeżdź po nich szczotką i zwiąż na karku w węzeł - poradził jej. - Prawdę mówiąc, byłbym zadowolony, gdybyś zawsze tak robiła. Wyglądasz uroczo w takiej fryzurze

Przeniosła wzrok ze swojego odbicia w lustrze na niego.

- Mężczyźni - skomentowała wiele mówiącym tonem.

Kiedy podeszła do drzwi, zadał jej wreszcie pytanie, które nurtowało go od lat i którego nie odważył się nikomu zadać.

- Jeszcze coś - powiedział niemal nieśmiało i uniósł rękę z hakiem. - Czy czujesz obrzydzenie, patrząc na moje ramię?

Zmarszczyła czoło, jakby zaskoczona, że można zadać tak bezpośrednie pytanie.

- Oczywiście, że nie. Zwyczajnie cię to wyróżnia. Tak jak siwizna na skroniach. Zawsze wyglądasz jak bohater.



Pochyliła głowę, wypowiadając z powagą tę pochwałę, która nie mogła go nie ucieszyć, tak była pochlebna. Szybkim krokiem wyszła z pokoju i usłyszała, jak zbiegła po schodach. Charles położył się z powrotem na łóżku, wdychając zapach Sophie. Prześcieradła były z pewnością zmięte, ale jeśli je wyładzi, pokojówka nie powinna się zorientować. Nasłuchiwał przez chwilę, czy nikt nie krząta się w pobliżu, a potem opuścił pokój i wszedł do własnej sypialni.

Nigdy by nie pomyślał, że Starkey może zachowywać się tak cicho, choć przecież znał zaufanego sługę od lat. Siedział sztywno na krześle tuż przy drzwiach i... Czyżby dostrzegł w jego oczach niemy wyrzut? Ile słyszał z tego, co się wydarzyło za drzwiami pokoju mieszczącego się po przeciwnej stronie holu?

Nie zamienili ze sobą ani słowa. Starkey wpatrzył się w niego zimnym, niemal bezczelnym spojrzeniem, ale pierwszy odwrócił wzrok. Admirał nigdy nie ustąpiłby pola nawet najbardziej zaufanemu słudze, po czym powiedział coś, co analizując tę sytuację później, uznał za bardzo niezręczne:

- Wyjdź, Starkey!

Służący opuścił pokój w milczeniu, wyprostowany, z wysoko uniesioną głową, patrząc prosto przed siebie.

Sophie pamiętała, żeby uważać na głowę, idąc korytarzem, który opanowali malarze. Obserwowała ich przez chwilę, czekając, aż serce przestanie jej tłuc się w piersiach, a policzki palić. Zaczęła analizować to, co się stało. Zamknęła oczy, przywołując wspomnienie przyjemności i poczucia bezpieczeństwa, jakie wzbudziła w niej bliskość męża. Właśnie tego pragnęła po latach posuchy. Przypomniała sobie, jak zatraciła się w jego ramionach, niezdolna zachować się cicho, jak pojękiwała, gdy niestrudzenie przywodził ją do orgazmu, i to nie raz, a trzy razy, co kwalifikowało ją do grona rozpustnic.

Otworzyła oczy. Charles nie okazał nawet cienia niesmaku z powodu jej zachowania. Wiedziała, że w pełni go zadowoliła. Wyraz jego twarzy i sposób, w jaki bez słów zachęcił ją, aby ułożyła się przy nim, z głową wtuloną w zagłębienie jego ramienia, świadczyły o spełnieniu, a nawet błogostanie.

Spróbowałam go zaspokoić i sama zostałam zaspokojona, pomyślała i uśmiechnęła się do robotników stojących na rusztowaniach, nurkując pod nimi do salonu, gdzie czekała panna Thayn.

Zupełnie jakby była świeżo poślubioną, młodą kobietą, zastanawiała się, czy będzie po niej coś widać. Doszła do wniosku, że nie. Zachowała swój zwykły spokój i opamiętanie, tak że panna Thayn nie powinna się niczego domyślić. Jednak sama przed sobą nie powinna udawać. Nikomu dotąd nie oddała się tak chętnie i całkowicie, nawet Andrew, i nigdy nie była tak szczerze za to wynagrodzona.

Po wymianie kilku grzeczności z guwernantką, przystąpiła do wyjaśniania jej swojego planu, który, miała nadzieję, zadowoli je obie, jakkolwiek mógł wydawać się dziwny.

- Chciałabym, żeby pojechała pani do przytułku i wybrała dla nas jeszcze dwie osierocone dziewczynki. Myślę, że znajdziemy im jakieś lekkie zajęcia, którym podołają.

- Tak, oczywiście - zgodziła się panna Thayn, a po sekundzie wahania dodała: - Dziękuję, że pani mnie zatrudniła.

- To nie do końca moja zasługa - odparła Sophie. - Jak pani dobrze wie, wysiadywałam na twardych ławkach w biurach zatrudnienia. - Spuściła wzrok, zastanawiając się, jak wiele jej powiedzieć. - Może wyjaśnię to pani bardziej szczegółowo później.

- Jeśli pani uzna to za stosowne... Co do mnie, jestem szczęśliwa, że mogę być pomocna. Przez wiele lat pracowałam u bogatych ludzi, ale nieczęsto doceniano to, co robiłam. W pani domu wygląda to inaczej.

Domu? Tę żalowaną, zniszczoną rezydencję można nazwać domem? Powinnam to przemyśleć, doszła do wniosku Sophie.

- Proszę wziąć pod uwagę, ile dobrego możemy zrobić. Jeśli okaże się, że obowiązki nie zajmują im całego czasu, a sugerowałabym, aby właśnie tak się stało, ufam, że wypełni im go pani, udzielając lekcji.

Panna Thayn skinęła głową, oczy jej rozbłysły.

- Czy przeszkadza pani, że jej uczennice będą pochodzić z nizin społecznych?

Na twarzy panny Thayn widać było wzruszenie. Jest altruistką, znalazłam sojusznika, uznała zadowolona Sophie.

- Proszę pani, ile dobrego może pani zrobić!

- My, Thayn, my. Chodźmy teraz do gabinetu. Admirał obiecał, że zostawi list dla urzędnika w przytułku i stosowne fundusze, gdyby okazało się, że trzeba przemówić mu do ręki.

Zmęczona, ale triumfująca, Thayn wróciła pod koniec dnia z dwiema urwisowatymi dziewczynkami o twarzach równie wychudzonych jak jej własna. Nakreśliły plan działania, popijając herbatę na tarasie, na którym Sophie spędziła większość popołudnia, obserwując męża siedzącego na plaży na pniu wyrzuconym przez fale na brzeg. Guwernantka cieszyła się z zaoszczędzonych pieniędzy przeznaczonych dla władz sierocińca. Urzędnik rozpromienił się, usłyszawszy, że ubędą mu dwie osoby do wyżywienia, i w rezultacie Thayn zostało wystarczająco dużo, aby można było kupić kilka bel tkanin na sukienki i fartuszki dla żeńskiej części służby.

- Nie zajmowałam się garderobą damy, to prawda, ale umiem szyć, proszę pani - zapewniła guwernantka, wypiwszy ostatni łyk herbaty. - Pokojówka pracująca na piętrze też potrafi szyć i jest chętna do pomocy.

- Jak te dwie dziewczynki się nazywają?

- Jedna Gladys, a drugą chciałabym nazwać Minerwą, po mojej matce, oczywiście jeśli pani wyrazi zgodę. Co to za kraj, w którym tak nisko ceni się dzieci, że nie nadaje im się nawet imion, bo mogą umrzeć w dzieciństwie! - oburzyła się panna Thayn.

Sophie, spojrzawszy na męża, zapragnęła dołączyć do niego, tak bardzo wydał jej się samotny.

- Czy mogę polegać na pani, że rozmieści pani wszystkie służące tak, by było im wygodnie? - Roześmiała się nagle, bo zrobiło jej się lżej na sercu, gdy admirał odwrócił głowę i obejrzał się na taras. - Mam nadzieję, że nie będą im przeszkadzały te okropne egipskie meble. Zarządca nie wykorzystał wszystkich, część umieszczono na górze.

Panna Thayn roześmiała się, ale szybko spoważniała.

- Proszę pani, przecież to znacznie lepiej, niż mieć tylko siennik na podłodze.

- Chyba tak - zgodziła się Sophie. - A teraz powinnam się zająć czym innym.

Serce tłukło się jej w piersi, gdy schodziła po ostatnich stopniach schodów prowadzących na plażę. Widziała, jak mąż krążył po plaży, zanim przysiadł na wyrzuconym

przez fale pniaku, tym samym, na którym siedzieli wczoraj. Całym sercem była z nim - z człowiekiem, który źle czuł się na łądzie. Zmęczonym życiem na morzu, ale nieprzekonanym, że znalazł swoje miejsce na ziemi. Muszę mu przypomnieć o pamiątkach, pomyślała. O ile zdołamy oboje przejść do porządku nad tym, co się stało.

- Sophie - zaczął mówić, jednocześnie obejmując ją w talii - ustanowiłem reguły dotyczące naszego małżeństwa.

- Tak - zgodziła się, rozczarowana, że przemawia z powagą, bo odbierało jej to odwagę, aby powiedzieć, co ona o tym myśli. Zakochała się w nim tak szybko, że nawet ją samą to dziwiło. Czy on by to zrozumiał? Czy uwierzyłby, że to nie wdzięczność nią kierowała, a miłość? Musi mu to wyjaśnić, nawet gdyby miała spalić się ze wstydu. - Chciałam przynieść ci pociechę. To dobry sposób.

- Tak, dobry - potwierdził. - Zadziałał.

- Wiem. - Jej głos brzmiał cicho, łagodnie. - Byłeś bardzo uważający... - Wzięła głęboki oddech. Nigdy dotąd nie rozmawiała z mężczyzną tak otwarcie. - Pozwól, że to powiem. Nie wiem, jak innym kobietom, ale mnie poprawia samopoczucie to, co sprostokowałam.

- To dobrze dla ciebie.

Dobrze, że to słyszę, pomyślała.

- Poznałam trochę twoje ciało.

- Mniej więcej - zgodził się z uśmiechem. - Tak jak ja twoje. Ale chodzi o coś więcej, prawda?

- Właśnie. - Nabrała odwagi. - Chciałabym poznać także twój umysł... - zawahała się.

- Proszę, mów - zachęcił ją.

- Jeśli się nie poznamy, jak możemy posunąć się dalej? Rezultat będzie mizerny.

Zastanawiał się przez chwilę, czuła jego ramię opasujące jej talię.

- Pewnie masz rację. - Puścił ją. - Dużo wiem o żeglowaniu przez nieskartowane wody. Przemierza się je powoli, ostrożnie sądując głębokość.

Złękła się, że w ten sposób osiadą na mieliźnie. Jeśli on chce mnie naprawdę poznać, powinnam powiedzieć mu, jakie nosiłam nazwisko i dlaczego mu go przedtem nie

wyjawiłam. Muszę to zrobić. Może teraz jest właściwy moment? Nie zdążyła otworzyć ust, admirał ją uprzedził.

- Czy będę mógł dalej przynosić ci rano herbatę?

Zabrzmiało to tak, że nie odważyła się popsuć nastroju swoim wyznaniem.

- Przecież wiesz, że tak.

- Tylko herbata - pospieszył z zapewnieniem.

Moment na wyznanie umknął, a Charles roześmiał się i dał jej ramieniem kuksańca w ramię. Pień z głośnym trzaskiem rozszczepił się i oboje wylądowali na piasku. Śmiała się, nie mając ochoty wstać, zwłaszcza że Charles też się śmiał. Popołudnie było ciepłe, wciągnęła w płuca zapach morza, i było to przyjemne doznanie, chociaż myślała, że zawsze już morska bryza będzie jej się źle kojarzyć.

- Co mnie uleczy z tęsknoty za morzem? Znasz jakiś sposób - spytał admirał, wstając.

Pomógł żonie się podnieść, otrzepał jej suknię z piasku, a jego dłonie tylko o chwilę za długo zatrzymały się na jej biodrach. Jesteś nieśmiały, mężu, pomyślała z rozbawieniem Sophie.

- Twoje pamiątki, mój drogi - przypomniała mu. - Zaczniemy jutro.

- Dobrze. Po porannej herbacie znajdziesz mnie w gabinecie. Jakie szaleństwo tam zapoczątkujemy?

## Rozdział szesnasty

Sophie spała głęboko i obudziło ją dopiero pukanie do drzwi. Do pokoju wszedł Charles. Od razu zauważyła, że nie ma przymocowanego do nadgarstka haka i zaniepokoiło ją to. Jego wzrok powędrował w ślad za jej spojrzeniem i uśmiechnął się wyrozumiale.

- Droga żono, alez jesteś podejrzliwa - powiedział. Podał jej filiżankę ze spodkiem i upuścił protezę na łóżko. - Niedawno Starkey poprosił mnie o parę dni urlopu i dzisiaj o tym przypomniał. Pomożesz mi przez kilka poranków uporać się z założeniem protezy i całego oprzyrządowania?

Oczywiście Sophie nie miała nic przeciwko temu, ale najpierw odbyli rytuał, do którego zdążyła się przyzwyczaić. Przesunęła się, aby zrobić miejsce mężowi i zaczęła pić herbatę. Oparł się o jej nogi i nawet zrobił taki gest, jakby zamierzał dotknąć jej biodra, ale cofnął rękę. Udało jej się utrzymać poważną minę.

- Doprowadziłem do porządku biurko w gabinecie - oznajmił, gdy upiła kilka łyków herbaty. - Na blacie położyłem papier, pióro i ołówek, bo nie wiem, co wolisz. Postaram się mówić całą prawdę i tylko prawdę, może z wyjątkiem pewnych okoliczności towarzyszących zejściu na ląd. Nie mogę dopuścić do tego, żebyś zaczęła mnie uważać za rozpustnika.

- Ty nikczemniku - powiedziała, odstawiając filiżankę.

Podciągnęła nogi, tak aby musiał się wyprostować. - Twoja skandaliczna przeszłość nic mnie nie obchodzi.

- Pewnie nie - zgodził się. - Tyle że nie było skandali, moja droga. Od bitwy pod Trafalgarem do tysiąc osiemset jedenastego roku albo krążyłem wokół kanału, albo przemieszczałem się z całą flotą na Morze Śródziemne, sprawdzając, na ile uda się nam nękać wroga.

- Zrobiłbyś to natychmiast znowu, gdyby cię zawezwano - orzekła, obserwując wyraz jego twarzy.

- Nie mógłbym przysiąc na Biblię. Pobyt na stałym lądzie ma pewne zalety - odparł, patrząc żonie prosto w oczy.

Poczuła znajome uczucie ciepła w podbrzuszu, chociaż przecież ledwo wczoraj doznała spełnienia. Rozum podpowiadał, że powinna odwrócić wzrok, ciało topniało pod męzkowskim spojrzeniem. Ależ on ma szerokie ramiona, przemknęło jej przez głowę. Pukanie do drzwi ułatwiło jej podjęcie heroicznego wysiłku, aby przestrzegać tego, co ustalili wczoraj... Właśnie, co ustalili? Nie była pewna. Za to była pewna, że dobrze usłyszała, co jej mąż wymamrotał pod nosem, zanim wstał i podszedł do drzwi.

- Wycucie czasu w tym domu nie istnieje - rzekł z pretensją w głosie.

Rozjaśnił się na widok jednej z nowo sprowadzonych z przytułku sierot. W rękach trzymała wielki mosiężny dzban z gorącą wodą.

- Ja... nie... ja nie wiedziałam, które drzwi, ekscelencjo - wyszeptała przestraszona.

- Próbowałam... do wszystkich.

Sophie przywołała ją gestem.

- Dobrze zrobiłaś... Minerwo czy Gladys?

- Minerwa, psze pani.

Bright wziął od niej naczynie.

- Dostałaś trudne zadanie - powiedział łagodnie. - Postawmy tu, na podłodze obok miski. Moja pani poradzi sobie z uniesieniem dzbana, kiedy będzie potrzebowała. Aha, wystarczy „admirale”. Nie jestem aż tak dostojny ani święty jak biskup.

Skinęła głową, nadal niespokojna. Nagle przypomniała sobie, że ma dygnąć i wycofała się do drzwi. Przystanąła w progu i zapatrzyła się z namysłem przed siebie, jakby przypominała sobie, co ma teraz zrobić. Oczy jej zabłyśły i spytała:

- Czy coś jeszcze, psze pani? Albo pan, eks... admirale?

- Nie, nic. - Sophie zdusiła śmiech. - Powiedz Etienne, że za pół godziny zejdem na śniadanie.

Tylko na to czekała. Z wyraźną ulgą dygnęła i umknęła. Charles zamknął za nią drzwi, oparł się o nie i roześmiał się.

- Może powinniśmy wysłać na Capri służących, zamiast sami jechać. Hol prawie pomalowany, większość kupidynów znikła pod warstwą farby. Da się mieszkać w tym domu, oczywiście pod warunkiem, że nie będą nas już więcej nawiedzać Tadwellowie tego świata. - Podszedł do łóżka, zdjął koszulę i podał żonie oprzyrządowanie protezy. -

Zapnij mi to, moja droga. Nie wiadomo, kto wtargnie następny. Od miesiący nie miałem wieści od admiralicji, ale kto wie, czy nie czają się w pobliżu.

Spełniła prośbę męża, nawet nie próbując skryć uśmiechu. Kiedy skończyła, ucałował ją w policzek i włożył z powrotem koszulę. Bez proszenia zapięła guziki koszuli, zastanawiając się, czy dostanie w nagrodę kolejnego całusa w policzek, a gdy nie dostała, poczuła rozczarowanie. Wsunął poły koszuli w spodnie i skierował się do drzwi.

- Po śniadaniu przyjdź do gabinetu. Będę czekał.

- To nie potrwa długo - zapewniła go i już miała odrzucić kołdrę, gdy uzmysłowiła sobie, że koszula zadarła się jej podczas snu.

- Nie spiesz się ze śniadaniem, Sophie. Mam nadzieję, że nie uznasz mnie za satrapę, ale poleciłem Etienne, aby nie żałował masła i śmietanki. - Podrapał się hakiem w głowę. - Uhm... Mniej więcej o tej porze wczoraj rano uderzyło mnie, że być może czułabyś się lepiej z odrobiną więcej ciała tu i ówdzie. Pomarudź trochę nad jedzeniem. - Zanim wyszedł, posłał jej ten swój łobuzerski uśmieszek.

- Niezłe z pana ziółko, admirale - powiedziała do siebie, wyskakując z łóżka i zdejmując koszulę. - A ty, Sophie, poproś Minerwę, żeby przyniosła ci zimnej wody, najlepiej z kawałkami lodu.

Nietrudno było zamarudzić przy śniadaniu, skoro miało się do dyspozycji grzanki z pachnącym masłem, owsiankę z gęstą śmietaną, z której słychać Devon, posypaną malinami. Obok talerza zastała bilecik od męża, zachęcający ją do jedzenia:

*Jeśli nie spróbujesz ciastek z serem, Etienne się załamie. Wierz mi, nie chciałabyś na to patrzeć. Szkoda, że nie widziałas go po bitwie przy wyspie Aix, kiedy miałem chęć oznajmić mu, że brak mi czasu na śniadanie.*

*Twój kochający, szczerze oddany małżonek, Jego Ekscelencja Admirał, Którego Należy Słuchać*

Tyranizujesz mnie swoją dobrocią, pomyślała Sophie, wpychając w siebie śniadanie. Nie ma co odkładać pracy w gabinecie, zwłaszcza że sama poddałam mu ten sposób na wypełnienie wolnego czasu. Poza tym był to jeden z warunków zawarcia małżeństwa, gdybyś o ty zapomniała. Chociaż nie da się powiedzieć, abyśmy ich oboje ściśle przestrzegali...



Otarła usta i wstała, sprawiając wrażenie osoby pewnej swego, a przynajmniej taką miała nadzieję. Kiedy otworzyła drzwi gabinetu, ujrzała Charlesa stojącego przy oknie. Odwrócił się do niej, znów z tym swoim półuśmieszkiem.

- Mam nadzieję, że zjadłeś kilka tych... tych...

- Serowych specjalów? Były pyszne. Wkrótce nie zmieszczę się w te wszystkie śliczne ubrania, za które zapłaciłeś.

- A właśnie. Kiedy nadejdą?

- Cierpliwości - upomniała go. - Uszycie sukien wymaga czasu.

Stała niepewna, gdzie ma usiąść. Admirał wskazał na biurko.

- Żono, zakasuj rękawy i bierz się do pracy. Ja będę krążył po pokoju za nas oboje. Daj znać, gdyby zakręciło ci się od tego w głowie. - Zatarł ręce. - Od czego powinienem zacząć?

Sophie zajęła miejsce i zaczęła się wiercić, próbując znaleźć najwygodniejszą pozycję. Po chwili klęczał przy jej krześle i przykręcał śrubę, żeby je do niej dopasować.

- Gotowe. Możesz postawić stopy na pokładzie. Jeszcze jeden obrót?

- Tak, jeden.

Głową dotykał jej kolan i z jakiegoś absurdalnego powodu chciała koniecznie wsunąć dłoń w jego włosy. Pomyślała o wczorajszym poranku i poczuła, że policzki jej czerwienieją. Skoncentruj się na jego uchu, na czymkolwiek innym niż myślenie o tym, co wczoraj robiłaś, gdy miałaś palce w jego włosach. Na litość boską, Sophie, trochę godności!

Na szczęście Charles w tym momencie wstał. Nie zamierzał jednak odejść. Przeciwnie, położył dłoń na jej ramieniu i kciukiem pogłaskał po szyi. Wymknęło się jej ciche westchnienie. Wcześniej nie była tak uwrażliwiona na drugą osobę.

- Od czego powinienem zacząć? - powtórzył pytanie.

Po prostu trzymaj rękę na mojej szyi, odparła mu w myślach.

- Sądzę, że od początku - zdołała odpowiedzieć.

- Czy dokucza ci gardło? Mówisz zduszonym głosem.

Zdjął dłoń z jej szyi, a ona odchrząknęła.

- Taka poranna chrypka - powiedziała.

- Naostrz pióro. Urodziłem się w tysiąc siedemset siedemdziesiątym pierwszym roku w Bristolu jako najmłodsze dziecko i jedyny syn prawnika.

Sophie ochłonęła skoncentrowała się na leżącej przed nią kartce papieru. Admirał rozsądnie przygotował kilka ołówków, pisanie nimi szło znacznie szybciej niż piórem, które musiałaby maczać w kałamarzu.

Wkrótce zrozumiała, że nie będzie jej łatwo pracować wydajnie. To jej wina. Nic nie mogła poradzić na to, że czuła się zauroczona jego opowieścią, niezależnie od tego jak rzeczowo brzmiała. Raz czy dwa musiał jej zwrócić uwagę, że przestała zapisywać. Odniosła wrażenie, że mąż powściąga zniecierpliwienie, czekając, aż ona zdoła zapisać to, co opowiedział, a chciała mu zadać mnóstwo pytań. Zorientował się dopiero wtedy, gdy zachnęła się, usłyszawszy, że ojciec zaciągnął go do marynarki jako dziesięcioletniego chłopca.

- Ależ, żono, o ile pamiętam, wcześniej ci o tym wspomniałem! - wytknął jej, unosząc ręce i przestając wpatrywać się w ogień. - Dość tego. Beksa z ciebie, a to przecież tylko jeden z wielu prozaicznych momentów mojej wojskowej kariery. Daj spokój. Poczekaj, mam gdzieś chusteczkę.

Podał ją Sophie, a potem wziął ją za rękę, zaprowadził do kanapy i posadził sobie na kolanach. Oparła się o niego i zaczęła szlochać na dobre.

- Masz stanowczo za miękkie serce - orzekł łagodniejszym tonem. - Zawsze tak było w marynarce. Jak można wytrenować kogoś na dobrego oficera, jeśli nie zacnie się uczyć go odpowiednio wcześniej?

- Byłeś dzieckiem - udało jej się powiedzieć, gdy łzy przestały płynąć.

- Spróbuj coś takiego oznajmić dziesięciolatkowi. - Objął ją mocniej. - Uważaj na hak. Jest po twojej bakburcie - ostrzegł.

Roześmiała się przez łzy, usiadła i wydmuchała nos.

- Ojciec nie chciał, żebyś został prawnikiem?

Odgarnął spadające jej na oczy kosmyki i włożył je za uszy.

- Miałem lepszego ojca niż większość dzieci. Zauważył, że większość czasu spędzam w dokach, obserwując statki. Zanudzałem go też, żeby kupił mi szalupę. - Oczy mu się rozjaśniły na to wspomnienie. - Matka zamartwiała się, zupełnie jak ty. - Pocałował ją

w czubek głowy. - Płacząc, spakowała jednak moją pierwszą marynarską skrzynię i dołączyłem do flotylli, mającej wziąć udział w wojnie z Ameryką.

- Wojnie z Ameryką? Przecież toczyła się wcześniej - zaprotestowała stłumionym głosem, nie odrywając twarzy od jego piersi.

- Pozwolisz, że się z tobą nie zgodzę. Był tysiąc siedemset osiemdziesiąty rok, zbliżał się koniec wojny, bitwa o Yorktown, płynęliśmy udzielić wsparcia od strony morza. Zdażyłem poznać upokorzenie klęski, gdy Francuzi ostatecznie rozgromili naszą flotę. Krążyłem między kapitanem Gravesem a jego podwładnymi na pokładzie działowym, nosząc rozkazy.

Potykając się o ciała zabitych i ślizgając na świeżej krwi, pomyślała. Nie chciała-bym takiego losu dla swojego dziecka.

- Sophie - powiedział, odsuwając ją od siebie i patrząc jej prosto w oczy - bardzo się bałem i jednocześnie pragnąłem stanąć na mostku kapitańskim. - Zsadził ją sobie z kolan. - A teraz zajmij miejsce za biurkiem i opisz to, dobrze?

Charles wiedział, że gdyby potrzymał żonę na kolanach minutę dłużej, zamknąłby drzwi na klucz, zgarnął papiery z biurka i zrobił to, czego obiecał nie robić. Sporo go kosztowało, żeby ją od siebie odsunąć i wyjść pod pretekstem, że musi dopilnować czegoś w domu.

Przeszedł się na plażę i z powrotem, po drodze podziwiając świeżo odmalowane ostatnie pomieszczenie na parterze, które tego wymagało, a kiedy wrócił, uznał, że znów może zobaczyć żonę. Wyobraził ją sobie, jak siedzi za biurkiem i pisze pilnie, pomagając sobie wysuniętym koniuszkiem języka. Dlaczego kobiety wyglądają przy tym tak pociągająco? Daj spokój, admirale, pomyślał zniesmaczony własną hipokryzją. Jeśli chodzi o Sophie Bright, pociągалаby cię, nawet szorując zaschnięte gary w kuchni, upaprana po łokcie. Jesteś beznadziejny.

Bywa gorzej, zdecydował, wchodząc do gabinetu. Ku jego uldze, Sophie była ożywiona i radosna. Rozpromieniona, podała mu zapisane kartki.

- Wydaje mi się, że dobrze uchwyciłam istotę tego, co opowiadałeś. Proszę, przeczytaj.

Oparła się o krzesło i wpatrzyła w jego twarz, wyraźnie pewna swego. W niczym nie przypominała wystraszonej, zestresowanej kobiety, którą zobaczył w zajeździe Drake.

Miała rację. Był zadowolony z doboru słów i płynnego stylu. Przysiadł na brzegu biurka i położył przed nią kartki.

- Sam bym tego lepiej nie ujął - powiedział i zobaczył, że żona się rumieni.

Tak łatwo cię zadowolić, pomyślał. Może dlatego, że niewiele dotąd dostałaś. Wciąż nie spuszczała z niego wzroku. Splecione dłonie oparła przed sobą na blacie biurka i Charles przypomniał sobie czasy, gdy dowodził flotą.

- Przemów, wodzu - zażartował.

- Właśnie tak moglibyśmy pracować, jeśli się zgodzisz - powiedziała z pełnym powagi namysłem, nieświadoma, jak to na niego podziałało. - Opowiesz to, co najistotniejsze, a ja będę ci zadawać pytania. Kiedy skończymy, spiszę twoje wspomnienia tak, jak je zrozumiałam. Oczywiście, będziesz mógł zmienić to, co uznasz za stosowne.

Nie widział powodu, żeby tak właśnie postąpić.

- Moim zdaniem, wpadłaś na doskonały pomysł. Poględzę trochę o mojej wojskowej karierze, a ty wykonasz całą robotę. Może pokażę ci część moich śmiertelnie nudnych notatek służbowych, a ty wyciśniesz z nich esencję?

- Ty leniuchu! - powiedziała pieszczotliwie.

- Przecież to był twój pomysł - oświadczył, unosząc obie ręce.

Lunch zjedli na tarasie. Charles nie chciał tracić z oczu żony, niezależnie od tego, co mówił o ostrożnym poruszaniu się po nieznanymi wodach i unikaniu pośpiechu. Ułatwiła mu to, ujawniając zamiar odwiedzenia po południu Brusteinów.

- Pozwól, że będę ci towarzyszył.

Sophie zgodziła się i nie oponowała, gdy mąż podał jej ramię. Sprawiało jej przyjemność kroczyć u jego boku po długim podjeździe, po którego bokach ich nowo zatrudnieni służący niszczyli chwasty pod czujnym okiem rządcy.

- Crowder poinformował mnie, że jutro przyjedzie furgon ze żwirem, żeby zappełnić co większe dziury - powiedział Charles.

Gawędzili o prozaicznych sprawach, a jednak zrobiło mu się ciepło na sercu. Pamiętał, jak wiele lat temu jego rodzice, siedząc przy śniadaniu, dyskutowali o wstążkach i tkaninach na sukienki dla jego siostr albo o cenie dobrej wełny. Od dawna nie żyli i teraz mógł się tylko zastanawiać, czy ojca też cieszyły takie rozmowy.

- Może powinieneś zwrócić uwagę Crowdera na konieczność wymiany poręczy przy schodach na plażę - zaproponowała Sophie.

Czuł jej ramię blisko swojego ciała.

- Dobrze. A co sądzisz o skrzynkach lęgowych dla drozdów na tyłach domu?

Może sprawił to ton jego głosu, ale przystanęła i zaczęła się śmiać.

- Gdyby twoi podwładni mogli cię teraz usłyszeć! Ależ oczywiście, budki dla drozdów, wasza ekscelencjo.

Żartowała sobie z niego, więc dla równowagi potargał jej włosy. W odpowiedzi rzuciła mu się w ramiona i uściskała go, ale, ku jego rozczarowaniu, natychmiast się odsunęła. Powstrzymał się w ostatniej chwili od uwagi „Przymknijmy na to oko”, bo uznał, że to powiedzonko brzmi w ich sytuacji idiotycznie. Idąc wolnym krokiem z żoną u boku, nigdzie nie się spiesząc, nagle zdał sobie sprawę z tego, że bez niej nie potrafi być szczęśliwy. Już chciał jej to wyznać, ale powstrzymał go instynkt, który wiele razy ratował go przed utknięciem na mieliźnie. Pamiętaj, że obiecałeś sobie tego nie przyspieszać, ostrzegł się w duchu. Jesteśmy dwojgiem dojrzałych, racjonalnie myślących ludzi... Tak, być może.

Jakub Brustein, potrząsając smutno głową, powiedział im, że Rywka śpi. Usiedli razem z nim w rozświetlonym saloniku, żeby wypić herbatę, a właściwie wysłuchać gospodarza. Stary bankier wyjaśnił im, że żona przesypia większość dnia.

- Lubi panią widywać. - Wyciągnął rękę z filiżanką, aby dołąła mu herbaty. - Byłoby dobrze, gdyby mogła pani odwiedzać ją rano, jest wtedy przytomniejsza.

- Wobec tego tak zrobię. - Sophie naląła mu herbaty i uśmiechnęła się do męża, a on poczuł, że robi mu się ciepło na sercu. - Admirał pisze pamiętniki, ale nie ma przeszkód, abyśmy to przełożyli na popołudnie.

- Żadnych - zgodził się z nią.

- Admirale! - rozpromienił się Brustein. - Zamierza pan podzielić się ze światem swoimi doświadczeniami z tych nieszczęsnych czasów, gdy toczyliśmy wojny z Napoleonem?

- Sophie sądzi, że to pożyteczne wypełnienie wolnego czasu. Nie sądzę, aby to było interesujące. Żaden ze mnie bohater, raczej jeden z wielu, którzy nękali Napoleona.

Brustein upił łyk herbaty i przeniósł spojrzenie błyszczących z podniecenia oczu na Sophie.

- Państwa dzieci docenią tę opowieść, admirale. Kiedy dojdą do niewdzięcznego wieku u progu dorosłości, odkryją, że życie toczyło się także w zamierzchłych czasach młodości ich rodziców. - Uśmiechnął się, zobaczywszy, jak Sophie czerwieni się na wzmiankę o potomstwie. - Moja droga, życie bankiera nie obfituje w niezwykle wydarzenia. Moje dzieci kochają mnie, bo jestem. Admirał da im więcej powodów.

Charles nie mógł się powstrzymać, aby nie rzucić spojrzenia na żonę. Wiedział już, że potrafi okazać czułość i troskę, i w jego sercu zagościło pragnienie posiadania dzieci. Nie sądził, że dotrwa do końca wojny. Miewał momenty, gdy czuł gorycz, że Napoleon zawładnął jego życiem, pozbawiając go szansy na założenie rodziny. Miał pływać po morzach i podlegać wyłącznie admiralicji, gdzie niechętnie, oczywiście nieoficjalnie, odnoszono się do zawierania małżeństw przez marynarzy. Kobiety łagodziły obyczaje i zmiękczały mężczyzn, co nie przynosiło dobrych efektów na wojnie.

W ciągu tygodnia wszystko się zmieniło. Nie miał pojęcia, jak żeglować po małżeńskich wodach, na które puścił się kompletnie nieprzygotowany. Poznał Sophie w trudnej dla niej sytuacji i z początku rozsądnie odrzuciła jego propozycję. Zgodziła się w końcu na fikcyjne małżeństwo, bo była zrozpaczona i załamana. Być może posunęli się za daleko, ale popijając herbatę w saloniku Jakuba Brustaina, wciąż niespokojny i niepewny swego, zrozumiał, jak bardzo kocha siedzącą obok niego kobietę.

Któregoś dnia porozmawia z żoną o tym, co to znaczy znaleźć się w punkcie, z którego nie ma odwrotu. Zawsze przychodził taki dzień, podczas każdej wyprawy, kiedy znękaný dowódca musiał podjąć decyzję, czy zarządzić odwrót, czy żeglować dalej. Sophie, kochana, zaznaliśmy radości z obcowania naszych ciał i to małżeństwo nie będzie wyłącznie kontraktowe, niezależnie od tego, co sobie wmawiamy. Byłabyś naiwna,

sądząc inaczej. Znaleźliśmy się w punkcie, z którego nie ma odwrotu. Nasza wspólna podróż jest niewiadomą.

Żałował, że nie stać go na większą pewność siebie.

## Rozdział siedemnasty

Zupełnie nieświadomie, bo przecież nie mogła sobie z tego zdawać sprawy, Rywka Brustein rozporządzała ich czasem. Było to rodzajem łagodnej dyktatury. Starej, umiarkowanej kobiecie sprawiało przyjemność, gdy Sophie jej czytała. Admirał nie miał nic przeciwko temu, ponieważ żona wracała po tych porannych wizytach z uśmiechem na twarzy.

- Charlesie, powinieneś pójść kiedyś ze mną i posłuchać, jak pani Brustein opowiada o swoim dzieciństwie, które spędziła w Hamburgu. Czasem wydaje mi się, że mogłabym słuchać wspomnień rozmaitych ludzi, po czym spisywać je - wyjawiała Sophie mężowi, gdy po południu przeszli do gabinetu, a on zajął jak zwykle strategiczną pozycję przy kominku.

- Moja droga, jestem nowicjuszem na łodzi, wydaje mi się jednak, że wyznania czynione przez damy są przeznaczone wyłącznie dla ich uszu. Poza tym, jeśli zainteresujesz się opowieściami innych, dla mnie nie wystarczy ci czasu - odparł impulsywnie.

- Masz pierwszeństwo przed wszystkimi - zapewniła go. - Zatem na jakim etapie jesteśmy?

Bóg jeden wie, pomyślał, odnosząc tę uwagę niekoniecznie do pamiętników.

- Niech się zastanowię... Camperdown, tak? Byłem wtedy kapitanem na „Bedfordzie”, ale krótko. - Uśmiechnął się. - Co za satysfakcja pobić Holendrów!

- Aha. - Spojrzała w jego rozjaśnione oczy. - Nie lubisz być po stronie przegranych.

- Rzadko bywałem. - Namyślał się przez chwilę, po czym przyznał z zażenowaniem: - Zabrzmiało, jakbym się przechwalał.

- Przecież to prawda - odrzekła Sophie. - Nie należysz do osób, które kłamią.

Spostrzegł, że spoważniała, nawet pobladła lekko i przygryzła dolną wargę.

- Dobrze się czujesz? - spytał zaniepokojony. Spojrzała na niego przelotnie, wyraźnie zmieszana. Odniósł wrażenie, że opanowała się tylko dzięki sile woli.

- Tak. Po prostu o czymś pomyślałam. Proszę cię, kontynuuj. Znów na „Bedfordzie”.

Tak upływały im dni. Admirał sam spędzał poranki, poirytowany, że żony przy nim nie ma, potem jedli razem lunch na tarasie, o ile pogoda dopisywała, a zwykle tak się działo, bo lato tego roku było pogodne i ciepłe. Po południu zaszywali się w gabinecie. Krążąc po pokoju tam i z powrotem, opowiadał o swoim życiu, a Sophie zadawała pytania i robiła notatki.

Kilkakrotnie dała dowody na to, jak miękkie ma serce, i musieli przerywać pracę, a on osuszał jej łzy. Stało się tak, gdy wysłuchała, jak traktowali go Francuzi, kiedy zdarzyło się im go pojmać, albo co się działo, gdy dowodzony przez niego okręt osiadł na mieliźnie podczas sztormu. Nie wyglądało na to, że ma coś przeciwko całusowi w czubek głowy lub w policzek, którym kończył pocieszanie żony.

Przeszli do porządku nad miłosną potyczką, którą odbyli, i nic nie zakłócało im spokoju aż do tego poranka, gdy po powrocie od Brusteinów przywieziono zamówione suknie. Od czasu wizyty u madame Soigne, gdy Sophie uznała za stosowne wyrazić ubolewanie, że wydał na nie tak znaczną sumę, przynajmniej w jej pojęciu, nie wspominała więcej o zamówionej garderobie. Charles zastanawiał się nawet, czy nie czuła ulgi, że te rozmaite suknie i dodatki nie nadchodzą, w myśl zasady, że czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal, a zatem nie ma się co martwić o wydane pieniądze.

Wreszcie znalazły się w ich domu, popakowane w piętrzące się w holu podłużne i okrągłe kartonowe pudła, i nie sposób było ich nie zauważyć. Charles obserwował przez frontowe okno, jak jego żona idzie podjazdem. Nabral tego zwyczaju pewnego poranka, gdy zajmował się jakimiś niecierpiącymi zwłoki sprawami i odkrył, że idzie mu to nieskładnie, bo jej nie ma w pobliżu. Zaczął więc wyglądać jej powrotu.

Zwykle szła wolnym krokiem po podjeździe, teraz dokładnie oczyszczonym z chwastów i porządnie, równo wyźwirowanym. Czasami przystawała, aby porozmawiać z zarządcą, który doglądał sadzenia kwiatów na klombach. Innym razem, jeśli nikogo nie było w pobliżu, wyciągała chusteczkę, ocierała oczy i wydmuchiwała nos. Oznaczało to



oczywiście tylko jedno: Rywka Brustein miała gorszy poranek. Efektem ubocznym takich smutnych momentów było to, że Sophie nie protestowała, gdy obejmował ją ramieniem, a gdy opierała głowę na jego piersi, czuł się w pełni szczęśliwy.

Nie potrafił zgadnąć, ile może znaczyć kupno nowych strojów dla kobiety, która żyła wiele lat w niedostatku. Nie zamierzał też grzebać w jej rzeczach, ale z czystej ciekawości uchylił wieko pudła na kapelusze, chcąc się przekonać, co damy noszą teraz na głowach. Oszacował wzrokiem kapelusik z budką ze słomki, z zielonymi wstążkami i sprężystym, farbowanym na zielono piórem. Uznał, że doskonale podkreśli brązowe włosy i oczy żony. Pogratulował jej w duchu wyboru, a sobie dobrze wydanych pieniędzy.

Kiedy zobaczył ją idącą podjazdem, nie wytrzymał. Otworzył drzwi i pomachał, żeby szła szybciej. Pochlebilo mu, że jej oczy rozbłysły, bo przecież nie wiedziała, co na nią czeka w holu, czyli ucieszyła się na jego widok.

- Nowe stroje czekają na ciebie - powiedział, otwierając szerzej drzwi, równie jak ona rozpromieniony. Dostrzegł namysł na jej twarzy i zrozumiał, że zapomniała o wizycie u madame Soigne. - Twoje suknie, Sophie - przypomniał łagodnie.

Z dłonią przyciśniętą do ust przeszła obok niego i uklękła przy pudłach. Charles przeciął kieszonkowym nożem sznurki na pierwszym pudle, potem na następnym, a ona zdjęła wieko. Palce jej drżały, gdy wyjęła ciemnoniebieską - prawie w odcieniu wód Oceanu Spokojnego - suknię i uniosła ją.

- Och, Charles!

Znając ją, pomyślał, że za chwilę wybuchnie płaczem. Tymczasem podeszła do niego, odwróciła się plecami i zażądała:

- Rozepnij mi guziki!

Z przyjemnością posłuchał, zbliżył się do niej jeszcze bardziej, wdychając zapach rozgrzanych słońcem włosów, rezultat wyjątkowo rozświetlonego lipcowego dnia.

- Tutaj, w holu? - zapytał i natychmiast skarcił się w duchu za głupotę.

- Ależ jestem niemądra - stwierdziła. Złapała męża za rękę i zaciągnęła do salonu. - Tutaj - zażądała z oczami błyszczącymi podnieceniem.

Charles odpiął drewniane guziki jej znoszonej sukni. Koszulka pod spodem była równie zużyta. Stał wystarczająco blisko, aby zobaczyć pocerowaną koronkę i poczuł

zadowolenie, że w kupionych rzeczach prawdopodobnie znajdują się nowe koszulki, których nie trzeba reperować. Był ciekaw, czy będzie kiedyś mu dane zobaczyć, jaka bielizna dla dam jest teraz w modzie, ale wiedział, że nie odważyłby się poprosić żony o zademonstrowanie, nawet gdyby mu było wolno.

Kręgosłup rysował się pod skórą wypukłą linią, jasnobrązowe piegi, uroczo rozsiądane na ramionach, przywołały widok piersi, poznaczonych takimi samymi kropkami. Pomyślał o sobie, że można by go uznać za wzór wstrzemięźliwości, skoro oparł się silnej pokusie, i zsunąwszy suknię z ramion, zrobił krok do tyłu. Nie zdjął rąk z barków Sophie, która zachowywała się jak szczęśliwe dziecko, co po trosze odwróciło jego myśli od jej ciała i uzmysłowiło mu to, jak oszczędne i pełne wyrzeczeń życie dotąd prowadziła.

Podniósł starą sukienkę z podłogi i ułożył ją na kanapie. Kiedy się odwrócił, zobaczył, że Sophie stoi w nowej sukni, z rękami uniesionymi do góry. Nie namyślając się wiele, obciągnął spódnicę, aż stanik znalazł się na właściwym miejscu. Chyba nigdy dotąd nie widział żony aż tak podekscytowanej. Nagle spoważniała, jakby potrafiła czytać w jego myślach, a w każdym razie próbowała przybrać poważną minę.

- Musisz mnie uważać za wyjątkowo pustą osobę, skoro ekscytuję się nowymi ubraniami - powiedziała, odwracając się, aby zapiął guziki.

- Nie uważam - zaprzeczył szczerze.

- Jednak sądzisz, że jestem frywolna.

Nie prowadziła z nim gry, kokieterijnie domagając się zaprzeczenia, to nie ona. Wiedział, że mówi serio. Przycisnął hak do materiału i zaczął zapinać guziki.

- Sądzę, że od dawna nie kupiłaś sobie niczego nowego.

- To prawda.

Jej głos zabrzmiał nieśmiało, jak u skarconego dziecka, i kiedy zajrzał jej przez ramię w twarz, zobaczył łzy.

Pocałował ją w kącik oczu i poczuł słony smak na języku, co mu po raz kolejny uzmysłowiło, że Sophie jest wrażliwą osobą. Oparła głowę o jego pierś, a on pomyślał, że byłby największym idiotą spośród wszystkich mężczyzn Anglii, gdyby nie odwrócił jej do siebie i nie przytulił. Wsunął dłonie pod materiał sukni w miejscu, gdzie szczęśli-

wie dla niego nie zdążył pozapinać guzików i zatrzymał je tuż poniżej talii. Ku jego zadowoleniu, żona nie pozostała mu dłużna i objęła go za szyję. Natomiast ku jego rozczarowaniu, nie pocałowała go, jedynie przytuliła policzek do jego policzka i wyszeptała mu w same ucho:

- Jest pan bardzo dobrym człowiekiem, admirale Bright.

Następnie odwróciła się tyłem, żeby mógł zapiąć suknię, a gdy skończył, odwrócił Sophie twarzą do siebie.

- Proszę, pani Bright - powiedział głosem zduszonym z emocji. Wojna się skończyła, osiadł na ładzie, ale jego życie dzięki niej znów zaczynało go ekscytować.

Podeszła do lustra wiszącego nad kominkiem, poprawiając po drodze bufiaste rękawy i wygładzając kołnierzyk. Okręciła się dwukrotnie, żeby podziwiać falbany, i Charles ujrzał w niej małą dziewczynkę, która mogła robić coś takiego. Ty albo twoja córka, pomyślał i bardzo spodobała mu się ta wizja, która przed tym nie zagościła w jego głowie - małej, ciemnowłosej dziewczynki, podskakującej i kręcącej się w kółko. Oszłomiła go równie mocno jak bliska obecność żony.

- Teraz następna? - spytał, nie chcąc, by czar prysł.

Z błyszczącymi podnieceniem oczami, skinęła twierdząco głową.

- Jest tam taka bladożółta z muślinu. Akurat odpowiednia na lato. Czy mógłbyś jej poszukać?

Kiedy ją znalazł, zdziwił się, jak delikatny jest materiał i jak niewiele ma go w dłoniach. Wszedł do salonu i zobaczył Sophie z uniesionymi łokciami, próbującą rozpiąć guziki niebieskiej sukni. Przewiesił sobie bladożółty muślin przez ramię i dokończył dzieła, aż znów stała przed nim w samej koszulce. Słońce prześwietliło sprany materiał i Charles ujrzał zarys długich nóg i ciemniejsze pole w trójkącie ud. Poczł podniecenie, ale pomyślał, że nie powinien psuć zabawy z nowych ubrań, a przede wszystkim obawiał się stracić zaufanie, które mu żona okazała.

- Ręce do góry - zakomenderował i włożył jej suknię przez głowę. - Co za malutkie guziki! Albo są braki w dostawach macicy perłowej na rynek albo modniarka chciała przyoszczędzić.

- Charlie, takie teraz są modne.

Charlie... jego przydomek. Sophie zwróciła się do niego tak, jak jego kapitanowie nazywali go za jego plecami. Kapitan Charlie. Usłyszał to kilkakrotnie przypadkiem i wtedy uważał, że brzmi głupio, ale w jej ustach zabrzmiało uroczo.

Sięgnęła rękami do tyłu, usiłując sama zapiąć guziczki i dotknęła jego palców. Na moment zatrzymał jej dłoń, a potem pozwolił, aby zapięła te guziczki, których mogła dosięgnąć. Dokończył dzieła i ująwszy ją za ramiona, poprowadził w stronę lustra.

- To cudo - orzekł. - Jasnożółty to twój kolor.

Zrobiła minę, a potem uśmiechnęła się do niego, nie odwracając od lustra, i splótła dłonie przed sobą.

- Mnie też się podoba. Madame Soigne jest świetną krawcową.

- Miała wdzięczne pole do popisu i nie mam na myśli jakości materiałów. Jesteś piękną, Sophie.

Odwróciła się do niego, dłonie miała wciąż splecione, twarz ożywioną. Pomyślał o przywiedłym kwiecie, który odzyskał piękno pod ożywczym wiosennym deszczem.

- Nikt mi dotąd tego nie mówił.

- Nawet twój zmarły mąż?

Pokręciła przecząco głową.

- Widocznie nigdy nie widział cię w żółci. A teraz odwróć się. Madame Soigne wspomniała coś o sukni w kolorze czerwonego wina. Chciałbym cię w niej zobaczyć.

Ledwie mogła ustać w miejscu, gdy rozpinał guziki kreacji z muślinu. Nie mógł się powstrzymać i, w miarę jak spod materiału ukazywał się plecy żony, całował je raz po raz. Zadrzała i wymknęło się jej coś jakby jęk zadowolenia, a może raczej przypominało to gwałtowne wypuszczenie oddechu.

Kiedy zobaczył rąbek koszulki, pociągnął materiał w dół i serce w nim urosło, gdy zsunęła suknię z ramion i rozpięła koszulkę. Opadła do talii, a Charles, jakby chciał udowodnić, że potrafi powściągnąć żądzę, pocałował ją raz jeszcze w plecy. Potem porzucił wszelką powściągliwość.

Sięgnął ręką do jej piersi i zaczął ją lekko ugniatać, żałując po raz pierwszy od wielu lat, że nie ma obu dłoni. Sophie wtuliła się w niego, głowę oparła na jego ramieniu. Całował jej szyję, jego dłoń w przesuwaniu się pieszczotliwie coraz niżej, do talii, na

brzuch, między uda. Jej oddech przyspieszył, dała mały krok i bladożółta suknia została na podłodze. Podniecony, odwrócił ją twarzą do siebie. Sięgnęła do guzików jego spodni, gotowa przyjąć go tak, jak stali, równie niecierpliwa jak on.

Odpinała ostatni guzik, pojękując przy tym i pomrukując z podniecenia, gdy drzwi się otworzyły i Charles, spojrzawszy ponad ramieniem żony, zobaczył wstrząśniętą twarz Starkeya, który musiał właśnie wrócić z krótkiego urlopu. Charles widział, jak rozszerzone oczy sługi zwięzają się w szparki, zanim Starkey zamknął za sobą drzwi, równie cicho jak je otworzył.

Upokorzony, Charles poczuł, że braknie mu tchu, zupełnie jakby Starkey przemaszerował przez pokój, odciągnął

Sophie i wymierzył mu potężny cios w brzuch. Odskoczył do tyłu i zaczął zapinać guziki spodni, chociaż Sophie wciąż usiłowała rozwiązać tasiemki jego wybrzuszonych majtek.

- Nie! - powiedział i zabrzmiało to bardziej stanowczo i kategorycznie, niżby chciał. - Nie - powtórzył znacznie łagodniej, chociaż wiedział, że zda się to na nic.

Wolałby uniknąć wzroku Sophie, ale zdawał sobie sprawę, że nie może tego zrobić, jeśli nie chce upokorzyć jej jeszcze bardziej. Twarz miała zaczerwienioną, tak jak piersi, które usiłowała zakryć drżącymi dłońmi. Nie zadając sobie trudu zapięcia koszulki, chwyciła starą suknię.

- Przepraszam - powiedziała ledwie dosłyszalnie. - Myślałam, że chcesz... Wybacz...

Stał jak kołek, oszołomiony i zły na siebie, bo jego popędliwa reakcja postawiła żonę w fałszywej sytuacji - to on powinien ją przeproszać. Sophie drżącymi palcami zapięła guziki sukni najszybciej, jak mogła i rozejrzała się za butami, które nie wiadomo kiedy znikły z jej stóp. Z cichym okrzykiem - tym razem rozczarowania, a nie przyjemności - poddała się i nie szukała ich dłużej. Rzuciła mu przelotne spojrzenie, wydukała niezrozumiałe kolejny raz słowa przeprosin, i uciekła z salonu. Musiała wbiec na schody, bo słyszał, jak jej stopy po nich bębnią.

Całe jego dotychczasowe życie nie uchroniło go przed popełnieniem tak monstrualnej gafy jak teraz. Stał pośrodku salonu, usiłując się uspokoić. Spojrzał z poczuciem

winy na swoje spodnie i przekonał się, że podniecenie zgasło równie szybko, jak przyszło. Zniesmaczony, spojrzął w lustro i poza nienaturalną bladością, niczego nie zauważył. Upokorzenie kobiety, którą pokochał, nie pozostawiło po sobie ani śladu. Nogi się pod nim ugięły, usiadł. Sophie została zraniona. Zapewniał ją... wzajemnie się zapewniali, że musi upłynąć jakiś czas, zanim ponownie rozważą status małżeństwa, które jej narzucił. Widział, że pragnie go równie mocno jak on jej, ale mimo to nie powinni działać pochopnie. Niepotrzebnie skomplikował sytuację przesadną reakcją na obecność Starkeya. Jednak nie miał o to do niego pretensji; ostatecznie, czego by chciał, to być świadkiem tego, w czym powinni uczestniczyć tylko oni sami. Co z tym fantem zrobić?

Rozmyślenia przerwali mu malarze. Pobrzękując kubłami i śmiejąc się, wyszli z pokoju po przeciwnej stronie holu. Nasłuchiwał, jak idą, prawdopodobnie kierując się na lunch do pomieszczeń służby. On sam nie mógł nawet myśleć o jedzeniu.

To oczywiste, co musi zrobić. Porozmawiać ze Starkeyem, a potem nakłamać Sophie. Prawda by ją zniszczyła. Spojrzął ponownie w lustro i poprawił krawatę, a potem rozpiął guziki krzywo zapiętych spodni, zupełnie jak u młodzieniaszka przyłapanego na niedozwolonych czynnościach. Znów ogarnął go niesmak i złość na samego siebie. Pozapinał jak należy guziki, wziął kilka głębokich oddechów i otworzył drzwi salonu, niosąc piękne suknie żony przerzucone przez ramię. Ułożył je starannie w pudłach, a kiedy podniósł wzrok, zobaczył jedną ze służących.

- Pójdź po Gladys i Minerwę, niech ci pomogą zanieść te rzeczy na górę do sypialni lady Bright - polecił.

Dygnęła, a on przeszedł przez hol. Przed drzwiami prowadzącymi do pomieszczeń służby przystanął na dłuższą chwilę. Jakby klamka parzyła, pomyślał, i strach byłoby jej dotknąć. Wziął kolejny głęboki oddech, otworzył drzwi i zszedł po schodach. Co, do cholery, ma powiedzieć Starkeyowi, który dzielnie mu sekundował w jego beznadziejnych wysiłkach zawarcia fikcyjnego małżeństwa z Myszą? Trudno. Ja jestem tu panem. On jest moim służącym i musi się nagiąć do mojej woli.

Spodziewał się, że Starkey będzie na niego czekał w holu dla służby, i nie zawiódł się. Ledwie dostrzegalnym ruchem głowy Charles pokazał na pokój Starkeya. Tamten podniósł się natychmiast, otworzył drzwi swojego pokoju i przytrzymał je dla admirała.

W niewielkim pomieszczeniu stały dwa krzesła. Usiedli obaj. Admirał patrzył prosto w oczy sługi, zdając sobie sprawę z tego, że głupotą byłoby unikać jego wzroku.

- Szkoda, że bez ostrzeżenia otworzyłeś drzwi.

- Tak jest, panie admirale - odezwał się Starkey po dłuższej chwili. - A ja żałuję, że pan wszedł w zażyłość z kimś, kogo prawie nie zna.

Bright spiorunował Starkeya wzrokiem, kompletnie zaskoczony jego bezczelnością.

- Jak śmiesz...!

Starkey pochylił się do przodu, skracając dystans między nimi.

- Panie admirale, znamy się od dwudziestu lat. Przez ostatnie sześć miesięcy w pa-  
na życie wkradło się zamieszanie z powodu bezustannego wtrącania się pańskich sióstr. -  
Uniósł obronnym gestem dłoń. - To są pańskie własne słowa.

- Starkey... - Bright urwał. Służący miał rację. Od początku był jego powiernikiem  
w tej sprawie. - Powiedz, co o tym myślisz.

- Kiedy zdecydował się pan na pannę Batchthorpe, znał pan przynajmniej jej brata,  
złożył pan stosowną wizytę i postawił sprawę wystarczająco jasno.

- Rzeczywiście.

- A potem... - służący rozłożył obie ręce - wrócił pan ożeniony z zupełnie obcą  
osobą. I tego samego wieczoru zapewnił mnie pan, że to fikcyjne małżeństwo.

Bright milczał przez dłuższy moment. Oparł łokcie na kolanach i pochylił się, tak  
że nie musiał patrzeć Starkeyowi w oczy. Czuł, że ogarnia go złość na tego mężczyznę,  
którego znał rzeczywiście o wiele dłużej niż Sophie, wypłakującą pewnie teraz oczy.  
Starkey zachowywał się bezczelnie, ale nie było sensu go obwiniać ani się gniewać,  
zwłaszcza że miał rację. Nie było też sensu próbować go ułagodzić. Postanowił, że wyja-  
śni mu tę sprawę raz na zawsze.

- Czy kiedykolwiek... - Admirał urwał. Pytać go o to, czy kiedykolwiek był zako-  
chany, oznaczało zdradzić się ze swoją słabością w jego mniemaniu. - Czy kiedykolwiek  
miałeś okazję podawać w wątpliwość mój osąd?

- Nie, proszę pana - odparł, poruszywszy się niespokojnie na krześle.

Bright poczuł się na nieco pewniejszym gruncie.

- Nawet wtedy, gdy nie do końca rozumiałeś, co zamierzam przedsięwziąć, wydając rozkazy?

- Oczywiście że nie, proszę pana! Przecież to nie... nie była moja sprawa - dokończył bezbarwnie brzmiącym głosem.

- Podobnie jak teraz - uświadomił mu Charles i wstał. Starkey siedział nadal i ta niesubordynacja zdziwiła admirała, ale przypisał ją zmieszaniu służącego. - Nie będziemy więcej o tym rozmawiać. Musisz przyjąć do wiadomości, że to wyłącznie moja sprawa, tak jak było nią dowodzenie flotą i wzięcie odpowiedzialności za okręty i ludzi.

Starkey zerwał się na równe nogi i zacisnął dłonie w pięści.

- Niech mi pan wybaczy, proszę pana, ale nic pan o niej nie wie!

Charles nigdy by nie pomyślał, że będzie musiał udzielić reprimendy człowiekowi, który służył mu wiernie przez niemal całą wojnę i zawsze był posłuszny. Przywołał na pomoc cały swój autorytet i spiorunował go pełnym pogardy wzrokiem, jakby był nikim.

- Nie waż się więcej zapomnieć, kim jesteś!

Odwrócił się na pięcie i wyszedł. Wchodził po schodach z ciężkim sercem. Obraził Starkeya, a nie znał człowieka, który służyłby mu wierniej. Nie mógł się pozbyć uczucia, że zrobił coś złego i to całkiem niepotrzebnie. On ma rację, wiesz o tym, nieważne, jak mocno usiłujesz nie dopuszczać tego do świadomości. Rzeczywiście prawie jej nie znasz.



## Rozdział osiemnasty

Lato było naprawdę wspaniałe i słoneczne, mimo to Sophie miała lodowate dłonie. Może to twarz tak ją paliła ze wstydu, że wydały jej się zimne, gdy przyłożyła je do gorących policzków. Nie płakała, nie była w stanie. Zastanawiała się, jak będzie dalej żyć pod jednym dachem z mężczyzną, który ją odrzucił. Zamknęła oczy i zaczęła analizować to, co wydarzyło się w salonie. Pierwszy zaczął ją całować po plecach, potem jego ręka pieściła jej piersi i nie tylko. Po ich pierwszym zbliżeniu, kiedy zapaliła się jak wysuszone hubka, musiał wiedzieć, jak ją podnieca. A kiedy odwrócił ją twarzą do siebie i przytulił, nie było mowy, żeby się pomyliła co do tego, że oboje byli jednakowo gotowi.

Nie mogła się pozbyć nasuwającego się natrętnie obrazu Charlesa, tak bardzo podnieconego, że był gotów wziąć ją w biały dzień pośrodku salonu. Zachnęła się, poczuwszy, jak wbrew jej woli gorąco zaczyna zdradziecko rozlewać się w jej podbrzuszu na samą myśl o tym, co chcieli zrobić. Zrobiłaby wszystko, o co by ją poprosił, bo go kocha.

Kocha go. Dobrze, że mu tego nie powiedziała. Zwłaszcza że w następnej chwili odprawił ją niczym prostytutkę, która nagabywała go w Plymouth, gotowa zaspokoić go gdzieś w załomie ściany za nędzną zapłatę. Andrew opowiadał jej z pogardą o takich włóczących się w porcie kobietach. Skrzyżowała ramiona i zadrżała na całym ciele.

Co Charles sobie teraz o mnie myśli? Ale... dlaczego w takim razie to zaczął? Nie znalazła odpowiedzi, zwinęła się więc na łóżku i nie poruszyła do momentu, aż rozległo się pukanie do drzwi.

- Psze pani, psze pani?

Dziewczynki. Otworzyła drzwi i zobaczyła je ze swoimi ślicznymi nowymi strojami, których wcale nie chciała oglądać.

- Dziękuję, moje kochane - powiedziała i miała nadzieję, że zabrzmiało to pogodnie. - Ustawcie pudła to w garderobie.

Ze ściśniętym sercem obserwowała je przez otwarte drzwi. Mimo wszystko musiała się uśmiechnąć, gdy Minerwa uchyliła wieko jednego z pudeł na kapelusze i pisnęła z zachwytu. Pozostałe natychmiast zgromadziły się wokół niej, a Gladys zaczęła nawet podskakiwać.

- Ładne, tak? - spytała, gdy wyszły z garderoby. - Kiedy zejdziecie na dół, poproście pannę Thayn, aby przyszła po południu je poukładać.

Dygnęły wszystkie trzy, nieskładnie i niezręcznie, co znów skłoniło ją do uśmiechu.

- Vivienne, co panna Thayn robi z wami na dole?

Oczy dziewczynki rozblęły, podeszła bliżej.

- Daje nam lekcje. Czy pani wiedziała, że Wiedeń jest stolicą Austrii?

- Coś mi się obilo o uszy. Co poza tym robi?

- Monsieur Dupuis uczy ją gotować. - Vivienne spojrzała na swoje towarzyszki i wszystkie trzy dziewczynki zachichotały.

- Pewnie coś się za tym kryje - stwierdziła Sophie. - Idźcie już. Jeśli Etienne znajdzie wolną chwilę, powiedzcie mu, że wołałabym zjeść lunch tutaj, a nie na tarasie.

- Nie spojrzę mu w twarz - powiedziała do siebie, ledwie drzwi się zamknęły za małymi pomocnicami.

Nie miała ochoty na jedzenie. Usiadła na ławeczce w wykuszu i, patrząc na ocean, zadała sobie pytanie, dlaczego zgodziła się wyjść za Charlesa Brighta. Była trzeźwo myślącą kobietą, od razu więc odpowiedziała na głos na to pytanie, kierując wyjaśnienie do skrzeczących na tarasie mew.

- Bo był bardzo przekonujący, a ja zdesperowana.

Objęła się ramionami. Gdybym nie wyszła za Charlesa Brighta, harowałabym w przytułku. Taka była prawda. Niezależnie od okoliczności była legalnie poślubioną małżonką mężczyzny, który w zamian za pewną przysługę ofiarował jej opiekę. Swoją obecnością miała zapewnić mu ochronę przed siostrami do czasu, aż same zrezygnują z wtrącania się w jego życie. Zapropnowała admirałowi spisywanie pamiętników, i to była już jej inicjatywa. Nie prosił jej o to, aby odgrywała siostrę miłosierdzia wobec sąsiadów ani sprowadzała z Devonu szukających zatrudnienia nieszczęśników. Chciał tylko, aby prowadziła mu dom i nie stawiała żadnych szczególnych żądań.

Zastanowiwszy się nad tym wszystkim trzeźwo, o ile to było możliwe, doszła do wniosku, że można jeszcze opanować sytuację pod jednym warunkiem: admirał nie może

zapominać, o co poprosił ją w kościele pod wezwaniem Świętego Andrzeja. Mimo to i tak nie odważy się spojrzeć mu w oczy, uznała.

Pomyślała o Andrew. Działał metodycznie i skrupulatnie podchodził do swoich obowiązków, co oznaczało niezliczone kolumny liczb i towarów. Spokojny, przewidywalny i pospolity tak jak ona dopóty, dopóki nie spotkało go nieszczęście. Nie potrafił zmusić się do działania, walczyć, chociaż racja była po jego stronie. Co się stało, to się nie odstanie. Pozostaje mi tylko robić to, czego się po mnie oczekuje, podsumowała Sophie.

Po podjęciu decyzji zazwyczaj powracał jej spokój ducha. Tak było i teraz, przynajmniej do czasu, aż rozległo się znajome pukanie do drzwi. Charles zastukał hakiem, więc musiał coś trzymać w drugiej ręce. Prawdopodobnie lunch dla niej. Jeśli mu nie otworzy, będzie stał pod drzwiami. Raczej trudno mu będzie postawić tacę na podłodze, prędzej ją upuści. Mimo to nie poruszyła się dopóty, dopóki pukanie nie powtórzyło się.

- Sophie? Przyniosłem jedzenie dla ciebie. Mam babeczkę, możesz nią we mnie rzucić.

Czy on nie rozumie, że nie chcę go widzieć? - zadała sobie w duchu pytanie, zniecierpliwiona. Po chwili odezwała się lepsza strona jej osobowości, tak samo jak wtedy, w kościele Świętego Andrzeja. Dystans od okna do drzwi nagle znacznie się wydłużył, ale jakoś go pokonała.

- I tak szedłem na górę, a Etienne zaangażował wszystkich do pomocy w kuchni - wyjaśnił Charles, gdy otworzyła drzwi.

Spojrzał jej prosto w oczy, a ona, wbrew wcześniejszym postanowieniom, nie potrafiła odwrócić wzroku. Z ulgą stwierdziła, że na jego twarzy nie gości denerwujący półuśmieszek, przeciwnie, była pełna skruchy. Łzy napłynęły jej do oczu i zaszlochała głośno, niepowstrzymanie. Przycisnęła rękę do ust i schroniła się na ławeczce w wykuszu.

Charles ustawił tacę na stoliku, przytrzymując ją hakiem. Obserwowała go kątem oka, jak bierze babeczkę i niesie ją do niej.

- Gdyby Etienne nie gotował tak dobrze, byłaby twarda jak kamień. Jest pulchna i miękka, ale i tak możesz nią we mnie rzucić.

Wyrwała mu ją z ręki i rzeczywiście cisnęła w niego, lecz chybiła. Admirał roześmiał się.

- Straciłaś jedyną szansę. - Sięgnął do kieszeni. - Proszę, oto chusteczka. Otrzyj ły, wydmuchaj nos i wybac mi. Kolejność może być oczywiście inna. Niemniej na początek doradzałbym porządne wyczyszczenie nosa.

Patrząc na niego płomiennym wzrokiem, wydmuchwała nos. Najlepiej złapać byka za rogi, pomyślała.

- W salonie wydawało mi się, że mnie pragniesz.

- Tak było - przyznał bez wahania, chociaż twarz mu lekko poczerwieniała. - Sophie, czy nie słyszałaś, jak malarze weszli do holu, pobrzękując wiadrami? Przestraszyłem, że któryś może do nas zajrzeć.

Nie przypominała sobie, żeby było słycać jakieś hałasy. Inna sprawa, że nie interesowała się nimi, a już na pewno nie wtedy, gdy Charles przygarnął ją do piersi. Jeszcze chwila, a leżałaby na kanapie, oddając się czynności, na którą przyzwoici ludzie nie ośmieliliby się w salonie.

- Nie słyszałam hałasów. Admirale, może powinniśmy raz jeszcze przedyskutować, na czym polega małżeństwo oparte o konkretną umowę - odważyła się zaproponować.

- Masz rację. - Podrapał się po głowie hakiem, co zawsze wywoływało u niej uśmiech, ale tym razem opuściła głowę, żeby go ukryć. - Nie zachowywałem się właściwie.

- Ja też nie - wyszeptwała. - To się rozwinęło tak niespodziewanie szybko...

- Trudno zaprzeczyć - powiedział, siadając obok niej.

- Nie znasz mnie dobrze.

Ściągnął brwi z namysłem, jakby jej słowa o czymś mu przypomniały.

- Rzeczywiście nie. Ty też mnie nie znasz.

Właśnie, że znam. Jesteś dobry, szlachetny i ujmujący, jedyny mężczyzna, jakiego pragnę. Zaskoczyła ją to myśl i przestraszyła. Sophie, albo jesteś największą ladacznicą w całej Anglii, albo miłość robi z człowiekiem, co chce.

- Co za żaloszny stan rzeczy! - podniosła głos. - Proszę, żadnego spisywania wspomnień dzisiejszego popołudnia! - Nie powinna tego mówić, zdawała sobie sprawę, że

sprawi mu przykrość. Nie wiedziała, czy starczy jej odwagi, aby spojrzeć mu w twarz po tych nieszczęsnych wydarzeniach, tymczasem zjawił się tutaj, aby wszystko załagodzić. - Przepraszam cię - dodała znacznie łagodniej. - Po prostu sama nie wiem, co robić.

- Nic nie szkodzi. - Wstał i poklepał ją po głowie. - Powiniennem złożyć wizytę lordowi Brimleyowi, żeby mu podziękować za doskonałego zarządcę. Może jutro?

Skinęła głową i powiedziała:

- Jeśli lord Brimley zaprosi cię na kolację, to mu nie odmawiaj.

Teraz naprawdę go uraziła, poznała to po wyrazie jego oczu. Wyszedł z pokoju, nie oglądając się za siebie.

Nie wrócili do spisywania wspomnień admirała przez cały tydzień. Po kilku dniach Sophie doszła do wniosku, że nie pamięta, aby kiedykolwiek czas tak się jej dłużył. Charles niezmiennie przynosił jej rano herbatę, ale stawiał filiżankę na nocnym stoliku, wypowiadał kilka uprzejmych słów, które brzmiały mechanicznie i zdawkowo, a potem wychodził i wypijała herbatę sama.

Poranki spędzała z panią Brustein i doszło do tego, że uklękła przy jej łóżku i wypłakała się. Delikatny dotyk dłoni starej kobiety był jak uśmierający balsam dla znękałej duszy. Nie wyznała, co ją doprowadziło do łez, ale nie miało to najmniejszego znaczenia.

- Mężczyźni to osobny gatunek - pocieszała ją pani Brustein. - Popatrz tylko na nas. Jesteśmy małżeństwem od czterdziestu lat.

Lunche na tarasie nie były takie złe. Zawsze było coś do omówienia, zwłaszcza że koszty reperacji rosły w zastraszającym tempie w miarę odkrywania coraz nowych usterek.

- Jest dobre określenie na tego rodzaju domy jak nasz - powiedział Charles któregoś dnia, gdy siedzieli przy lunchu na tarasie. - Worek bez dna.

Powinna mu współczuć. Przepraszać za cieknący dach, kruszące się kominy, wodę zalewającą podłogę w pralni - dlaczego kobiety zawsze muszą się czuć winne? - ale nie zrobiła tego. W końcu to nie ona kupiła tę posiadłość.

- Zrównaj go z ziemią i wybuduj nowy - poradziła.

- Gdzie będziemy mieszkać?

Poczuła się tak, jakby obmył ją oczyszczający deszcz. Troszczył się o nią nawet wtedy, gdy się na niego dąsała.

- Gdzieś pod mostem albo pod schodami.

Roześmiał się, a ona niewiele myśląc, wzięła babeczkę i rzuciła nią w niego. Tym razem trafiła. Zrewanżował się jej tym samym, tyle że chybił, co rozbawiło Sophie. Po raz pierwszy od prawie tygodnia znów się śmiała.

Tego samego popołudnia wznowili spisywanie pamiętników.

Sierpień przebiegał im dość dziwnie. Co rano Sophie wyczekiwała stuknięcia haka o drzwi. Mąż siadywał przy niej, podczas gdy piła herbatę. Najpierw na krzesło, które przysuwał sobie do łóżka, a pod koniec miesiąca, gdy poklepała kołdrę koło siebie, na łóżku, pilnując się, aby jej nie dotknąć.

Kilka razy towarzyszył jej podczas wizyty u Brusteinów, zaszedł nawet do sypialni pani domu, ponieważ Sophie poprosiła go o to w przeddzień przy kolacji, mówiąc, że Rywka Brustein chętnie posłuchałaby jego wojennych opowieści. Starła się go przygotować na widok, który zobaczy, ale nie na wiele się to zdało. Nie wyobrażał sobie, że umierająca kobieta może być tak krucha i słaba. Ledwie zdołała unieść dłoń, gdy wszedł do pokoju.

- Zmieniła się bardzo od naszej pierwszej wizyty - skomentował, gdy opuścili dom Brusteinów.

- Próbowałam cię na to przygotować.

- To jest trudne dla naszej wyobraźni, prawda? Na szczęście Jakub Brustein jakoś się trzyma.

Sophie kiwnęła głową bez przekonania.

- Charles, ludzie zwykle chcą się pokazać innym z najlepszej strony.

- My też? - spytał.

Nie odpowiedziała, choć uważała, że do nich też się to stosowało. Przed tygodniem przyjmowali kapitanów, którzy służyli wraz z admirałem. Z początku czuła się onieśmielona i starała się jak najmniej rzucać w oczy, chociaż nie musiała się obawiać, że któryś z nich ją rozpozna. Wieczorem podano posiłek na tarasie, ponieważ pogoda była piękna, śmiała się z opowiadanych przez nich historii i promieniała z zadowolenia, kiedy

Charles zaczął nalegać, aby przeczytała im fragment pamiętników, zapewniając przy tym, że to ona jest ich prawdziwą autorką.

- Opowiedziałem jej kilka znanych wam historii, dodałem trochę szczegółów, obrazujących, jak wygląda życie na morzu, a ona tak to ujęła, że jest interesujące. Każdy próżny, chełpiący się swoimi dokonaniem admirał powinien mieć takiego sekretarza - oznajmił Charles i uniósł w jej kierunku kieliszek z winem. - Źle dobrałem słowo. To ona jest prawdziwą twórczynią obrazu mojego życia.

Zaczerwieniła się, a potem rzucała na niego podczas obiadu ukradkowe spojrzenia. Jego słowa przysły jej na pamięć, gdy przygotowywała się do snu. Nie mógł mówić tego poważnie. Jego życie było ekscytujące, ważne dla każdego w Anglii. A ona? Co takiego zrobiła poza przelaniem jego słów na papier? A jednak nie mogła zasnąć, podekscytowana pochwałą i żądna następnych.

Ze służbą nie było kłopotów. Thayn szybko poukładała jej nowe piękne stroje, a jej precyzja i dobre wychowanie okazały się bardzo przydatne w kwestiach garderoby. Co prawda, myśli kierowała w stronę kuchni, czego trudno było nie zauważyć. Sophie z początku myślała, że chodzi o jej małe uczennice, jak je nazywała. Główna pokojówka okazała się też wspaniałym nabytkiem i z własnej woli uczyła Minerwę i Gladys zawodu. Etienne poświęcał wiele czasu Vivienne i najwyraźniej sprawiało mu przyjemność przekazywanie jej tajników dobrej kuchni. Niemniej dla każdego, kto umiał patrzeć, było oczywiste, że właściwym przedmiotem jego zainteresowania była panna Thayn. Nawet Charles to zauważył.

- Sophie, moja droga, mój szef kuchni chyba jest zakochany - stwierdził przy kolacji w kilka dni po wyjeździe goszczących u nich kapitanów fregat.

- Jestem tego pewna - odparła.

- Powinienem coś powiedzieć, zrobić?

- Nie, Charlie. Zaufaj francuskiej naturze - powiedziała spokojnie, a on roześmiał się i zmierzwił jej włosy. Nie mogła go tego oduczyć.

Była łyżka dziegciu w tej beczce miodu. Czasem Sophie wydawało się, że sobie to ubzdurała, i być może przesadza. Odnosiła jednak wrażenie, że Starkey pozwala sobie

traktować ją ozięble, a nawet z góry. Nie obchodziłoby to jej, gdyby nie to, że przyglądał jej się czasem badawczo, co ją deprimowało.

Być może chodziło o to, że czuje się zagrożony w swojej roli niezastąpionego sługi i powiernika, człowieka odpowiedzialnego za cały dom i służbę. Zebrała się któregoś ranka na odwagę i zapytała go, czy przypadkiem zarządzając domowymi sprawami, nie wchodzi mu w paradę.

- Nie, lady Bright, nie wchodzi pani - oświadczył Starkey.

Zabrzmiało to beczelnie i tak, jakby miał w tej sprawie odmienną opinię.

- Powiedz mi, gdyby tak się zdarzyło. - Sophie zmusiła się do odpowiedzi, chociaż nie rozumiała, dlaczego jest wobec niej tak nieprzychylnie nastawiony. - Za nic nie chciałabym zawłaszczyć twojego miejsca.

- Nie? - wymamrotał zgryźliwie.

Poczuła, że policzki jej płoną. W niczym nie przypominał Starkeya, który przywitał ją w maju.

- Na pewno nie - podkreśliła i z ulgą usłyszała, że Charles wzywa kamerdynera do jakiejś drobnej posługi.

Na odchodnym Starkey posłał jej badawcze spojrzenie. Zdecydowała, że lepiej go unikać i nie wchodzić mu w drogę. A może wspomnieć o tym Charlesowi? Po namyśle uznała, że nie warto. Ostatecznie pan i jego sługa ufali sobie i znali się od lat. Postanowiła, że nie da Starkeyowi powodów do zaniepokojenia.

Sierpień się skończył, coraz krótsze dni wrześnie zapowiadały nadejście kolorowej jesieni. Sophie coraz jaśniej zdawała sobie sprawę z tego, że szczerze i głęboko kocha Charlesa Brighta. Od czasu niefortunnego epizodu w salonie nie pozwalał sobie na żadne poufałości poza okazjonalnym dotknięciem jej ramienia albo potarciem wnętrzem dłoni jej głowy, co ją zawsze pobudzało do śmiechu. Ona też zaczęła przelotnie dotykać jego ramienia. Pomijał to milczeniem, ale widziała, jak rozjaśniają się jego oczy.

Nie wiadomo, które z nich to zapoczątkowało, ale nabrali zwyczaju spacerowania po kolacji wybrzeżem. Admirał w dalszym ciągu wspominał pobyt w marynarce, idiotyzmy, które popełnił, kiedy był jeszcze kadetem, wymysły, jakimi obrzucał go nawigator, gdy źle zinterpretował pomiary sekstansem. Często trzymali się za ręce, gdy opowiadał o



zamorskich portach i dziejących się w nich dziwnych scenach, które Sophie ledwie mogła sobie wyobrazić.

Któregoś dnia zaczęła nieśmiało opowiadać mu o dzieciństwie spędzonym w Dundrennan, a wtedy uniósł jej dłoń i ucałował ją, a potem wsunął sobie pod ramię.

- Nigdy nic mi nie mówisz o sobie, Sophie. Chciałbym wiedzieć o tobie więcej.

Omam mu nie wyznała, co się przytrafiło Andrew, jak go niesprawiedliwie oskarżono o fałszowanie dostaw. Coś jej mówiło, że najrozsądniej byłoby to utrzymać w tajemnicy. Jednak z każdym dniem kochała Charlesa coraz bardziej i zachowywanie tajemnicy w takiej sprawie wydawało jej się co najmniej niewłaściwe.

Aż do pewnego popołudnia, gdy zaczął z nią rozmawiać o ciemnej stronie swojej kariery. Siedział po przeciwnej stronie biurka, rozparty na krześle, z nogami opartymi o blat. Kiedy Starkey pierwszy raz zobaczył admirała w tej pozycji, wziął głęboki oddech i spojrzał na Sophie tak, jakby obwinił ją o to, że admirał nie zachowuje nienaganych manier.

- Czy powinienem włączyć do pamiętników także opisy nieprzyjemnych obowiązków? - spytał.

Roześmiała się i nachyliła ku niemu nad biurkiem.

- Charlie, żadna z twoich opowieści w niczym nie przypomina wspomnień przeciętnego zjadacza chleba. Czy masz w zanadrzu coś gorszego?

- Dla mnie tak. Moje obowiązki obejmowały także uczestniczenie w rozprawach sądu wojennego i podejmowanie działań obnażających ułomność ludzi, którzy powinni być nieugięci.

Słuchała, robiła notatki, zadawała mu pytania, a on przypominał sobie co bardziej spektakularne rozprawy toczące się przed sądem wojennym.

- Niektórzy z oskarżonych byli odrażający, inni niekoniecznie. Czasem jakiś drań ogłaszał swoją niewinność, nawet jeśli wszystkie dowody świadczyły przeciwko niemu. - Zdjął nogi z biurka i nachylił się do niej. - Takich chyba nie znośm najbardziej.

- Chcesz podać jakiś przykład czy przechodzimy dalej?

Był w nastroju do wspomnień.

- Był taki jeden przypadek, dość głośny. Być może słyszałaś o nim. Inspektor Zapatrzenia Marynarki Wojennej w Portsmouth został przyłapany na celowym dostarczaniu zepsutej żywności marynarzom odbywającym długie rejsy.

Sophie wypadł z dłoni ołówek. Zdołała zdusić okrzyk, gdy podniosła go z podłogi.

- Znalazłaś? - spytał Charles. - Poproszę jutro Starkeya, żeby zaostrzył ci kilka nowych. Tak jak mówiłem, był to głośny proces. Flota płynęła na Karaiby. Na trzech jednostkach marynarze padali jak muchy na skutek zatrucia pokarmowego. Niemal cała eskadra wyginęła. Czy mówię za szybko?

Machinalnie potrząsnęła głową. Oddech miała urywany, w głowie jej się kręciło. Przyjrzał się jej uważniej i ściągnął brwi.

- Wyglądasz, jakbyś zjadła zepsutą wołowinę.

- Nie... to nic... - wyjąkała. - Może słońce za mocno grzało na tarasie.

- Pada - przypomniał jej łagodnym głosem. - Jedliśmy w domu.

- Prawda. - Potrząsnęła głową, jakby chciała odpędzić złe myśli, chociaż wiedziała, że to nie pomoże. Charles uczestniczył w procesie! Ledwie mieściło się to jej w głowie. - Tak, rzeczywiście. Mów dalej.

Wzięła ołówek, ale znów wysliznął się jej z palców. Charles uśmiechnął się, podniósł go i wsunął w jej zdrętwiałe palce.

- Masz miękkie serce, moja droga. Rzeczywiście to było straszne. Tylu naszych umarło, i to w cierpieniach, a wszystko dlatego, że jakiś ceniony urzędnik okazał się chciwy. Nie zapomnę przyjemności, jaką czułem, patrząc w jego oczy, gdy sędzia ogłaszał „winny”. Jak on się nazywał? Andrew... Andrew Daviess. Chyba wszyscy wiatowaliśmy. Ale wiesz co? Ta kreatura ubiegła nas. Powiesił się, zanim zdążyliśmy to zrobić.

## Rozdział dziewiętnasty

Za dużo na nią zważyłem, pomyślał Charles, widząc, że jego żona oparła głowę o biurko. Zapewne relacje z procesów tak ją przygnębiły, ale przecież radziła sobie lepiej, gdy opowiadałem o Trafalgarze, morzu krwi i przerażającej liczbie zabitych.

- Przykro mi, kochanie. Może Etienne podał ci nieświeże jajko na śniadanie? - Położył dłoń na jej głowie. - Sophie, powinnaś się położyć. Zaprowadzę cię do twojego pokoju.

Gdy dotarli na miejsce, bez słowa pozwoliła się objąć i nie protestowała, gdy pocałował ją w policzek. Na sekundę przywarła do niego, ale zaraz skuliła się, jakby ją coś bolało.

- Powinienem wezwać lekarza? - spytał zaniepokojony Charles, sadzając żonę na łóżku.

- Och nie. Zaraz mi przejdzie. Zostaw mnie samą.

Zdjął jej buty i przysiadł koło niej. Przyłożył hak do jej pięknej sukni w kolorze czerwonego wina, którą tak lubił, nawet bardziej niż bladożółtą muslinową, i zaczął rozpinąć guziki, ale powstrzymała go, kładąc dłoń na jego ręce.

- Dam sobie radę.

Wstał i posłał jej pocałunek, używając haka, co zawsze ją rozśmieszało. Tym razem popatrzyła na niego pustymi oczami, a potem przymknęła powieki, jakby ból stał się nie do zniesienia.

- Posyłam Starkeya po lekarza - powiedział stanowczo.

- Nie potrzebuję lekarza, Charles. Wierz mi, to przejdzie.

Zdecydowanie nie chciał wychodzić z tego pokoju.

- Sophie...

- Nie teraz. Proszę.

Admirał samotnie zjadł kolację, spokój zakłócał mu tylko Starkey, który przyjął wiadomość o chorobie Sophie bez zainteresowania. Nawet jakby uśmiechnął się pod nosem. Nie, musiał się pomylić, Starkey nie był taki. Wspomniawszy Thayne o nagłej słabości

żony, a ona zapewniła go, że zaraz zaopiekuje się Sophie. Kiedy zobaczył ją później, powiedziała, że lady Bright jest po prostu zmęczona.

- Nie ma powodów do zmartwienia, panie admirale. Nic nie mógł na to poradzić, że się martwił.

Nie spał w nocy. Krążył po pokoju i kilkakrotnie wychodził do holu, aby nasłuchiwać u drzwi żony. Rano zaniósł jej herbatę, modląc się w duchu, żeby była w lepszej formie. Ku jego uldze, siedziała na łóżku i uśmiechała się prawie tak samo jak zwykle, bo cień przygnębienia znaczył jej twarz. Odsunęła się, żeby mógł usiąść obok niej i nie protestowała, gdy powiedział, że powinni zrobić kilkudniową przerwę, zanim wznowią pisanie pamiętników. Może tydzień, jeśli ona nie uważa, że to zbyt długo.

- Dziękuję, Charles - powiedziała, popijając herbatę. - Ja... ja... Może za bardzo martwię się o panią Brustein. Może powinnam tam przebywać dłużej, zorientować się, czy nie mogę bardziej jej pomóc.

- Godny pochwały pomysł, moja droga.

Kiedy tak siedzieli, spoglądając na siebie, zauważył, że w oczach Sophie czai się smutek. Czyżby Rywka Brustein tak wiele dla niej znaczyła? - zastanawiał się Charles. Może dlatego, że nie pozostał jej nikt z bliższej rodziny.

- Sądzę, że ona ciebie potrzebuje, moje kochanie. Byłbym zapomniał. - Sięgnął do małej kieszonki surduta. - Może to ci pozwoli lepiej zacząć dzień.

Wczoraj pocztylion dostarczył mu pierścionek, który zamówił latem. Miał zastąpić prostą obrączkę, odpowiednią dla Myszy, ale nie dla Sophie, świecącej jak poranna gwiazda na jego niebie. Wyciągnął pudełeczko hakiem i otworzył palcami drugiej ręki.

Pierścionek upadł na łóżko i leżał tam, połyskując. Sophie wciągnęła powietrze i zakryła twarz dłońmi. Zaczęła szlochać, a on odetchnął głęboko, niepewny, jak ma to przyjąć. Przecież jego dar nie mógł jej wprawić w jeszcze większy smutek. Za duży klejnot? Według niej krzykliwy? Dlaczego nikt dotąd nie napisał podręcznika dla mężów?

- Sophie, powiedz mi, czy ci się podoba - powiedział w końcu.

- Jest piękny - odparła, ale nie zrobiła najmniejszego ruchu, żeby go podnieść.

Może mu się wydawało, ale poruszyła się niespokojnie na łóżku, jakby chciała odsunąć się od pierścionka.

- Ten, który noszę, całkowicie wystarczy.

Prawdziwa z niej Szkotka, pomyślał i uśmiechnął się.

- Dla Myszy tak, ale nie dla ciebie. Wyraźnie mi powiedziałaś, że chcesz brylanty i szmaragd.

- Żartowałam. Jesteś szczodrym człowiekiem, Charles, ale przy tych wszystkich wydatkach na dom... Ja... nie mogę go przyjąć.

- Będziesz musiała - oznajmił nieznoszącym sprzeciwu tonem, jak przystało na admirała. - Został zrobiony specjalnie dla ciebie. Stać mnie na tę błyskotkę, zresztą, podjąłem to ryzyko, że będziesz mnie kochać wyłącznie dla moich pieniędzy. Wyciągnij łapkę jak grzeczna dziewczynka.

Nie dał jej żadnego wyboru, sam sięgnął po jej dłoń i oparł ją sobie na haku. Delikatnie zdjął za dużą obrączkę, którą pracowicie owinęła wokół nicią, żeby się nie zsunęła, i włożył jej pierścionek na palec. Pasował doskonale.

- Zrobiony na twoją miarę i dla nikogo więcej, Sophie. Dziękuję ci, że zostałam moją żoną. To było wspaniałe lato. Zobaczymy, co nam przyniosą jesień i zima.

Nie protestowała, gdy ją przyciągnął do siebie. Objęła męża za szyję, jedna jej ręka delikatnie wśliznęła się w jego włosy. Wtedy nachylił się do jej ust. Odpowiedziała mu gorącym pocałunkiem, który natychmiast go rozpałił. Nie bawił się w zdejmowanie haka, wstał tylko, żeby zamknąć drzwi na klucz i natychmiast wrócił do Sophie. Zdjęła koszulę nocną i leżała naga, patrząc na niego.

Ściągnął szybko spodnie - od dawna zżył się z hakiem na tyle, by nie sprawiało mu to kłopotu, a bieliznę pomogła mu zdjąć żona. Przyciągnęła go do siebie tak samo, jak wtedy, w czerwcu, i objęła. Jego dłonie, oczy, wargi zaznajamiały się z jej ciałem. Potem ona poznawała jego ciało. Pragnął jej, ale nie przestała go pieścić, aż niemal pozbawiła go sił. Spojrzała mu w oczy z tak bliska, że jej źrenice się zbiegły i spytała niskim, nabrzmiałym głosem:

- Charlie?

Niczego innego nie pragnął, gdy w końcu się z nim złączyła.

- Kocham cię, Sophie - wyszeptał, kiedy chwilę później wygięła się nad nim, wydając okrzyk rozkoszy.

Charles pomyślał o tym, że przez tyle lat był pozbawiony miłości kobiety, a potem przestał o tym myśleć i poczuł, że w jego sercu zagościł spokój. Dał jej wszystko, co miał do zaoferowania, i czuł, że to przyjęła, sercem i ciałem.

Leżeli obok siebie przez większą część poranka, kochając się i odpoczywając. Przytuleni do siebie, na krótko zapadali w drzemkę. Przebudzony Charles pieścił piersi żony, zsuwał dłoń niżej, na jej brzuch, a ona prowadziła ją jeszcze niżej i wiedział, czego pragnie. Zaspokajał ją na wszelkie sposoby, jakie znał, i spędziliby pewnie cały ten dzień w łóżku, gdyby Thayn nie zapukała do drzwi. Sophie uniosła się nad nim i przyłożyła sobie jego dłoń do piersi.

- Tak? - spytała.

- Proszę pani, pan Brustein przysłał służącego... Prosi, żeby pani przyszła - odpowiedziała Thayn zza zamkniętych drzwi.

Sophia podbiegła do umywalki i pośpiesznie zrobiła toaletę. Twarz miała napiętą, jej mina wyraźnie mówiła o wyrzutach sumienia z powodu zaniedbanego obowiązku.

- Och, Charles, a jeśli jej się pogorszyło? - spytała, odwracając się, aby zapiął guziki jego ulubionej sukni w kolorze czerwonego wina.

- To na pewno ją pocieszysz. - Pocałował ją w kark. - Podaj mi szczotkę do włosów.

Siedziała nieruchomo przy toalecie, a on szczotkował jej włosy. Upięła je szybko w węzeł. W lustrze zobaczył jej zmartwione oczy. Pocałował ją w policzek i szepnął:

- Sophie, porzuć obawy.

Potrząsnęła głową, rzuciła mu pożegnalne spojrzenie, posłała całusa od drzwi i usłyszał, jak schodzi pośpiesznie po schodach. Kiedy wrócił do swojego pokoju i wyjrzał przez okno, zobaczył, jak biegnie po podjeździe, z uniesioną wysoko spódnicą, żeby się nie potknąć.

Umył się i ubrał starannie, zadowolony, że po wczorajszych dolegliwościach żony nie zostało ani śladu. Zapinając kamizelkę, zdecydował, że gdy wznowi opowiadanie, nie wróci więcej do pożałowania godnych relacji z sądem wojennego. Nie ma powodu, żeby ludzie musieli pamiętać o takich łajdakach jak Andrew Daviess.

Sophie wróciła dopiero późnym popołudniem. Szła wolno, ze zwieszoną głową. Jej widok sprawił ból admirałowi, bo całym swoim ciałem wyrażała rezygnację. Wychylił się przez frontowe okno i wykrzyknął jej imię, a ona podniosła głowę i zaczęła biec. Kiedy otworzył drzwi, rozłożyła bezradnie ręce, a on, przeskakując po dwa stopnie naraz, wziął ją w objęcia.

Żona wydawała mu się bardzo lekka, gdy niósł ją do salonu. Ułożył ją na kanapie, a sam ukląkł przy niej. Obejmował ją, gdy płakała. Poszła spać do swojego pokoju, ale w końcu znalazła się w jego sypialni. Leżeli przytuleni do siebie, aż jej ciało rozluźniło się i zapadła w niespokojny sen, nieprzynoszący odpoczynku.

Rano kochali się niespiesznie, roztapiając smutek w radości, którą sobie dawali. Miał wrażenie, że Sophie nie chce, aby się rozdzielili. W końcu szepnęła mu do ucha:

- Charles, kocham cię, i to nie od dzisiaj. To najbardziej nierozsądne małżeństwo z rozsądku pod słońcem.

Roześmiał się i przyznał jej rację. Kochał ją każdym nerwem swego ciała, z całego serca. Nie było większego od niego szczęściarza na wyspach.

Madame Soigne była przewidująca. Między wszystkimi pięknymi strojami, które Sophie zamówiła, znalazła się i czarna suknia. Kiedy się w nią ubierała, powiedziała do męża:

- Twierdziła, że każda dama powinna mieć czarną suknię. Och Charles, nie myślałam, że wkrótce ją założę.

Szli podjazdem, trzymając się za ręce. Liście zaczynały opadać, choć większość w przepysznych odcieniach żółci i czerwieni wciąż jeszcze wisiała na gałęziach drzew, przygotowujących się do strząśnięcia ich przed zimą.

- Znowu zmienia się pora roku. Czy ty wiesz, że prawie od dwudziestu lat nie miałem okazji oglądać opadających liści?

Sophia przystanęła i spojrzała na niego, łzy zakręciły się w jej prześlicznych oczach. Wiedział, że ich powodem nie jest Rywka Brustein, ale on i żal nad nim, że tyle stracił w życiu. Przyłożyła dłoń w rękawiczce do jego policzka pieścotliwym gestem, a potem szła spokojnie obok niego i miał nadzieję, że będzie już tak mu towarzyszyć przez całe życie.

Złożyli wizytę kondolencyjną Brusteinom. Ponieważ zwyczajowo dokonywano szybko pogrzebów, pani Brustein została już pochowana w rodzinnym grobie znajdującym się na cmentarzu w okolicach Londynu, bo w pobliżu Plymouth nie było miejsca przeznaczonego na pochówki wyznawców judaizmu. Wyjaśnił im to półgłosem Dawid Brustein, prowadzący sprawy ojca w Plymouth. Pozostali synowie byli tu także, skupieni wokół seniora. Jakub przyjął wyrazy współczucia, a potem poklepał obok siebie miejsce na kanapie, dając znak, aby Sophie je zajęła. Ujął dłoń Charlesa.

- Z całego serca dziękuję, admirale, że pozwolił pan swojej drogiej małżonce przychodzić do nas przez ostatnie miesiące.

- Nie ośmieliłbym się jej powstrzymać - odparł Charles. - Na tyle odważny nie jestem. Jak to świadczy o angielskim żołnierzu?

Synowie Jakuba Brusteina uśmiechnęli się, a on na wpół uniósł się z kanapy, podtrzymywany przez jednego z nich, i nie wypuszczając z ręki dłoni Charlesa, powiedział donośnym głosem:

- Nawet nie wiecie, ile dla mojej najdroższej żony znaczyła wasza sąsiedzka wizyta, którą złożyliście nam na wiosnę. Przez tyle lat na to czekaliśmy, Rywka i ja. Dziękuję wam za to. Nie ma takiej rzeczy, której bym dla was nie zrobił, proszę, pamiętajcie o tym.

- Dziękujemy - powiedziała Sophie, zauważywszy, że jej mąż ze wzruszenia nie może mówić. - Będziemy o tym pamiętać, prawda, kochanie?

Charles skinął głową. Sophie chciała wstać, ale Jakub Brustein delikatnym naciśnięciem dłoni przytrzymał ją. Spojrzał na Brighta.

- Admirale, czy mógłbym pana pozbawić towarzystwa żony jeszcze na trochę? Moje synowe porządkują właśnie rzeczy Rywki, czy mogłaby im pomóc?

Charles spojrział na Sophie, a ona skinęła głową.

- Proszę zatrzymać ją dzisiaj tak długo, jak pan potrzebuje. Pożegnam się już.

Dotknął policzka żony, skinął głową pozostałym i opuścił spowity żałobnym kirem dom. Przeszedł na drugą stronę ulicy i zatrzymał się na podjeździe, gdy ich dom pokazał się w polu widzenia. Sophie nie zdecydowała, czy pomalować go z zewnątrz, ale z entu-



zjazmem przyjęła pomysł posadzenia cytrynowych drzewek po obu stronach frontowych drzwi.

Admirał ściągnął z niezadowoleniem brwi. Przed dom zajeżdżała karetka pocztowa. Miała na boku jakieś oznaczenia, ale z tej odległości nie mógł się zorientować. Kiedy je rozpoznał, przystanął znów, zastanawiając się, jaki interes może mieć do niego admiralicja. Wyjeżdżając z Londynu, stanowczo podkreślił, że nie zamierza wrócić na służbę.

Wyraźnie zadowolony Starkey otworzył mu frontowe drzwi.

- Wrócił pan. A pańska... żona?

Muszę z nim porozmawiać o jego bezczelnym zachowaniu, uznał admirał. Nigdy bym nie przypuszczał, że zajdzie taka konieczność.

- Pan Brustein poprosił lady Bright - wypowiedział ostatnie dwa słowa z naciskiem - żeby została. - Odchrząknął. - Starkey, wolałbym, żebyś dodawał admirałowi albo prosił pana, kiedy się do mnie zwracasz. Może nie dosłyszałem. Po tylu latach spędzonych w huku dział słuch mógł mi się przytępić.

Starkey wyglądał na zbitego z tropu, co sprawiło lekką satysfakcję Charlesowi.

- Oczywiście, proszę pana. Bardzo przepraszam.

- Kto przyjechał?

- Sir Wilford Cratch, admirałowi.

Bright wręczył Starkeyowi kapelusz i pozwolił pomóc sobie przy zdejmowaniu płaszcza.

- Wilford? Jest, zdaje się, sekretarzem pierwszego lorda admiralicji.

- Tak, proszę pana. Czeka w salonie.

Kilkanaście godzin później Sophie wracała do domu, ledwie powłócząc nogami. Pomaganie synowym nieżyjącej pani Brustein w porządkowaniu ubrań wyjałowiło jej umysł. Przesunęła palcami po szalu w tureckie wzory, który Jakub Brustein zarzucił jej na ramiona, mówiąc, że jego zmarła żona przykazała mu dopilnować, aby Sophie go dostała.

Przystanęła na podjeździe i spojrzała na pojawiające się na niebie gwiazdy, dziękując niebiosom za dar miłości dla Brusteinów i dla niej, od Charlesa. Prawdopodobnie patrzył teraz na nią przez frontowe okno, gotów otworzyć drzwi i wziąć ją w ramiona. Nie

będzie to łatwe, ale była wreszcie gotowa powiedzieć mu o Andrew i wyjaśnić, dlaczego dotąd milczała. Teraz, skoro wyznała mu miłość, nie może zwlekać z tym wyznaniem. Miała nadzieję, że on to zrozumie.

Frontowe okna nie były oświetlone. Ściągnęła brwi i przyspieszyła kroku, zastanawiając się, dlaczego służba nie zapaliła lamp. Nacisnęła klamkę, ale drzwi nie ustąpiły. Spróbowała raz jeszcze, a potem zapukała, zatrwożona. Zapukała ponownie i westchnęła z ulgą, gdy drzwi się otworzyły. Stał w nich Starkey. Chciała wejść, ale nie usunął się. Spojrzała mu prosto w oczy, zdumiona jego bezczelnością. Cofnął się lekko, ledwie mogła się obok niego przecisnąć.

- Starkey, gdzie jest mój mąż?

Uśmiechając się bezczelnie, pokazał ruchem głowy.

- W gabinecie. Trzeba mocno pukać.

Obrócił się na pięcie i odszedł, zostawiając ją w pustym holu. Powoli zdjęła płaszcz i położyła go na krześle stojącym przy frontowych drzwiach. Starkey nie zadał sobie trudu, aby je zamknąć. Zdjęła kapelusz i odłożyła go również na krzesło, czując ucisk w żołądku. Wydawało jej się, że jej stopy, ciężkie jak z ołowiu, wałą w podłogę, gdy szła holem do gabinetu. Przystanąła na chwilę, żeby zebrać myśli, a potem otworzyła drzwi.

Charles spojrzał na nią z nieobecny wyrazem twarzy. Z przerażeniem zobaczyła, co robi. Darł na kawałki pamiętnik, który spisywali całe lato. Dźwięk dartego papieru był tak nieprzyjemny, że przycisnęła dłonie do uszu.

- Zamknij drzwi.

Wytracona z równowagi, zrobiła, co jej kazał, i usiadła na krześle w pobliżu drzwi, bo nogi się pod nią ugięły. Przyglądała się, jak on metodycznie drze na kawałki stronę po stronie. Potem zebrał je i wrzucił do płonącego na kominku ognia z takim impetem, że aż się wzdrygnęła.

W milczeniu usiadł za biurkiem i wyjął z koperty z banderą Królewskiej Marynarki Wojennej ciasno zapisany arkusz papieru. Często widywała takie koperty w domu jej i Andrew w Portsmouth. Posunął papier w jej kierunku, jakby miał się sparzyć, gdyby jej go podał.

- Nie rozumiem, Charles? Co się stało?

- Czytaj.

Wzięła arkusz papieru i znów usiadła. Lampa nie oświetlała zbyt dobrze pisma w tej odległości, ale wolała nie zbliżać się do biurka. Zaczęła czytać i poczuła, że krew odpływa jej z twarzy. Słowa były jak kamienie. Odważyła się spojrzeć przelotnie na męża, i to jej wystarczyło. Twarz miał niczym chmura gradowa.

Miała wciąż przed oczami tekst, który przed chwilą przeczytała. Uprzejmy wstęp, a potem zapewnienie pierwszego lorda admiralicji, że czuje się w obowiązku ostrzec go przed jego własną żoną, uprzednio Sally Paul, z męża Sally Daviess, wdową po człowieku, który dopuścił się ohydneho przestępstwa w dziejach Królewskiej Marynarki Wojennej. Oddychała z trudem, czytając wyszczególnione dalej występki zmarłego męża i oskarżenie jej o niedopełnienie nałożonego na nią obowiązku o powiadamianiu admiralicji o miejscu swojego pobytu. Ponieważ nigdy nie znaleziono skradzionych przez Andrew Daviessa pieniędzy, jest oczywiste, że to ona je gdzieś ukryła. Ostatni akapit wyrażał aprobatę dla Johna Starkeya, który zadał sobie trud, aby odkryć jej tożsamość i poinformować o tym pierwszego lorda admiralicji. Pismo kończyły następujące słowa:

*Pański służący uchronił pana przed wstydem i ruiną. Ufamy, że odpowiednio go pan za to wynagrodzi. Co uczyni pan z tą kobietą, zależy wyłącznie od pana.*

Nie śmiać spojrzeć mężowi w oczy, Sophie położyła list na biurku.

- Nie masz nic do powiedzenia?

Nigdy nie słyszała bardziej zimnego głosu, nawet wtedy, gdy słuchała przez drzwi toczącego się procesu zmarłego męża. Mówił do niej ten sam mężczyzna, który jeszcze rano wyznawał jej miłość? Oszukała go i teraz zbierała plon swojej głupoty. Odchrząknęła, ale nie mogła wydobyć z siebie głosu.

Charles walnął pięścią w biurko tak mocno, że aż podskoczyła.

- Słucham!

Powoli podniosła wzrok. Pierwszy umknął spojrzeniem i odczuła cień satysfakcji, gdy nagle dotarło do niej, że po prostu nie może znieść jej widoku, bo naraziła go na wstyd i upokorzenie w oczach podległych mu ludzi. Zrozumiała, że jej słowa nie mają znaczenia.

- Już mnie potępiłeś. Jeśli powiem, że to niecała prawda i coś się za tym kryje, uwierzysz mi? - Zwiesiła głowę i wstała, nagle starsza niż zmarła pani Brustein. Pożałowała, że nie jest na jej miejscu.

- A co się może za tym kryć?

Zimny, pełen pogardy ton głosu Charlesa nie pozostawiał wątpliwości, że nie oczekuje od niej odpowiedzi. Mimo to spróbowała.

- Gdybyś mi tylko pozwolił...

Znów uderzył pięścią w biurko. Umilkła, serce w niej zamarło.

- Wynocha!

- Charles...

Krzyknęła, gdy rzucił w drzwi przycisk do papieru. Roztrzaskał się, rozsiewając wokół drobiny szkła. Usłyszała, jak odsuwa krzesło, ale była już w holu i biegła do schodów. Szal Rywki Brustein zaczepił się o słupek poręczy i rozdarł. Zostawiła go, myśląc tylko o tym, żeby jak najszybciej dostać się do swojego pokoju i zamknąć drzwi na klucz.

W sypialni upadła na podłogę i wyciągnęła rękę, żeby przekręcić klucz w zamku. Siedziała skulona dopóty, dopóki oddech jej nie wrócił. Nasłuchiwała odgłosu kroków i stopniowo uspakajała ją panująca cisza. Bała się poruszyć, odrętwiała z powodu zdrady Starkeya, i przeklinała samą siebie za to, że nie miała odwagi, aby wcześniej wyjawić wszystko mężowi. Liczyła na to, że nigdy się nie dowie. Nie wzięła pod uwagę zawiści jego długoletniego towarzysza.

W końcu poczuła się na tyle silna, aby nie obawiać się, że upadnie, gdy wstanie. Rozpięła suknię, wrywając dwa guziki, których nie mogła dosięgnąć. Zdjęła suknię i odłożyła ją, trzymając w wyciągniętych rękach, żeby już żaden szklany okruch na nią nie spadł. Podeszła do umywalki i potrząsnęła głową, aby pozbyć się drobin szkła. Przetarła twarz, zadowolona, że oprócz kilku zadraśnień wokół ust, opiłki szkła nie wyrządziły jej większej szkody.

Usiadła przed toaletką, wyjęła szpilki z włosów i zaczęła je szczotkować. Szloch się jej wyrwał, gdy przypomniała sobie, jak Charles wczoraj je czesał. Schwyciła szczot-

kę mocniej i z furią zaczęła przeczesywać włosy, aż wraz z ostatnimi drobinami szkła zniknął także gniew.

Pozostał tylko przejmujący smutek i ból. Siedziała długo w samej koszulce, drżąc i wpatrując się w swoją beznadziejnie smutną twarz. Kocham go, Boże dopomóż mi, kocham go. A teraz on uważa mnie za szmatę. Gdybym umarła razem z wami, Peter i Andrew, wciąż bylibyśmy rodziną.

Weszła do garderoby i odszukała starą suknię, tę samą, w której siedziała samotnie w zajeździe, pozbawiona nadziei na polepszenie losu. Włożyła ją, a potem zdjęła i zsunęła z siebie śliczną nową koszulkę. Stała nago, póki nie przypomniała sobie, gdzie schowała starą, połataną i pocerowaną. Zakładając ją, poczuła się, jakby wracała na stare tory i westchnęła. Odszukała też swoje stare buty, z dziurą pod dużym palcem.

Ubrana, usiadła przed sekretarzykiem i wyjęła kilka arkuszy papieru. Wiedziała, że nie będzie jej słuchał, ale być może przeczyta list. Wyjaśni mu, że kiedy się spotkali, przedstawiła mu się automatycznie jako Sally Paul, bo od pięciu lat tak robiła. Gdyby się jej nie oświadczył, a ona tego nie zaakceptowała, w ogóle by o tym nie myślała, bo przywykła już używać panińskiego nazwiska. Nie było to więc świadome oszustwo, jej wina i głupota leżały w tym, że nie powiedziała mu o wszystkim później.

Zrobi to teraz, w tym liście. Zapewne nie będzie to miało znaczenia, jeśli wyzna, jak bardzo go kocha, ale zrobi to. Zresztą, Charles może podrzeć list, nawet go nie czytając. Tym bardziej napisze to, co leży jej na sercu.

Zaczęła pisać. Zajęło jej to znaczną część nocy. Potem po cichu opuściła dom.

## Rozdział dwudziesty

Przez długi czas Charles odczuwał gniew. Nie ruszał się z gabinetu i, wpatrując się w miejsce, gdzie cisnął przycisk do papieru, nasłuchiwał, czy nie dojdą go jakieś odgłosy z pokoju żony. Na próżno, na piętrze panowała cisza. W pierwszym odruchu chciał za-  
wezwać Thyan, żeby sprawdziła, co dzieje się z lady Bright, ale się rozmyślił. To ja zo-  
stałem wystrychnięty na dudka, powiedział sobie w duchu, wciąż rozeźlony. Nie będę  
dowiadywał się o samopoczucie Sophie.

Omam nie udławił się ze wstydu podczas wizyty Wilforda Cratcha, człowieka, który  
ośmielił się go nachodzić, choć nic nie znaczył i niczego nie dokonał. Przyjechał węszyć,  
osądzać, potępiać. Posunął się nawet do tego, żeby łajać jego, admirała Charlesa Brighta,  
znanego i szanowanego w całej flocie, bo niefortunnie wybrał sobie żonę! Na samo  
wspomnienie tego afrontu Charles poderwał się z krzesła i zaczął krążyć po gabinecie.

W miarę upływu godzin coraz bardziej żałował, że cisnął przyciskiem do papieru,  
który niefortunnie uderzył w drzwi tuż obok stojącej przy nich Sophie. Był wściekły i,  
nie myśląc o konsekwencjach, chwycił, co miał pod ręką. Nie celował w żonę, ale mało  
brakowało, a przycisk by ją uderzył. Nic dziwnego, że omam nie wyłamała drzwi, ucie-  
kając z gabinetu.

Uciekając od niego, tak należałoby powiedzieć. O północy w dalszym ciągu krążył  
po pokoju, coraz bardziej zawstydzony tym, co zrobił. Co by się stało, gdyby trafił?  
Szkłany przycisk do papieru rozpadł się na drobne kawałeczki. A gdyby jeden z nich  
utkwiał jej w głowie lub w oku? Na myśl o tym stanął przed dawno wystygłym komin-  
kiem. Uprzytomnił sobie, że niedawno namiętnie kochał się z Sophie, która nie tylko  
odwzajemniła jego namiętność, ale również wyznała, że darzy go miłością

- A ty rzuciłeś w nią przyciskiem do papieru - powiedział na głos, gdy zegar wybił  
drugą w nocy. - Ty idioto!

Zastygł w bezruchu. Od momentu, gdy Sophie przerażona wybiegła z gabinetu, nie  
doszedł go żaden hałas z piętra. A jeżeli jest ranna? Może leży tam w kałuży krwi...  
Otworzył drzwi i wybiegł do holu. Zatrzymał się przy schodach, usiadł na stopniu i zdjął  
buty, a potem wszedł po schodach i na palcach podszedł do jej drzwi. Przyłożył ucho do

nich i nasłuchiwał. Zdaje się, że usłyszał jakieś skrzywienie czy drapanie. Nie miał pojęcia, co mogłaby robić, ale na pewno żyje. Zszedł po schodach, ale musiał przystanąć, gdy odłamek szkła ukłuł go w palec przez skarpetę. Usunął go, starając się nie myśleć o przy-cisku do papieru.

Gabinet wydał mu się ciasny i duszny. Podszedł do kominka i zapatrzył się w nie-zwęglone kawałki papieru ze spisnymi wspomnieniami, które tak furiacko podarł i wrzucił w ogień. Podniósł osmalony skrawek z kilkoma słowami skreślonymi starannym pismem Sophie. Dlaczego to zrobiłem? Zniszczyłem całą jej pracę. Tyle godzin słu-chania mojego gładzenia i ubierania go w zgrabne słowa. Prawie skończyliśmy.

Usiadł za biurkiem, skrzyżował ramiona i oparł na nich głowę. Nie ma zamiaru przeproszać, w końcu to on został skrzywdzony, ale okaże żonie szlachetność, przyno-sząc rano filiżankę herbaty. Niewielu mężczyzn, wykorzystanych i oszukanych tak jak on, zdobyłoby się na podobny gest. Wyświadczam tej nieszczęsnej kobiecie przysługę, pomyślał, zapadając w drzemkę.

Admirał obudził się zły i obolały po nocy spędzonej na krześle. To też wina Sophie, uznał. Kiedy spisywali wspomnienia, dla jej wygody ustawił krzesło na odpo-wiednią dla niej wysokość. Byli prawie równego wzrostu, jednak niewielka różnica wy-starczyła, żeby Charles czuł się jak połamany. Ta kobieta to istne utrapienie, pomyślał. Dzisiaj po raz ostatni zaniosę jej herbatę, odtąd będzie to jej obowiązek.

Śniadanie czekało. Nachmurzony popatrzył na bufet szczerze zastawiony przez Etienne'a. Nie brakowało serowych ciastek, które Sophie tak bardzo lubiła. Zaniosę jej jedno razem z herbatą, doszedł do wniosku Charles. Wczoraj rano, gdy leżeli objęci, za-uważył, że kości już tak jej nie starczą, twarz też nie jest nadmiernie pociągła. Jak to mi-ło, że jego żona jest ładna.

Spojrzał w lustro wiszące nad bufetem i skrzywił się na swój widok: oczy były przekrwione, a policzki ocieniał świeży zarost. Na domiar złego przed oczami stanęła mu wystraszona Sophie, jakby też się odbijała w lustrze. Szybko odwrócił wzrok i wyszedł z pokoju śniadaniowego, niosąc tacę z herbatą i ciastkami. W holu panowała niezwykła cisza. Zazwyczaj kręcili się tutaj jacyś służący, tym razem nie zauważył nikogo. Pewnie się mnie boją, doszedł do wniosku. Skoro idzie do Sophie, będzie okazja, żeby jej wysłu-

chać. Zacznie go przeproszać, a on okaże wielkoduszność. Może nawet z czasem jej wybaczy.

Zapukał do drzwi i czekał. Był zaskoczony własnym pragnieniem. Tak bardzo chciałby usłyszeć lekkie kroki żony i zobaczyć jej pogodną twarz. Lubił, gdy jej włosy wiły się w porannym nieładzie. Prawie poczuł ich zapach i obfitość. Zastukał ponownie, tym razem niecierpliwie. Sophie zmuszała go, żeby odstawił tacę i sam przekręcił gałkę. Być może trochę zasłużył sobie na jej niezadowolenie, niezależnie od tego, że to jej należała się solidna reprimenda.

Wciąż panowała cisza. Balansując tacą, z trudem postawił ją na podłodze i otworzył drzwi. Pokój był pusty, łóżko nieużywane. Czarna suknia, w której Sophie wróciła od Brusteinów, leżała na podłodze. Może żona jest w garderobie? Zajrzał do garderoby, która okazała się pusta, rozejrzał się więc po sypialni. Któraś z dziewczynek musiała przynieść dzban z gorącą wodą. Podszedł do umywalki i dotknął go. Wciąż ciepły. Gdzie podziała się Sophie?

Podszedł do kominka, jeszcze od wczoraj porządnie wyczyszczonego. Zwiesił głowę, przypominając sobie, jak po wyjściu Wilforda polecił pokojówce, żeby nie rozpałała ognia w pokoju lady Bright. Jestem małostkowym, złośliwym typem, skarcił się w duchu, wpatrując się w puste palenisko.

Usiadł przed kominkiem i dopiero wtedy dostrzegł zapisane kartki, leżące na sekretarzyku. Zerwał się na równe nogi i sięgnął po kartki. Usiadł na krześle i spostrzegł oba pierścionki - ten przeznaczony dla Myszy i ten drugi, dla ukochanej żony szanowanego admirała. Poczuł, że brakuje mu powietrza.

Na złożonych arkuszach widniało jego imię. Wpatrywał się w nie z niedowierzaniem, już wiedząc, co oznaczał dziwny dźwięk jakby skrzypienia czy drapania, który doszedł jego uszu w nocy. Dłonie mu drżały, gdy je otwierał. *Najdroższy Charlesie!*

Przeniósł otepiałe spojrzenie na kosz na śmieci, wypełniony zgniecionymi kartkami. Wygrzebał je i z półotwartymi ustami zaczął rozprostowywać i czytać nagłówki, które odrzuciła:

*Drogi Charlesie! Mój ukochany! Drogi admirale Bright! Drogi sir Charlesie!* i ten ostatni, na widok którego oczy zasły mu łzami - *Drogi Charlie!*



Zmiał kartki i wrzucił je z powrotem do kosza. Siedział przez chwilę nieruchomo, starając się uspokoić, a potem wziął je do ręki i wrócił na krzesło przed kominkiem. Przeczytał pierwszy akapit i otarł łzy zbierające się w kącikach oczu.

*Najdroższy Charlesie!*

*Przepraszam, że zmarnowałam tyle dobrego papieru do pisania, ale nie wiedziałam, jak zacząć. Podejrzewam, że możesz wrzucić ten list do ognia, nie czytając go, a wtedy to, w jaki sposób się do Ciebie zwrócę, nie będzie istotne. Powinnam o tym pomyśleć, zanim zmarnowałam papier.*

Odłożył list, czując ucisk w klatce piersiowej, a kiedy wziął go do ręki ponownie, zaczął od jej usprawiedliwień, dlaczego wprowadziła go w błąd, i zapewnień, że nie było to działanie celowe.

*Kiedy przedstawiłam ci się w restauracji jako Sally Paul, bezwiednie użyłam panińskiego nazwiska, bo posługiwałam się nim ponownie przez ostatnie pięć lat. Nie miałoby to najmniejszego znaczenia, gdybyś nie oświadczył mi się tak impulsywnie i gdybym ja nie przyjęła twojej matrymonialnej propozycji. Dopiero następnego ranka zaczęłam o tym myśleć i o skandalu, jakim owiane zostało moje nazwisko po mężu. Bałam się, że nie zrozumiesz, więc rano poszłam do pastora kościoła Świętego Andrzeja i pokazałam mu świadectwo zgonu męża, żeby wprowadził je do dokumentów jeszcze przed ceremonią zaślubin. Powinnam ci o tym wszystkim powiedzieć, ale sposobny moment na wyznanie minął. Prawda była taka, Charlesie, że bałam się przytułku. Gdybyś nie znalazł mnie wtedy w kościele, tam właśnie musiałabym się udać.*

Ja albo przytułek dla ubogich! Rzeczywiście nie miała wyboru.

- Och, Sophie... - wyszeptał i czytał znowu, chociaż każde słowo raniło go jak odłamek szkła z rozbitego przycisku.

*Przez krótki czas łudziłam się, że to oszustwo nie wyrządzi nikomu krzywdy. Jasno określiłeś, że ma to być małżeństwo tylko z nazwy, zawarte po to, aby trzymać od ciebie z daleka twoje siostry, byś mógł robić to, co chcesz. Prawdę mówiąc, wciąż nie wiem, co by to mogło być. Próbowałam wywiązać się ze swoich obowiązków i myślałam, że pisanie pamiętników pomoże. Żałuję, że zniszczyłeś rękopis. Włożyłam w tę pracę wiele serca.*

Charles nie zwykł ulegać łzawym nastrojom. Musiał zachowywać spokój, stojąc na pokładzie zbryzganym krwią i patrząc na okaleczonych ludzi. Tym razem było gorzej, bo spisywanie jego pamiętników oznaczało początek jej miłości do niego. Wstał, podszedł do drzwi i zamknął je na klucz. Zaszlochał kilka razy głośno, czytając następne akapity.

*Sytuacja zmieniła się diametralnie, kiedy cię pokochałam. Wiem, że uczciwa żona nie powinna trzymać takiej rzeczy w sekrecie przed mężem. Miałaś pełne prawo się rozgniewać. Proszę, uwierz mi, nie chciałam niczego złego.*

- Jesteś lepsza ode mnie, Sophie. Nie umiałem powściągnąć furii, co za wstyd.

Odrętwiały, z trudem łapiąc oddech, przeszedł do tej części listu, w której pisała o zmarłym mężu.

*Temu człowiekowi, którego tak łatwo osądzono jako najohydniejszego przestępcę w dziejach Królewskiej Marynarki Wojennej, nigdy nie zapewniono uczciwego procesu.*

Admirał skupił się, aby czytać z pełnym zrozumieniem przedstawioną przez nią wersję wydarzeń. Mąż Sophie podejrzewał swojego przełożonego, Edmunda Sperlinga, brata lorda Edborough, jednego z lordów admiralicji, że dopuszcza się malwersacji w dostawach. Wycofywał faktury wystawione przez Andrew i pilnował, by w zamian dostarczano żywność o niskiej jakości.

*Zagarniał dla siebie różnicę w cenie. Był znany z zamiłowania do hazardu na dużą skalę. Andrew wielokrotnie był świadkiem wizyt jego dłużników w biurze Zaopatrzenia Marynarki Wojennej.*

Charles po raz kolejny odłożył list. Nie był to jedyny znany mu przypadek mataczenia, aby napchać sobie kieszenie kosztem marynarzy, ale wyjątkowo obrzydliwy. Bez wątplenia sąd nie był skłonny dać wiary niskiemu rangą urzędnikowi. Dalej Sophie pisała o rozpaczy i próbach postawienia Sperlinga przed obliczem sprawiedliwości.

*Mąż był człowiekiem łatwowiernym, Charlesie. Zaniósł sfalszowane przez Sperlinga faktury i sporządzane przez niego odręcznie noty nie do kogo innego, tylko do samego Sperlinga, bo uważał, że tamten zrozumie swoją winę i postąpi, jak należy. Nigdy więcej nikt nie zobaczył tych dokumentów. Kiedy księgowi odkryli fałszerstwo, już po śmierci marynarzy zatrutych zepsutą żywnością, Sperling bez trudu rzucił oskarżenie na Andrew.*

Z listem w ręku admirał podszedł do okna. Usiadł na ławeczce w wykuszu i oparł się o poduszkę, którą jego żona tu umieściła, bo było to jedno z jej ulubionych miejsc w domu. Otworzył okno, licząc na to, że wiatr przyniesie zapach morskiego powietrza, co polepszy mu samopoczucie. Odetchnął kilka razy głęboko i wrócił do lektury.

Opisywała proces, który dobrze pamiętał. Westchnął na myśl, co przeżyła, kiedy w czasie pisania pamiętników wypowiadał dosadne komentarze na temat jej zmarłego męża. Nie wpuszczano jej na salę rozpraw, ale siadywała na zewnątrz, dzień po dniu, i wysłuchiwała, jak Andrew Daviess był oskarżany, odsądzany od czci, potępiany i wreszcie skazany.

*Powiesił się w budynku za naszym domem. Jeden z sąsiadów go znalazł. Admiralicję wprowadziło to w stan furii. Jego ciało zostało odcięte, powieszono ponownie i spalone. Z pewnością to pamiętasz. Nie wiem, gdzie rozsypano jego prochy, nie pozwolono mi ich zabrać.*

Charles doskonale pamiętał nieszczęsne wydarzenia i swoją złość, że ten tchórz, Andrew Daviess, tak się im wywinął.

- Sophie, niech mi Bóg dopomoże.

Łzy utrudniały mu dalsze czytanie. Pisała, że rzeczywiście dopuściła się oszustwa wobec sądu admiralicji, bo nie dotrzymała nałożonego na nią obowiązku powiadamiania o miejscu pobytu.

*Ponieważ nigdy nie znaleziono pieniędzy, które Andrew rzekomo ukradł, sędziowie założyli, że wiem, gdzie je ukrył, i któregoś dnia zacznę z nich korzystać. Charlie, czy pozwoliłabym, aby mój ukochany syn głodował i umarł, gdybym wiedziała o jakichkolwiek pieniądzach? Niedorzeczni ludzie. Zmiana nazwiska uchroniła mnie przed prześladowaniem. Zrobiłabym to ponownie, więc nie mogę okazać skruchy z tego powodu.*

Za nic nie musisz okazywać skruchy, pomyślał. Ręce mu ciążyły, z trudem trzymał w dłoniach list, ale niewiele już zostało do przeczytania. Kończył z coraz cięższym sercem.

*Kazałeś mi się wynosić i wierz mi, że opuściłam dom najszybciej, jak mogłam. Wzięłam tylko to, co wcześniej do mnie należało, więc wszystko, co jest twoją własnością, pozostało w domu. Cokolwiek uznasz za prawdę, bądź pewien jednej rzeczy: Kocham Cię*

*całym sercem. Nie będę ci sprawiać więcej kłopotu, ale wiedz, że jest na świecie kobieta, która zawsze będzie cię kochać. To mój krzyż i będę go dźwigać.*

*Twoja w pełnym tego słowa znaczeniu żona, Sarah Sophie Paul Daviess Bright.*

*PS Błagam Cię, nie zwalniaj żadnego ze służących. Uskarżałeś się, że bez przerwy na któregoś z nich wpadasz, ale nie mają dokąd pójść. Moje winy nie powinny się na nich skrupić. S.B.*

Ze spuszczoną głową złożył list, bo nie mógł patrzeć na dobrze mu znajome pismo. Miał okazję je poznać podczas tych wszystkich dni, gdy opowiadał żonie swoje życie, ona zadawała pytania, a potem przez cały wieczór spisywała jego wspomnienia. Pełen niesmaku do samego siebie, wstał i poszedł do garderoby. Wszystkie piękne stroje wisiały niczym niemy wyrzut sumienia. Powąchał suknię w kolorze czerwonego wina i poczuł zapach Sophie. Stał przy niej długi czas, po czym wrócił do sekretarzyka. Leżał na nim jeszcze jeden arkusz papieru, innego niż pozostałe. Przeczytał notatkę sporządzoną przez Sophie.

*Zanim Andrew zaniósł wszystkie obciążające dokumenty Sperlingowi, zatrzymałam ten jeden. Byłam chyba mniej naiwna niż mój mąż. Pokazaliśmy go adwokatowi, ale powiedział, że dowód nie ma wartości w oczach sądu, skoro przedstawia go żona oskarżonego.*

Charles popatrzył na fakturę; setki podobnych przeszły przez jego biurko. Natychmiast stało się dla niego jasne, co zrobił Sperling, jednak rzeczywiście żaden sędzia nie dopuściłby takiego dowodu. Biedna Sophie, naiwny Andrew!

Z listem i fakturą Charles zszedł do głównego holu, a potem na dół, do holu w kwaterach służby. Wreszcie okazało się, gdzie się wszyscy podzieli. Poczawszy od Minnerwy, na dwóch starych marynarzach, których wziął z doków i zatrudnił do prac ogrodniczych skończywszy, obserwowali go wszyscy w milczeniu. Starkey wyglądał na bardzo z siebie zadowolonego.

Charles zebrał się w sobie i zwrócił do nich wprost, niczego nie owijając w bawełnę:

- Wiecie, co się stało: lady Bright odeszła. Nie wiem, dokąd się udała, ale muszę się dowiedzieć. Jeśli ktoś z was ma jakieś pojęcie na ten temat, proszę mi powiedzieć. -

Popatrzył z nadzieją po twarzach służących. W milczeniu odwracali wzrok. - Czy ktoś coś wie? Nikt nie widział, jak wychodziła?

Cała Sophie, pomyślał. Dopilnowała, żeby nikt się nie zorientował, nie mogą mieć do nikogo pretensji.

- Dobrze. Wracajcie do swoich obowiązków. Starkey, pozwól na słowo. Chodźmy na plażę.

Padło wiele słów, ale wcześniej kamerdyner musiał przeczytać list Sophie. Próbował przerwać lekturę, lecz admirał na to nie pozwolił.

- Czytaj, do jasnej cholery! - wrzasnął, nie dbając o to, że wiatr poniesie okrzyk do domu, gdzie czekała wystraszona służba.

Kiedy Starkey skończył czytać, chciał wstać z wyrzuconego przez fale pniaka, tego samego, na którym siadywała Sophie, gdy spacerowali w lecie po plaży. Charles przycisnął hak do jego ramienia, nie zwracając uwagi na to, że się skrzywił.

- Co cię skłoniło, żeby wtrącać się w moje sprawy? - spytał.

Uniósł rękę, a Starkey roztarł ramię.

- Nic pan o niej nie wiedział.

- Fakt. - Bright skinął głową. - Powiedz mi, Starkey, rzeczywiście uważałeś, że potrzebuję twojej pomocy, aby poradzić sobie z żoną?

- Nie, proszę pana.

- Wyjaśnij więc swoje postępowanie. Opowiedz mi, co zrobiłeś. Wszystko, jak na spowiedzi.

Służący zapatrzył się w czubki własnych butów.

- Wszystko! - wrzasnął Charles.

Starkey zaczął pospiesznie mówić o wizycie u pastora w kościele pod wezwaniem Świętego Andrzeja, gdzie dowiedział się z ksiąg, że Andrew Daviess był mężem Sophie.

- Pamiętałem go. Zrozumiałem, że nabrała pana. Właśnie tak! Przysięgam! Pojechałem do sądu admiralicji, a tam byli bardzo zadowoleni z tego, co usłyszeli.

- Czy z kimś jeszcze o tym rozmawiałeś?

Starkey zwiesił głowę.

- Z pańskimi siostrami, proszę pana - powiedział cicho.

- Na litość boską! Co ty sobie myślałeś!

- Wyjaśniłem, co się stało, i zobowiązałem je do dotrzymania sekretu. Ja... wiedziałem, że admiralicja nie popuści lady Bright. Powiedziałem... żeby poczekały cierpliwie, a wkrótce znów odzyskają brata. Przepraszam, przepraszam...

Charles zamknął oczy, oniemiały. Zajęło mu chwilę, zanim się opanował i mógł odezwać się do służącego.

- Niezły pasztet mi tu wypichciłeś na dokładkę do wyrzutów sumienia, które odczuwam z powodu własnych czynów. Istnieje poważne domniemanie niewinności Andrew Daviessa. Pamiętam Edmunda Sperlinga. Lord Edborough załatwiał mu różne stanowiska w admiralicji, a on na żadnym się nie utrzymał. Był beznadziejny. Zamierzam przyjrzeć się bliżej interesom Sperlinga, ale najpierw muszę odszukać żonę.

Starkey kiwnął głową.

- Mogę pojechać do admiralicji i...

- Nie - przerwał mu Charles. - Jedyne, co możesz zrobić, to zabrać swoje rzeczy i zejść mi z oczu. Wyplacę ci roczne pobory, ale nie dam dobrej opinii, bo na nią nie zasługujesz.

Mówił spokojnie, ale na serio. Starkey chciał protestować, lecz admirał powstrzymał go ostrzegawczym ruchem głowy i skierował kroki do domu pełnego służby i pustego jak miska najędzniejszego żebraka.

## Rozdział dwudziesty pierwszy

Admirał nie marnował czasu. Natychmiast rozesłał marynarzy, których zatrudnił do prac przy domu, na poszukiwania Sophie. Byli zaradnymi ludźmi morza, których doświadczył brak pracy w czasie pokoju, i znali Plymouth jak własną kieszeń. Nie mogła odejść zbyt daleko, do Barbican, centrum portowego miasta, było około pięciu kilometrów.

- Wiecie, jak lady Bright wygląda - zwrócił się do nich. - Potraficie opisać jej wygląd. Pytajcie wszędzie. Prawdopodobnie wróciła do panińskiego nazwiska i przedstawia się jako Sally Paul. - Z całą pewnością nie używa mojego, dodał w myślach.

Przełknął dumę i udał się do posiadłości lorda Brimleya. Zwierzył się ze swoich kłopotów staremu człowiekowi, który okazał mu współczucie, czego Charles się nie spodziewał. Dłuższą chwilę stał przed domem Jakuba Brustaina, namyślając się, czy wejść. Powozy zajeżdżały przed dwór i odjeżdżały i w końcu Charles postanowił oszczędzić staremu bankierowi wiadomości, że osoba, która okazała tyle ciepła jego ukochanej żonie, Rywce, znikła z ich życia. Zdąży go o tym powiadomić później, gdy żałobnicy się rozjadą.

Po powrocie do domu przemierzał niecierpliwie salon. Wybrał ten pokój, bo miał z niego widok na drogę. Łudził się, że zobaczy idącą podjazdem żonę, gotową dać drugą szansę mężczyźnie, który nie zasługiwał na żadną. Wraz z nadchodzącym zmierzchem przestał się łudzić. Starkey odszedł, więc polecił innemu służącemu rozpaścić ognisko na plaży. Siedział przy nim, czekając, aż pojawi się Leaky Tadwell. Przypląnął w doskonałym nastroju, gotowy sprzedać szmuglowane trunki.

- Nie o to chodzi, Leaky. Moja żona odeszła - wyjaśnił Charles, zdumiony, że jest gotów tak ochoczo zaufać obwiesiowi.

- Dała drapak, co? - spytał Tadwell, a w jego głosie brzmiało niekłamanie współczucie. - Będzie pan potrzebował alkoholu. Mogę zgromadzić niezły zapasik, który pomoże panu zapomnieć, że w ogóle miał żonę.

- Nie, nie - powiedział niecierpliwie Charles. - To ja... Złamałem jej serce i opuściła mnie.

- Z całym szacunkiem, admirale, musi się pan jeszcze sporo nauczyć o tych damulkach. Niezła z niej była ślicznotka.

Charles puścił mimo uszu te uwagi, ponieważ Tadwell stanowił doskonałe źródło informacji.

- Znasz wszystkich w Plymouth, Leaky...

- I w Devonport - uściślił Tadwell.

- W Devonport też. Chciałbym, żebyś przeprowadził dyskretne śledztwo. Sporządziłem dokładny rysopis. Weź go i rozpytuj się. Gdyby ktoś widział moją żonę, daj mi znać.

Tadwell wziął arkusz papieru i spojrzał na niego z niesmakiem.

- Nie umiem czytać, admirale.

- Przedstawia się jako Sally Paul lub Sally Daviess. Zapamiętasz?

Tadwell posłał mu urażone spojrzenie.

- Proszę kontynuować, admirale. Nie jestem dziecinniałym starcem.

- Na pewno nie. Jest od ciebie dwadzieścia, może nawet dwadzieścia pięć centymetrów wyższa. Ma brązowe włosy i ciemnobrązowe oczy. Szczupłej budowy ciała. Mówi z uroczym szkockim akcentem.

Tadwell kiwnął głową i powtórzył wszystko, co usłyszał.

- Zapamiętałem ją dobrze, jak ją pierwszy raz zobaczyłem. Co by ją wyróżniało? Seplenienie albo piskliwy śmiech?

- Nic takiego. Jest spokojną kobietą, nie zachowuje się tak, żeby zwrócić na siebie uwagę.

Przemytnik ściągnął brudną czapkę i podrapał się po głowie.

- Nie ułatwia mi pan zadania, admirale.

- Wiem, Leaky. Zrób, co w twojej mocy.

Jesień minęła na poszukiwaniach. Admirał napisał do Dundrennan i innych miast Szkocji, prosząc o wiadomości o kobiecie, której dane i rysopis podał. Marynarze wrócili z niczym. Leaky Tadwell szukał w okolicznych miastach, lecz nie miał żadnych wieści. Kiedy Charles zdecydował się odwiedzić Jakuba Brustaina, zobaczył, że kołatka znikła z



drzwi wejściowych. Posłał do Dawida Brustaina notę z pytaniem o ojca i uzyskał odpowiedź, że stary bankier wyjechał z wizytą do córki do Brighton.

Przyszło Boże Narodzenie i Charles przestał się łudzić. Sophie Bright dotrzymywała słowa. Musiał to przyznać, nawet jeśli przez to cierpiał katusze. Napisała, że nie sprawi mu więcej kłopotu, i okazało się, że potraktowała to serio. Jednego z wieczorów zaszył się w gabinecie i sporządził dwa listy, do Fan i Dory. Objął im sytuację i poprosił, żeby zostawiły go w spokoju.

Na Gwiazdkę zrobił prezent pannie Thayn, mianując ją gospodynią. Ona z kolei poprosiła o dwa dni urlopu dla siebie i Etienne, żeby mogli się pobrać. Zgodził się z radością, chociaż poczuł ukłucie zazdrości z powodu ich szczęścia. Kiedy Dupuisowie wrócili z Plymouth, oddał Amelii wszystkie klucze, zatrzymując tylko ten do piwniczki z winem. Zaczął w niej niemal przemieszkować, powziąwszy mocne postanowienie opróżnienia w pojedynkę wszystkich półek. Ilekroć Etienne usiłował go wywabić na posiłek na górę, zmuszał go do odwrotu, piorunując wzrokiem. Łzy nowej gospodyni też go nie zmiękczyły. Pił i użalał się nad sobą. Zapaścił się i zaczynał śmierdieć.

Ratunek przyszedł z niespodziewanej strony i pewnie dlatego odniósł jakiś skutek. Dzień pozornie zaczął się jak wiele poprzednich. Charles obudził się z wyschniętymi ustami i bolącym żołądkiem. Jego głowa spoczywała na czyichś kolanach i przez króciutką chwilę serce mu mocniej zabiło, bo pomyślał, że Sophie wróciła, aby go ocalić przed nim samym. Kiedy wzrok mu się przestał mącić, zobaczył, że to Dora.

- Dora? - spytał, nie wierząc własnym oczom.

- A któż by inny - odpowiedziała, obejmując jego głowę ramionami. - Charlesie Bright, Czas z Tym Skończyć.

Uśmiechnął się i popękane wargi zaczęły krwawić. Cała ty, pomyślał, zaczynająca wyrazy od dużych liter, tak jak to opisałem Sophie. Zapłakał, niepewny, czy z pijackiego rozczulenia, z żalu na myśl o żonie, czy dlatego, że siostra przyjechała go uratować.

Był odrażający, a mimo to przytuliła go mocniej, i pocieszała jak dziecko, osuszając łzy koronkową chusteczką, pachnącą lawendą. Utulony w jej ramionach, przypomniał sobie czasy, gdy ona i Fan opiekowały się nim po śmierci matki, zanim dorósł na tyle, by wyruszyć na morze.

- Fan? - spytał, mając nadzieję, że to jedno słowo wystarczy, bo nie mógł wypowiedzieć więcej.

- Troche się poróżniłyśmy - odparła Dora, delikatnie głaszcząc jego przetłuszczone włosy. - Uważa, że sobie na to zasłużyłeś, zwłaszcza po tym, jak nas potraktowałeś. Pozwoliłam sobie nie zgodzić się z jej oceną sytuacji. Oczywiście uprzejmie. - Roześmiała się, siedząc na brudnej podłodze, poznaczonej śladami pijackich dni brata. - Jaki to musiał być dla niej szok! Rozdzieliliśmy się i przyjechałam. W samą porę, jak widać. Charles, pomogę ci wejść na górę. Mamy coś do zrobienia.

Równie dobrze jak wyprowadzić go na górę, mogłaby próbować podnieść słonia, ale na jej głośnie „halo” przybiegli marynarze najęci do prac w ogrodzie. Zanieśli admirała do sypialni. Dora szła za nimi, napominając ich, żeby uważali. Nie zdążył zaprotestować, gdy kazała marynarzom rozebrać go do naga i wsadzić do wanny. Zakasała rękawy i najpierw umyła mu głowę. Potem dosłownie zeskrobała pijacki brud z jego nieomytego od dawna ciała, cały czas łajając go tym swoim przesłodzonym głosem, który kiedyś go irytował, ale teraz wydał mu się najśłodszy pod słońcem.

Dora wyszorowała go do czysta, wytarła i ubrała w nocną koszulę. Zasnął, zanim na paluszkach wyszła z sypialni.

Spał całą dobę i obudził się głodny. Dora tylko pokręciła głową, gdy zażądał befsztyka z polędwicy wielkiego na cały talerz i góry ziemniaków. Zamiast tego nakarmiła go bulionem, pozwoliła na zjedzenie tostu i wypicie herbaty. Dopiero po całym dniu takiej diety pozwoliła Minerwie i Gladys przynieść wołowinę i ziemniaki. Obserwowała brata znad robótki, siedząc w jego pokoju. Ciche klikanie drutów uspokajało Charlesa i znów zasnął na długo.

W sypialni nie było nikogo, kiedy się obudził. Jedna z dziewcząt musiała przynieść gorącą wodę, bo na stoliku obok umywalki zobaczył znajome naczynie z mosiądzu. Nigdzie nie widział haka, ale nie był mu w tej chwili niezbędny. Chciał się przekonać, czy potrafi utrzymać się na nogach.

Zdołał, choć nie bez wysiłku. Próbował kilkakrotnie, raz zatoczył się chwiejnym krokiem w kierunku garderoby. Skorygował kurs i pomyślał, że jego pierwszy mistrz że-

glarski, nieżyjący już od wielu lat, byłby z niego zadowolony. Udało mu się nalać wody do umywalki i się ogolić.

Nie całkiem dobrze to wyszło. Wielodniowy zarost wymagał większej uwagi, ale uznał, że na razie to wystarczy. Przetarł twarz wodą kolońską, krzywiąc się, gdy szczypała w miejscach, gdzie się zaciął. W miarę zadowolony z efektu, rozejrzał się za ubraniami.

Dora zapukała do drzwi i weszła do pokoju. Akurat siedział na łóżku, smętnie kontemplując oprzyrządowanie ze skórzanych pasków i hak, które znalazł schludnie ułożone w garderobie. Dora była pojętną uczennicą i wkrótce usłyszał znajomy dźwięk, gdy ostatni zatrzask zaskoczył.

- Wreszcie. Znowu jesteś w pełnym rynsztunku.

Nigdy dotąd nie słyszał, żeby żartowała, i zrobiło mu się ciepło na sercu. Z wdzięczności pozwolił jej nawet zapiąć guziki koszuli. Poinformowała go, że lunch zostanie dzisiaj podany na dole i przyjęła ofiarowane sobie ramię. Kiedy skończyli jeść, odchrząknęła.

- Charles, pora, żebyś udał się do admiralicji.

- Doro, wśród twoich wielu przymiotów znajduje się także umiejętność czytania w myślach.

Dwie noce później rozlokowywał się w przyjemnej gościnnej sypialni w miejskim domu Dory, mieszczącym się przy cichej bocznej uliczce niedaleko St. James's Park.

- Zostań, jak długo chcesz - powiedziała Dora, wręczając mu klucz do frontowych drzwi. - Moi służący są równie starzy jak ja i nie śmiałybym kazać im czuwać, aż wrócisz z jaskini rozpusty, gdybyś chciał się tam udać.

- Myślę, że ograniczę się do wizyty w admiralicji - odparł Charles, wsuwając do kieszeni klucz.

Westchnął i zapatrzył się w okno.

- Pójdę z tobą, jeśli chcesz - zaproponowała Dora.

Walczyłabyś o mnie jak lwica, siostrze, pomyślał i poczuł się upokorzony. Ucałował ją w czoło.

- Zrobiłaś dla mnie wszystko, co mogłaś. Więcej nie powinienem oczekiwać. Jestem twoim dłużnikiem na wieki.

Następnego ranka wyszedł z domu, kiedy wszyscy jeszcze spali. Szedł przez St. James's Park, w nocy spadł śnieg, a nagie gałęzie drzew przypomniały mu o tomiku sonetów Szekspira, które Sophie zostawiła, podobnie jak wszystko, co jej kupił. Zanim zaszył się w piwnicy, żeby pić do upadłego, często czytywał te wiersze.

- *Na tych wzniosłych gałęziach, które drżą od chłodu, siedzący niegdyś ptaszek piosnkę szczęścia nucił\** - powiedział półgłosem, patrząc na niewielkie jezioro.

Znał cały wiersz na pamięć, ale nie zamierzał go recytować. Po chwili wypowiedział jednak słowa, które zadźwięczały tak, jakby miał nigdy więcej nie zobaczyć Sophie Bright:

- *Miłość była mym życiem, miłość życia schyłkiem\*\**.

\* Sonety, William Szekspir, PIW, 1964 r., przekład Konstanty Piotrowski (przyp. tłum.).

\*\* Sonety, William Szekspir, PIW, 1964 r., przekład Konstanty Piotrowski (przyp. tłum.).

Skierował się na wschód, do Horse Guards i siedziby admiralicji. Uśmiechnął się do siebie, myśląc o tym, ile razy wchodził do tego gmachu. Najpierw jako nic nieznający kadet, szukając miejsca na okręcie, potem przez naznaczone krwią i przemocą lata pełnienia służby kapitańskiej i w końcu w wysokiej randze admirała, gdy wszystkie drzwi stawały przed nim otworem. Należał wtedy do garstki wybrańców, wyniesionych do wysokiej godności, był w tej samej lidze co Horatio Nelson, chociaż jemu nikt oczywiście nie dorównywał. Ile to dzisiaj dla niego znaczyło? Tyle co nic.

Charles włożył cywilne ubranie i poczuł dumę, kiedy czekający w holu na załatwienie swoich spraw kapitanowie natychmiast go rozpoznali. Sprawilo mu nieklamana przyjemność przywitanie się z nimi i rozmowa o spokojnej pracy w czasie pokoju, nienaznaczonej chwałą bohaterskich czynów, ale i wolnej od grozy krwawego teatru wojny. Uśmiechnął się nieznacznie, gdy jeden z młodych kapitanów zaczął narzekać na bezczynność w czasach pokojowej służby. Módl się, oby twoje życzenia się nie spełniły, pomyślał.

Poprosił o rozmowę z pierwszym lordem admiralicji i nie musiał długo czekać. Już po chwili skłonił głowę przed lordem Biddle'em, po czym uścisnęli sobie dłonie. Wymienili zwykle formułki grzecznościowe, obaj nieco sztywno. Było oczywiste, że lord

Biddle wie, jakie rewelacje dotyczące prywatnego życia Charlesa odkryto i czym skutkowały. Cokolwiek jednak o tym myślał, zachował dla siebie, zręcznie poruszając neutralne tematy albo wypytyując o posiadłość i dom. Kiedy jedynym bezpiecznym przedmiotem rozmowy pozostała pogoda, Charles uniósł dłoń.

- Nie chciałbym marnować twojego cennego czasu, więc niech mi będzie wolno zapytać, czy można liczyć na rozmowę z lordem Edborough? Chciałbym mu zadać kilka pytań.

- Niestety, Charles, spóźniłeś się o kilka miesięcy. Przeszedł na emeryturę jeszcze przed Bożym Narodzeniem.

- Gdzie teraz przebywa?

- Wczoraj widziałem go u lorda Brattletona na spędzie dla uhonorowania jego wyblakłej córki. Nie śmieję się, to była istna męczarnia. Sądzę, że jest w swojej rezydencji. - Biddle wyciągnął z szuflady karteczkę i zapisał coś na niej. - Proszę, to jego adres.

- Dziękuję. Zanim mu złożę wizytę, chciałbym przejrzeć protokoły z procesu Andrew Daviessa, inspektora Zaopatrzenia Marynarki Wojennej w Portsmouth. Odbywał się w marcu tysiąc osiemset jedenastego roku.

Lord Biddle siedział przez chwilę w milczeniu, unikając wzroku admirała.

- Jestem pewien, że protokoły znajdują się tutaj - nalegał Charles. - Mam prawo wglądu w nie. Uczestniczyłem w tym procesie.

- Nie mogę ci ich przedstawić.

- Słucham?

- Nie istnieją.

- Tak po prostu znikły? Wyparowały?

- Właśnie. - Biddle pochylił się nad biurkiem i powiedział z wymuszoną serdecznością: - Wiesz o świecie tyle samo, co ja. Nie ma protokołów z tego procesu.

- Nie ma? - powtórzył Charles, nie przejmując się tym, że podnosi głos. - I mnie tam nie było? Nie zeznawałem? Nie słyszałem oskarżeń rzuconych na kogoś, kto, jak sądzę... nie, ja wiem, że był uczciwym człowiekiem?

Pierwszy lord admiralicji, teraz pełen dezaprobaty, wręcz odęty, patrzył zwężonymi oczami i najchętniej posłałby ulubionego admirała do piekła. Dora pewnie powiedziałaby w tej sytuacji: „Powinien pan się wstydzić, lordzie Biddle. Do widzenia”.

Żaden z oficerów czekających w poczekalni nie spojrzał na Charlesa, gdy pośpiesznie wychodził z budynku. Wynajął jeden z wielu pojazdów, krążących pod biurami rządu i wiedział już, że ma przed sobą fatalny dzień. Powóz jechał oczywiście za wolno, przynajmniej w jego odczuciu, a kiedy wreszcie stanął przed eleganckim domem lorda Edborough, Charles uznał, że postępuje idiotycznie. Jeśli Andrew Daviess nic nie wskórał, to co on może...

Zaprowadzono go do salonu, gdzie niemal godzinę czekał na lorda Edborough. Zapełnił ten czas, przyglądając się, jak deszcz wylewa się przez zniszczoną rynnę w domu po przeciwnej stronie ulicy, jak kobiety i mężczyźni spieszą się po śliskim chodniku, a przede wszystkim myśląc o Sophie. Czy dobrze jej się wiodło i czy też patrzy na deszcz.

- Admirale Bright, czemu zawdzięczam ten honor?

Odwrócił się, aby powitać lorda Edborough, niczym niewyróżniającego się mężczyznę, którego nawet lubił. Wymienili grzeczności, nużąca formalność, tym bardziej że Charles chciał jak najszybciej przejść do rzeczy. Nie mogąc wytrzymać ani minuty dłużej, przerwał:

- Postaram się mówić krótko. Pięć lat temu Królewska Marynarka wniosła oskarżenie o łapownictwo, przywłaszczenie mienia i spowodowanie śmierci przeciwko inspektorowi Zaopatrzenia Marynarki w Portsmouth, Andrew Daviessowi. Mam powody sądzić, że winnym był pański brat.

Lord Edborough milczał.

- Ma pan brata, prawda? - spytał z rozdrażnieniem Charles.

- Mam, a raczej miałem - odparł lord Edborough. - Zmarł trzy lata temu.

Charles usiadł, chociaż gospodarz nie poprosił go o zajęcie miejsca.

- Pański brat zniszczył Andrew Daviessa. Jego żona i maleńki syn musieli radzić sobie sami. Chłopiec umarł, a żona popadła w nędzę. - Podał lordowi Edborough sfałszowaną fakturę, którą Sophie zatrzymała. - To niepodważalny dowód jego matactw, ale

nie dla sądu naginającego prawo, aby ukryć malwersacje. Proszę to wziąć. To ostatni dowód przeciwko pańskiemu odrażającemu bratu. Nawiasem mówiąc, mam nadzieję, że gnije w piekle. Żaden sąd w tym kraju się tym nie zajmie. Wasz brudny sekret nigdy nie wyjdzie na jaw. Do widzenia.

Doszedł do drzwi, gdy lord Edborough powiedział:

- Admirale Bright, jeszcze chwila.

Charles odwrócił się, nie dbając o to, czy jego zacięta mina wystraszy starego lorda. Wyraz twarzy gospodarza był jeszcze bardziej zacięty.

- Edmund był słabym człowiekiem - przyznał lord Edborough, wążąc słowa. - Tonął w długach. Wszyscy w rodzinie mieli mu to za złe.

- Był winny - podkreślił Charles.

Lord Edborough nie przyznał mu racji.

- Był moim bratem, nic tego nie zmieni.

- Ale...

- Był moim bratem - powtórzył lord. - Jeśli przedsięweźmie pan jakieś kroki, wystąpię przeciwko panu w majestacie prawa. - Zaczął drzeć fakturę, co przypomniało Charlesowi, jak podarł manuskrypt na oczach przerażonej Sophie. - Nie ma pan dowodów. Nie powtórzę w sądzie tego, co panu przed chwilą powiedziałem. Do widzenia, admirale Bright.

## Rozdział dwudziesty drugi

Dora błagała go, żeby został, ale był nieugięty.

- Za długo zaniegbywałem majątek - powiedział, wyjmując ostatnią czystą koszulę z walizy.

Zjedli śniadanie i siostra wyszła razem z nim na zewnątrz, żeby się pożegnać.

- Daj mi kilka tygodni i będę mógł cię zaprosić - powiedział. - Zdziwisz się, jakie zaszły zmiany w naszym... w moim domu. Żadnych potworkowatych kupidynów na sufitych.

Dzień był ponury i Charles zateśknił za południowymi morzami.

Dwie noce spędzone w zajazdach uświadomiły mu, jak jest znużony. Trzeciego dnia woźnica chciał skierować konie wprost do posiadłości, ale myśl o domu, w którym nie zostanie Sophie, przeważała nad zmęczeniem. Oświadczył woźnicy, że musi załatwić jakieś niecierpiące zwłoki interesy i kazał mu zatrzymać się przed zajazdem Drake. Zdecydował, że zje coś i dopiero wtedy pojedzie.

Charles zamówił jedzenie i rezultacie kelner podchodził dwukrotnie, przepraszając go, że nie wszystko idzie jak należy, bo zaledwie parę dni temu wymieniono pracowników. Za drugim razem Charles wzruszył ramionami i wyszedł na zewnątrz doradzić woźnicy, aby nie czekał na deszczu, tylko wszedł do środka.

Usiadł przy tym stoliku co zwykle i nie mógł się powstrzymać od rzucania spojrzeń na sąsiedni, stojący przed nim nieco po lewej, przy którym po raz pierwszy zobaczył Sally Paul. Głupio z jego strony rozdrapywać rany. Zdecydował, że jego noga nie postanie więcej w tym zajeździe.

Jakiś mężczyzna usiadł przy tamtym stoliku i zaczął wertować gazetę, co chwila rzucając zniecierpliwione spojrzenia na zegar. W końcu z grubiańskim przekleństwem pacnął złożoną gazetą w stół i wyszedł. Starsza dama, pijąca herbatę, podskoczyła na krześle i pisnęła z przerażenia.

Nikt nie podchodził, żeby doprowadzić do porządku stolik po niecierpliwym mężczyźnie, więc Charles wstał i wziął gazetę. Przeglądał ją, znudzony zwyczajnymi wia-



domościami. Złożył starannie gazetę, po czym otworzył ją z powrotem i odwrócił na ostatnią stronę, którą wtedy Sophie studiowała z uwagą.

Ogłoszeń nie było dużo, wciąż brakowało pracy. Przesunął wzrok w dół na kolumny urzędowych informacji. Część z nich została zamieszczona przez Brustaina i Cartera, których siedziba mieściła się trzy ulice dalej.

Niczego interesującego nie było w ich treści, nie obchodził go właściciel ziemski, poszukujący krewnego, któremu chciał zwrócić pieniądze. Interesujący był styl ogłoszenia i dwie literki w podpisach: D.B/s.b. albo S.B/s.b. Zerwał się na równe nogi, nie zwracając uwagi na to, że znajduje się w miejscu publicznym. Wpatrzył się w ogłoszenia, wciąż nie dowierzając własnym oczom.

- Wciąż używasz mojego nazwiska! - powiedział głośno Charles. Spojrzał na starszą damę, unoszącą filiżankę do ust, i postukał w gazetę. - Ona wciąż posługuje się moim nazwiskiem!

Kobieta spojrzała na niego z oburzeniem i pstryknęła palcami, żeby przywołać kelnera prawdopodobnie po to, aby wyrzucił go z restauracji, ale admirał był już za drzwiami. Ściskając gazetę w dłoni, przeszedł High Street, mijając po drodze liczne biura. Wreszcie niemal bez tchu stanął przed eleganckimi prostymi drzwiami z napisem „Brustein i Carter”. Począł, aż oddech wróci mu do normy i otworzył drzwi.

Odwiedzał to miejsce regularnie i zamieniał kilka słów z którymś z synów starego bankiera, Dawidem lub Samuelem. Tak też było przed podróżą do Londynu. Rozmawiał przez chwilę z Dawidem, zanim podjął pieniądze na podróż. Wszystko wyglądało tu dzisiaj inaczej, chociaż było takie samo: ciemne drewniane panele na ścianach, turecki dywan, wyściełane krzesła, młody urzędnik, spoglądający na niego uprzejmie, gotów natychmiast go obsłużyć.

- Admirale Bright, w czym mogę panu pomóc?

Starając się zachować spokój, pokazał palcem na ogłoszenia. Urzędnik spojrzał na niego, zaintrygowany.

- Tak, proszę pana?

- Gdzie jest Sophie Bright? - spytał spokojnie, chociaż miał ochotę wyważyć drzwi prowadzące do wewnętrznych pomieszczeń, rzucić się pędem do holu i otwierać wszystkie po kolei drzwi, a nie tylko te prowadzące do gabinetu Samuela czy Dawida.

Urzędnik milczał przez chwilę, a potem poprawił okulary i wstał.

- Pozwoli pan, że pójdę po pana Dawida Brustaina.

- Idę z panem.

- Nie, proszę pana - sprzeciwił się urzędnik. - Bardzo proszę tutaj poczekać.

Potrafię być cierpliwy, potrafię zachowywać się jak cywilizowany człowiek, powtarzał sobie Charles, siadając na krześle. Wstał natychmiast, gdy pojawił się Dawid Brustain, z zakłopotaniem poprawiając sobie fular. Był niewysokim mężczyzną, tak jak jego ojciec, i Charles górował nad nim.

- Panie Brustain, gdzie jest moja żona?

Dołożył starań, aby jego głos brzmiał spokojnie. Nie chciał przestraszyć Sophie, jeśli znajdowała się w pobliżu. Brustain przysiadł na brzegu biurka, jakby zamierzał odciąć dostęp do wewnętrznych pomieszczeń, chociaż było jasne, że gdyby Charles chciał, mógłby go zmieść jak bezbronny kociak.

- Jest tutaj. Jak pan na to wpadł?

Charles bez słowa pokazał palcem na ogłoszenia.

- Nie bardzo rozumiem...

- Tutaj - postukał palcem w litery. - S.B. Sophie Bright. Proszę mi pozwolić z nią porozmawiać.

Dawid skinął głową i w tym samym momencie wewnętrzne drzwi otworzył Samuel, którego do recepcji sprowadziła ciekawość, co też jego brat ma takiego pilnego o tej porze dnia do załatwienia. Bracia wymienili kilka zdań w jidysz i Samuel cofnął się do biur.

- Zapyta panią Bright, czy życzy sobie z panem rozmawiać. - Dawid wstał. Nie do dało mu to wzrostu, ale była od niego pewność siebie. - Jeśli nie zechce, będzie pan musiał odejść.

- W porządku.

Potrafi być cierpliwy. Nie był już dumnym admirałem, a jego wiara w Królewską Marynarkę Wojenną legła w gruzach po ostatnim spektaklu obłudy i prywaty. Jeśli Sophie nie zamierza mieć z nim nic wspólnego, przepisze na nią dom i popłynie do Ameryki Południowej. Nigdy dla siebie niczego nie chciała, to on chciał wszystkiego. Paradoksalne, ale jak zręcznie to ujął pierwszy lord admiralicji, tak właśnie dzieje się na tym świecie.

Drzwi otworzyły się i Charlesowi twarz się wydłużyła na widok samotnie stojącego w nich Samuela. Wybrać Montevideo czy Rio de Janeiro? - zadał sobie w duchu pytanie.

- Admirale? Może pan pójść ze mną?

Jak ogłuszony odwrócił się do drzwi prowadzących na ulicę. Dawid Brustein zatrzymał go, kładąc mu dłoń na ramieniu.

- Nie, admirale, nie ten kierunek. Proszę iść za Samuelem.

Sophie siedziała za biurkiem, splecione dłonie oparła o blat. Samuel nakazał gestem innym urzędnikom, aby wyszli. Charles stał w progu, bojąc się zrobić nawet krok dalej.

- Przeczytałem jedno z prawniczych ogłoszeń Brusteinów, brzmiało... - z trudem przełknął ślinę - jakbyś ty je napisała, Sophie. - Śledził wyraz jej twarzy, nie podejrzliwie, ale z uwagą.

- Charles, czy dobrze się czujesz? Schudłeś. Mam nadzieję, że Etienne wciąż u ciebie pracuje. I Starkey. Powiedz mi także, czy panna Thayn...

- Starkey dawno odszedł - wyjaśnił, podchodząc bliżej, ale nie za blisko. Pięknie wyglądała oświetlona jasnym światłem, wpadającym przez podwójne okna. Jej twarz promieniała, czego przedtem u niej nie zauważył. - Zwolniłem go tego samego dnia, gdy odeszłaś. Co do innych, muszę ci powiedzieć, że nie ma już panny Thayn.

- Charles! Miałam nadzieję, że nie...

- Spokojnie, Sophie. Ona i Etienne zdecydowali połączyć się węzłem małżeńskim, dlatego nie ma panny Thayn.

Roześmiała się.

- Jesteś niemożliwy - skarciła go w zwykły sobie sposób.

- Dziewczynki mają się dobrze, Vivienne zamierza mi gotować, tak żeby Amelia i Etienne mogli na jakiś czas wyjechać. - Zawahał się, a potem postanowił położyć wszystko na jedną szalę. - Nie zdecydowałaś, na jaki kolor pomalować dom z zewnątrz.

- Jasnoniebieski - odparła, wstając z krzesła i wychodząc zza biurka. - Cytrynowe drzewka będą dobrze wyglądały na takim tle.

Spojrzał na jej zaokrąglony brzuch i opadł na kolana. Przytuliła się do niego mocniej, gdy oparł głowę na jej brzuchu, a po chwili uklękła przy nim.

- Jesteś chudy. Chyba nie chorowałeś? - spytała zaniepokojona.

Potrząsnął przecząco głową i przytulił ją mocniej. Dziecko poruszyło się, jakby protestowało przeciwko zbyt niemu uciskowi.

- Nie marzyłem o tym, że zostanę ojcem - odezwał się, kiedy przestała go całować i położyła mu dłonie na ramionach. - Było to zbyt nieprawdopodobne, żeby marzyć.

- Pomyśl o tym teraz, Charlie. - Podparła się na jego ramionach i wstała. - To się chyba stało tego ranka, gdy poszliśmy złożyć kondolencje Jakubowi Brusteinowi. - Pociągnęła go za rękę i ledwo wstał, znów wziął ją w objęcia, a ich dziecko zaprotestowało kolejnym kopnięciem. Sophie roześmiała się cicho. - Tamtego ranka albo może trochę wcześniej.

- Niezły osiągnęliśmy efekt jak na fikcyjne małżeństwo, co kochanie? - spytał.

Pociągnęła go do drzwi i otworzyła je. Zobaczyli obu Brusteinów i urzędników wyraźnie wyczekujących na rezultat ich rozmowy.

- Panowie, nie chciałabym dłużej odrywać was od obowiązków.

- Proszę tam wejść - Dawid pokazał na swój gabinet - i porozmawiać. - Samuel i ja wpadniemy do zajazdu na herbatę.

- Obsługa jest tam koszmar. Będziecie czekać całe wieki - zdążył uprzedzić ich Charles, zanim Sophie zamknęła drzwi gabinetu.

Usiadł i posadził ją sobie na kolanach.

- Poszłaś wtedy do Brusteinów.

Skinęła głową opartą o jego pierś. Objęła dłońmi brzuch.

- Nie wiedziałam, dokąd pójść, a pan Brustein powiedział, że zawsze mogę liczyć na jego pomoc. Zajeżdżały tam bez przerwy powozy, miałam nadzieję, że pozwolą mi do któregoś wsiąść.

- Wybacz - powiedział, a jego głos zdradził zaledwie drobny ułamek bólu, jaki czuł.

- Przez długi czas byłeś dla mnie jeszcze jednym człowiekiem, który mnie skrzywdził - wyznała Sophie.

- Wiem. Co się zmieniło?

Namyślała się przez chwilę, a potem westchnęła, wydając przy tym cichutki dźwięk. Zdał sobie sprawę, jak bardzo tęsknił za tym jej westchnieniem.

- Przede wszystkim dziecko. Nie wiedziałam, jak zareagujesz na to, że ja je noszę, po tym jak...

- Sophie, proszę cię, nie myśl o tym. Zachowałem się okrutnie, nie zasłużyłaś sobie na takie traktowanie.

Poruszyła się w jego ramionach.

- Wiedziałam, że zrobię wszystko, aby moje dziecko było bezpieczne. Nie pamiętam, kiedy to było, ale któregoś ranka obudziłam się i zdałam sobie sprawę, że jeśli nigdy więcej cię nie zobaczę, moje życie będzie niepełne. - Zaczęła kręcić guzik jego płaszcza.

- Nie miałam jak się dowiedzieć, jakie będą twoje uczucia do dziecka, więc zostało po staremu.

- Napisałaś bardzo poruszający list, kochanie. Kiedy skończyłem opróżnić piwnicę z alkoholu i Dora doprowadziła mnie do stanu trzeźwości...

- Dora? Co zrobiła?

Bawił się kosmykami, które wymknęły się z upiętego wysoko koka.

- Sophie, zaczynasz wyrazy od dużych liter, zupełnie jak ona. Wracając do tematu, udałem się do siedziby admiralicji i zalało mnie morze pustosłowia. Czy zdziwi cię to, że wszystkie protokoły z procesu Andrew znikły? Wyparowały. I tyle.

- Nigdy nie będziemy mieli pewności.

Tuląc żonę, Charles opowiedział jej o wyznaniu, które uczynił mu lord Edborough.

- Zapewnił mnie, że niczego nie udowodnię w sądzie i miał rację. Edmund Sperling nie żyje, jeśli to ma być jakaś pociecha. Kilka miesięcy temu, gdy byłem dumny i głupi, pragnąłbym, aby Sperlinga spotkało to, na co zasługuje, choćby przed niebieskim trybunałem.

- A teraz? - spytała Sophia, wsuwając dłonie pod płaszcz męża.

- Już nie, moja miłości. Kiedy byłem młody, pragnąłem sprawiedliwości, teraz błagam o litość i wybaczenie.

Charles wrócił do posiadłości sam, ale z uśmiechem na twarzy. Dawid i Samuel byli nieugięci, gdy chciał natychmiast zabrać żonę do domu. Przypomnieli mu, że zbliża się koniec kwartału i jego ciężarna piękna żona jest im potrzebna jeszcze co najmniej przez tydzień.

- Stała się nam niezbędna - wysunął ostateczny argument Dawid.

To akurat mógł zrozumieć. Od momentu gdy nie bez obaw zgodziła się wyjść za niego za mąż, Sarah Sophie Paul Daviess Bright zauroczyła go. Chciał ją zapytać, co planowała zrobić, gdyby jej nie odnalazł, ale doszedł do wniosku, że to nieważne. Może któregoś dnia sama mu powie.

W domu usiadł wygodnie na ulubionym miejscu w salonie - wciąż nie potrafił zdobyć się na to, żeby wejść do gabinetu - z tomikiem sonetów Szekspira i odnalazł dwudziesty dziewiąty. Przez pięć miesięcy czytał tylko początkowe wersy o wzgardzie, głębokim żalu i daremnym błaganiu niebios o łaskę. Teraz jego oczy prześliznęły się na dalsze wersy. Uśmiechnął się i odczytał na głos:

- *Twoja bo miłość przywodzi wspomnienia* - i niżej:

- *Żeby z królami losu nie zamienił.\**

\* Sonety, William Szekspir, PIW, 1964 r., przekład Jerzy Sito, (przyp. tłum).

W pewnym momencie przed dom zajechał powóz. Wsunął palec między kartki tomiku, żeby zaznaczyć, w którym miejscu czytał, i wyjrzał przez okno.

- No proszę - powiedział głośno. - Sophie, jesteś taka impulsywna. Któregoś dnia opowiem naszym dzieciom, że oświadczyłaś mi się, bo nie zdołałaś czekać.

Otworzył frontowe drzwi. Woźnica wypakował jej skromną walizkę, wdrapał się z powrotem na kozioł i uchylił kapelusza. Sophie stała w miejscu, dłonie naturalnym ruchem przykładając do brzucha. Najwyraźniej była w dobrej komitywie z rosnącym w niej dzieckiem. On musiał to nadrobić. Zszedł po schodach, wziął walizkę i ujął ją pod ramię. Nie poruszyła się, przyglądała się domowi.

- Tak, jasnoniebieski. Kiedy dojrzewają cytryny? Mam ochotę na jedną. Natychmiast.

Roześmiał się i pocałował ją w policzek.

- Zdecydowałaś nie zostawać, żeby pomóc Brusteinom?

Uniosła jego lewe ramię i unikając haka, pokierowała nim tak, żeby objął jej plecy.

- Wyglądałam jak sto nieszczęść, kiedy wyszedłeś, więc zwolnili mnie.

Roześmiał się głośno i przytulił ukochaną żonę.

